

1028

10.23.30

2. - 1.32

2.16.32

MAY 6 '39

SEP 29 '41

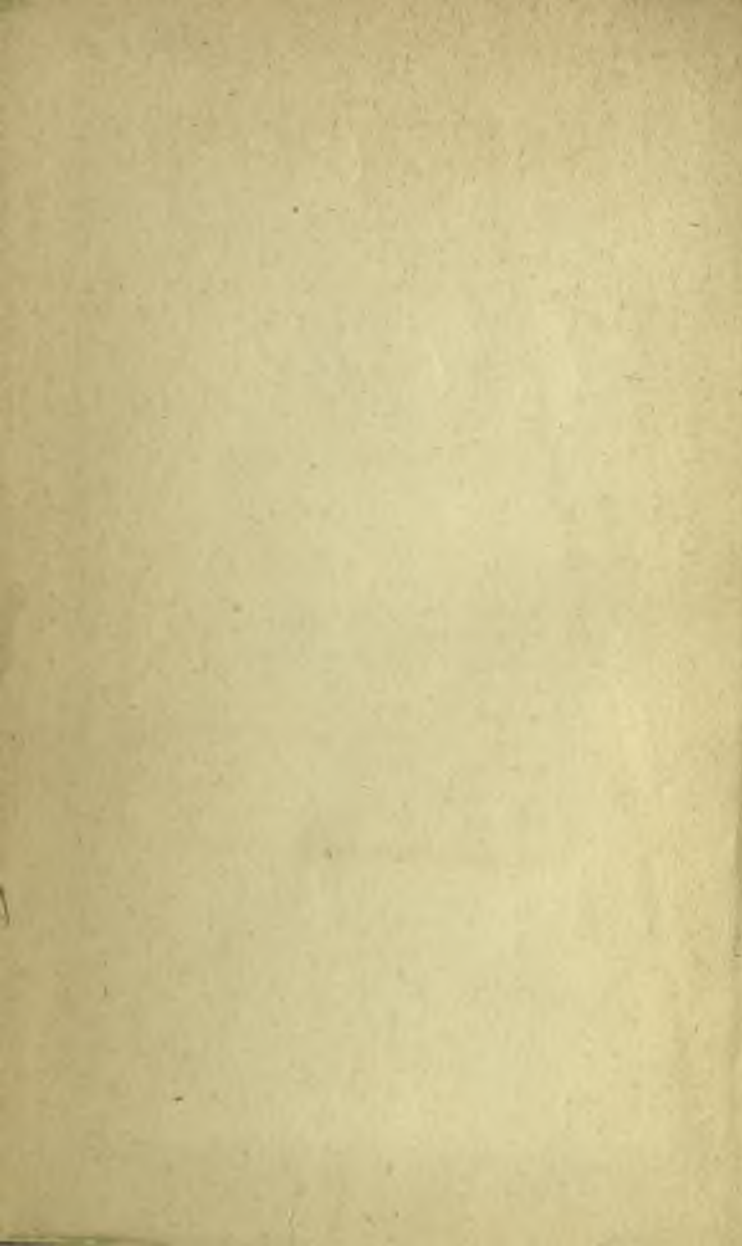
M

E

207

207

~~490~~



Ε 207

WINCENTY POL

I JEGO

POETYCZNE UTWORY

przez

LUCYANA SIEMIĘŃSKIEGO.

Zbiór najcenniejszych utworów:

Z **Pieśni Janusza** — z **Obrazów z podróży i życia** — z **Podróży po burzy** — z **Pieśni o ziemi naszej** — z **Pieśni o domu naszym** — z **Przygód Benedykta Winnickiego** — z **Historji szewca Kilińskiego**; **Powstanie w stolicy w r. 1794** — z **Wita Stwosza** — z **Mohorta** — z poem. **Stryjanka** — z poem. **Hetmańskie Pachole** — z poem. **Pan Starosta Kiślacki**.

W KRAKOWIE,

NAKŁADEM KSIĘGARNI J. M. HIMMELBLAUA.

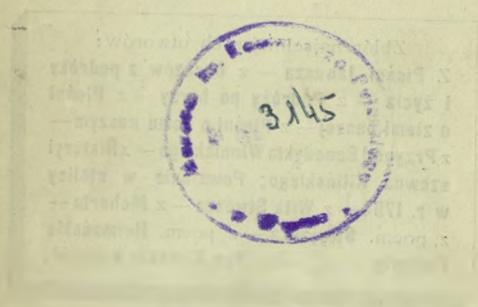
1875.

WINCENY POL

1 3600

POETYCZNE UTWOR

INDYJNA SIENICKA



SPIS RZECZY.

Wincenty Pol i jego poetyczne utwory	str. 1
--	--------

I. Liryki i wiersze okolicznościowe.

Z PIEŚNI JANUSZA:

Śpiew Janusza	61
Białe orły	65
Mazur	67

Dumy Widorta:

Emir Tadz-Ulfehr	69
Hetman złotobrody	72
Guldia hetmańska	74

Śpiew z mogiły	76
--------------------------	----

Proroctwo kapłana polskiego	78
---------------------------------------	----

Z OBRAZÓW Z PODRÓŻY I ŻYCIA	79
---------------------------------------	----

Z PODRÓŻY PO BURZY:

Skowronek	88
Żórawie i bociany	89
Wyjazd z domu	90
Pacholę na grzybach	92
Stary Kraków	96
Odzew	97

Z PIEŚNI O ZIEMI NASZEJ	105
-----------------------------------	-----

Z PIEŚNI JANUSZA R. 1863:

Wachmistrz Dorosz na Litwie	119
Pieśń o Krakusowym grodzie	128
Z więzienia	137

Z PIEŚNI O DOMU NASZYM:

Wiejska zagroda	139
Wielkanoc polska	143

WINCENTY POL

i jego poetyczne utwory.

I.

Na wstępie opowiem żywot Wincentego Pola w krótkości, ze szczegółami zaczerpniętymi, już z kilku jego autobiografij, już z wiarogodnych ustnych podań.

W Lublinie, starem mieście trybunalskiem, w kamienicy przy Grodzkiej bramie, urodził się Wincenty w r. 1807, z ojca, urzędnika sądowego w służbie austryackiej, który się pisał później Pohl von Pohlenburg, i z matki Eleonory Longchamps, rodziny osiadłej we Lwowie.

Województwo lubelskie należało wtedy do austryackiego zaboru, i nosiło nazwę Galicyi; atoli bliską już była godzina w której lubelskie i część krakowskiego miało złąć się z nowo utworzonym Księstwem Warszawskim, cieszącem

się mową ojców w urzędzie i szkole, widokiem sławą okrytych polskich szeregów i monarchą panującym pod skrzydłami napoleońskiego orła.

Nadszedł r. 1809. Cesarz Francuzów wydał wojnę Austrii. Wojska austryackie wkroczyły w granice Księstwa Warszawskiego, a w odwet zwycięzki oręż księcia Józefa Poniatowskiego rzucił się na obie Galieje, i obie zdobył; atoli jak najczęściej się zdarza, pióro dyplomaeyi straciło krwią okupiony nabytek, i tylko województwo lubelskie, część krakowskiego i sandomierskiego, połączyły się z bratnimi ziemiami Warszawskiego Księstwa.

Z tą zmianą polityczną i terytoryalną, rodzice Wincentego przenieśli się napowrót do Lwowa, gdzie ojciec jego urzędował dalej aż do roku 1823, w którym się przeniósł do wieczności.

Póki ojciec żył, Wincenty, jak sam w jednej ze swoich autobiografij natrąca, używał chwil bardzo szczęśliwych, chwil niefrasobliwej i swobodnej młodości. „Od śmierci głowy rodziny — mówi on, — spadły na mnie cierpienia; znienawidziłem ludzi i żyłem w bardzo wielkim niedostatku, samotnie.“ — W tymże roku wysłano go do gimnazjum OO. Jezuitów, niedawno założonego w Tarnopolu; nauczycielem jego był X. Wiktor Ożarowski, kapłan gorącego du-

cha i wielkiej świątobliwości; jemu to winien Wincenty, jak sam wyznaje, to światło prawdy Bożej, które go utwierdziło w wierze i uchroniło w dalszym zawodzie, narażonym na tyle pokus, pochlebiających próżności lub pysze rozumu, że się nie rzucił na manowce bałamutnych wyobrażeń i teoryj, lecz zawsze pozostał wierny nauce kościoła, którego był synem.

W r. 1826 dotknęło go powtórne nieszczęście domowe: umarł mu brat starszy Franciszek, młodzieniec bardzo wykształcony, zdatny pisarz, lubo w języku niemieckim, — a nadewszystko troskliwy opiekun i „dobrodziej“ Wincentego. „Brat Franciszek, — mówi on — pracował nademną, i dał mi naukę jaką mam.“

W r. 1827 poznał we Lwowie pannę Kornelę Olszewską i pokochał ją.

W 1828 i 1829 zajmował się pisaniem rozprawy o Epopei, i starał się przez Bielowskiego, aby mogła być umieszczoną w „Haliczaninie“ wydawanym przez Chłędowskiego.

W 1830 wyjechał na Podole do Kamieńca, ztamtąd był na Ukrainie i Wołyniu, a nareszcie dostał się do Wilna, w zamiarze otrzymania miejsca lektora języka niemieckiego przy tamtejszym uniwersytecie. Atoli niebawem wybuchło powstanie listopadowe. Młodzież uniwersytecka wyruszyła w pole; Pol połączył się z nią w okolicy

Wilna, i przyjęty w jej szeregi, jak opowiada Klimaszewski, wiarogodny świadek, miał sobie powierzona intendenturę żywności; a tak dzieląc z powstańcami przygody i trudy obozowe, pewnego razu, przebrany za chłopą, pożegnał ten oddział i przedarł się do regularnej armii Giełguda, z którą potem wkroczył do Prus, zaciągnięty do 10go pułku ułanów. W bitwach jakie ten korpus staczał „otrzymał ranę i krzyż wojskowy.“

W r. 1832 został członkiem Towarzystwa literackiego niemieckiego w Królewcu i Lipsku. Z polecenia jenerała Bema urządzał komitety w Niemczech dla emigracyi, przyczem wydał kilka broszur na rzecz Polski w języku niemieckim. To pewna, że Spazierowi do jego historyi powstania dostarczył był różnych wiadomości z dziejów literatury polskiej: — cały ustęp traktujący o tym przedmiocie można znaleźć w książce Spaciera. Pod koniec tegoż roku powrócił przez Poznańskie do Mostek pod Lwowem. Odwiedzając często Lwów, napełniony wówczas rozbitkami naszego powstania, miał sposobność poznać hr. Ksawerego Krasickiego, który się szczerze zajmował losem emigracyi, i zjednać sobie jego względy i przyjaźń.

W roku 1833 wyszły w Paryżu poczye, patryotyczne, które ogłosił pod pseudonimem: Ja-

nusza. Te zjednały mu wielką wziętość. Wpierw jeszcze w Lipsku wydał: *Volkslieder der Polen gesammelt und übersetzt von W. P.* Była to pierwsza z większych jego prac, ogłoszonych w języku niemieckim; pomniejsze artykuły umieszczał przed r. 1830 w *Mnemozynie*, piśmie literackim, wydawanem we Lwowie pod redakcją Dra Zawadzkiego, Niemca z polskiem nazwiskiem.

W r. 1834 odwiedził Kraków. W następnym przebywał w Zagórzanach, w domu ś. p. Tadeusza Skrzyńskiego, gdzie się poznał z Józefem Kremerem i od niego wiele korzystał pod względem nauk filozoficznych; sam to wyznaje pisząc: „Od poznania Józefa Kremera nabrałem trochę ładu w głowie“.

W roku 1836 sprowadził się do Kalenicy w Sanockie i objął zarząd dóbr górskich hr. Ksawerego Krasickiego. W ciągu swego gospodarstwa założył ogród, wybudował gorzelnię i porobił drogi.

W następnym roku, mając już tę posiadłość, pojął za żonę pannę Kornelię Olszewską, w której od lat dziesięciu się kochał. Tam pozostając do r. 1840, przeniósł się w okolice Biecza do wsi Maryampola, gdzie go opatrzyli przyjemnym dworkiem i ogrodem dwaj zacni obywatele: Tadeusz Skrzyński i major Teofil Łętowski. Pię-

kny to był uczynek ze strony tych przyjaciół poety, którzy obmyślili mu spokojny sposób życia, aby mógł z całą swobodą poświęcić się ojczystemu muzom.

Z Maryampola robił Pol częste wycieczki w Karpaty, także i na Szląsk i do Wielkopolski. W peryodzie tym zbierał materyały do opisu gór. Znajomość z Łobarzewskim, przyrodnikiem, z którym robił wyprawy po kraju, zachęciła go do obeznania się bliżej z naukami przyrodnictwami. W *Oređowniku*, piśmie wydawanem w Poznaniu, umieścił kilka listów z wycieczki w góry, w których dotykał przedmiotów mających związek z naukami przyrodnictwami. Była to pierwsza wskazówka, że poeta zamysła wkroczyć w dziedzinę umiejętności ścisłych i obserwacyj z pierwszszą ręką.

Smutnej pamięci r. 1846 zastał go w Polance, wsi jasielskiego obwođu, gdzie bawiąc w gościnie u przyjaciela, doznał okropności napadu tłumów wzburzonego chłopstwa. W tej zawierusze zaginęły mu manuskrypta jeografii krajów polskich, sam zaś autor dostał się do więzienia we Lwowie, gdzie przesiedział kilka miesięcy, poczem wypuszczony został na wolną stopę.

W r. 1847 wszedł do Zakładu Ossolińskich, zostającego wówczas pod dyrekcją Kłodziń-

skiego, i miał sobie powierzona redakcyę czasopisma Biblioteki Ossolińskich, które po wielu latach przerwy, zaczęło znowu wychodzić w przystępniejszej treści dla większej publiczności, co trwało do połowy następnego roku. Tu umieszczał Pol swoje *Listy z wycieczek*, które wyszły potem w osobnem, lecz niedokończonem odbiciu r. 1848 we Lwowie.

W r. 1850 jeździł do wód, zaczął o Wiedeń, gdzie robił kroki u ministra Thuna o posadę profesora jeografii fizycznej, przy uniwersytecie Jagiellońskim; a ponieważ takiej katedry nie było, ustanowiono ją i Pol zajął to miejsce. Były na to szemrania; lecz profesor, obdarzony rzadkim wdziękiem słowa, uśmierzył burzę, pogodzone się z uniwersyteckim wykładem jeografii, uczniowie ucześnieczali, a krytyka naukowa, lubo zrobiła kilka objekeyj pod względem geologii, przeszła niepostrzeżona. W owych latach politycznych zajęć i odmian, ściśle nauki nie zajmowały jeszcze tego stanowiska, jakie dziś zajmują.

Z początkiem 1852 rząd zamierzył reformę uniwersytetu, a to przez usunięcie kilku profesorów, którzy mieli wybitniejszy charakter polski. Powiadają, że stało się to na żądanie Rosyi, która nie mogła ścierpieć pod swoim bokiem wyższej instytucyi naukowej z charakte-

rem narodowym i wolnością słowa. Przykra to zapewne była missya dla hr. Gołuchowskiego, gdy z polecenia Rządu, jako Namiestnik, przybył do Krakowa, żeby dać dymissyę czterem profesorom, jak: Antoni Zygmunt Helcel, Zielonacki, Małecki i Pol. Z usunięciem tych polskich żywiołów, uniwersytet miał się zamienić w ognisko germanizacyi.

Przez parę lat i w r. 1855 Pol przebywał w Krakowie i oddawał się wyłącznie poetycznym pracom. Tu wydał *Mohorta* (1855), który w tymże samym roku doczekał się drugiej edycyi. Panująca wówczas cholera zabrała mu żonę, długoletnią towarzyszkę i osłodę w zmiennych życia kolejach.

Nastąpiły lata w których poeta najwięcej produkował i ogłaszał drukiem. Utwory jego drukowały się w Krakowie, Poznaniu, Petersburgu, Wiedniu; w ostatniem tem mieście przebywał dłuższy czas, dopilnując drukującej się tam czterotomowej edycyi pism swoich.

W r. 1859 pojechał do Warszawy, gdzie go czekało serdeczne przyjęcie. Za sprawą ś. p. Leona Łubieńskiego, Resursa kupiecka wyprawiła mu wspaniałą ucztę, w której brało udział około 500 osób.

Powracając z Warszawy, odwiedził Lublin, miejsce swego urodzenia. Obywatele tego woje-

wództwa, a jak teraz nazywają gubernii, chcąc w nim uczcić poetę uczuć patriotycznych, który umiał tak wybornie pochwycić ton ogólnego nastroju w narodzie, zrobili między sobą subskrypcyę i zakupili pod Lublinem położony folwark Firlejówkę, gdzie rodzice poety mieli dawniej przemieszkwać, i piękny ten upominek, ofiarowali poecie na własność.

Pol wrócił do Lwowa, i odtąd przemieszkiwał tam przez ciąg lat kilku, publikując od czasu do czasu różne swoje prace tak wierszem jak prozą. Miewał też i publiczne odczyty tak o Literaturze polskiej XIXgo wieku, jak o muzyce kościelnej. Wyszły one w osobnych książkach pod tytułem: Pamiętniki o literaturze polskiej XIX wieku w dwunastu prelekcjach (Lwów 1865); następnie pamiętnik do literatury polskiej XIX wieku w 20tu prelekcjach, (Lwów 1866). O muzyce osobno wyszła: Prelekcya wstępna o muzyce religijnej; potem: Sześć prelekcij o muzyce kościelnej (Lwów 1865). Miał także dwie prelekcye o potrzebie wykładu jeografii handlowej (Lwów 1866).

Zagrażająca kataraktą choroba oczu, zmusiła go szukać pomocy lekarskiej w Krakowie. Przyjechał do tego miasta zupełnie już ociemniały. Operacya na jednym dokonana oku, nie

powiodła się. Organizm osłabiony nie był już w stanie oddziaływać skutecznie.

Ociemniały poeta niemniej brał udział tak w posiedzeniach Towarzystwa Naukowego, którego był członkiem, jak w publicznych odczytach. Zasiłał też najwięcej pisma warszawskie swojemi artykułami. Umieszczał je „Tygodnik Illustrowany“, „Kłosa“ i „Kronika Rodzinna“.

Po kilkunastu latach wdowieństwa wszedł Pol roku 1871 w powtórny związek małżeński z panią Rościszewską, osobą pełną uczuć szlachetnych, która wzruszona jego kalectwem, przejęta uwielbieniem dla talentu tak sympatycznego i popularnego, poddała się miłemu dla jej serca, lecz w gruncie uciążliwemu obowiązkowi, dzielenia z córką, bawiącą przy ojcu, ciężaru pielęgnowania ociemniałego starca, i o ile się dało usuwania od niego kłopotów życia.

W następnym roku, Pol obrany został członkiem nowotworzącej się Akademii umiejętności. Lato przepędzał dla zdrowia w pobliskich Krzeszowicach. Pod jesień przeziębził się i dostał zapalenia płuc. Już z trawiącą gorączką przywieziono go do Krakowa, gdzie mimo starań lekarzy, i najczulszej opieki i żony i córki, nieodstępujących jego łoża, przez cały ciąg paromiesięcznej choroby, codzien gasnąc, na dniu 2 grudnia r. 1872 pomnożył długi poczet zna-

komitych i zasłużonych mężów, którzy w tę stuletnią rocznicę nieszczęścia ojczyzny osierocili współbraci, przenosząc się do szczęśliwszej ojczyzny w wieczności.

Oto są w krótkości podane ważniejsze rysy i chwile z żywota Wincentego Pola, pozostaje dopełnić je bibliograficznem wyliczeniem pism jego, ukazujących się w różnych czasach i miejscach. Są to bowiem najważniejsze tytuły i dokumenta, podług których i dzisiejsi i potomni oznaczają granice zasług, wskażą doniosłość talentu, działalności i wpływu, z uwzględnieniem tych okoliczności, w jakich znajdował się poeta, gdy miał do współczesnych przemawiać. Niniejszy spis nie obejmuje wszystkich wydań, pokilkakroć powtarzających się, podaje tylko pierwotne edycye w porządku chronologicznym jak na świat wychodziły.

I tak:

1833. *Volkslieder der Polen, gesammelt und übersetzt von W. P(ohl)* Leipzig.
- „ *Pieśni Janusza*. Paryż (z portretem Pułaskiego).
1840. *Przygody Benedykta Winnickiego w podróży jego z Krakowca do Nieświeża r. 1766 i powrót w dom rodzicielski*. Lwów.
1843. *Historya szewca Kilińskiego, pułkownika, dowódcy pułku 20go piechoty (w Noworoczniku)* Poznań i Paryż (z portretem Kilińskiego).
- „ *Pieśń o Ziemi naszej*. Poznań (u Żupańskiego).

1845. *Obrazy* (powieści prozą). Lwów.
1847. *Obrazy z życia i podróży* (poezye). Wrocław, wydanie Władysława Wężyka.
1848. *Listy z wycieczki* (odbitki z Czasopisma Biblioteki Ossolińskich z r. 1847 i 48). Lwów.
- „ *Kantata* na cześć A. Kunzek, dra fil. i prof. Lwów.
- „ *Hymn patriotyczny* Jener. Dwernickiego, wydanie pani M. K. Lwów.
- „ *Widzenie Janusza*. Lwów (nakł. Milikowskiego).
1849. *Siedm psalmów pokutnych w duchu Dawidowym* ułożonych do śpiewu. Lwów (u Pillera).
1850. *Kilka słów o wycieczkach naukowych*. Kraków.
- „ *Rzut oka na umiejętność jeografii* ze stanowiska uniwersyteckiego wykładu. Kraków (odbicie z Rocznika Tow. Naukowego).
1851. *Prelekcya, północny wschód Europy pod względem natury*. Zeszyt I. Kraków.
- „ *Rzut oka na północne stoki Karpat*. Kraków.
- „ Toż dzieło pomnożone 4ma tablicami. Kraków.
1854. *Senatorska zgoda*. Petersburg (u Wolffa).
- „ *Czarna krówka*. Legenda z naszych czasów. Bochnia (u Pizsa).
1855. *Mohort. Rapsod rycerski*. Kraków.
- „ *Wiadomość o kościele św. Katarzyny na Kazimierzu przy Krakowie*. Warszawa. Druk Gazety Codziennój.
- „ *Sejmik - generał Województwa ruskiego odprawiony w 1766 w Sądowej Wiszni*. Petersburg i Mohilew, (Wolff).
1856. *Poezye* (drobne) *z podróży po burzy*. Kraków.
1857. *Poezye Wincentego Pola*. Pod tym tytułem ogólnym zbiór ten zawiera: Mohorta, Winnickiego, Se-

- natorską Zgodę, Sejmik w Sądowejwiszni, drobne poezye. Tomów 4 w Wiedniu.
1859. *Pieśń o Ziemi* (przerobiona z pieśni o Ziemi naszej) Warszawa.
1861. *Stryjanka, tradycya szlachecka JM. Pana Benedykta Winnickiego*. Warszawa.
1862. *Jeografia Ziemi Świętej w 3ch częściach*. Lwów. (u Winiarza).
- „ *Pacholę Hetmańskie*, poemat, 2 tomy. Warszawa.
1864. *Kilka kart z krwawego rocznika*. Lipsk.
1865. *Z wyprawy wiedeńskiej*. Rapsod rycerski z ryciną fary Żółkiewskiej. Lwów.
- „ *Sześć prelekcij o muzyce kościelnej*. Lwów.
- „ *Pamiętnik o literaturze polskiej XIX wieku w dwunastu prelekcjach*. Lwów.
1866. *Dwie prelekcye o potrzebie wykładu jeografii handlowej*. Lwów.
- „ *Pamiętnik do literatury polskiej XIX wieku w 20 prelekcjach*. Lwów.
- „ *Pieśń o domu naszym*. Lwów (u Wilda).
1867. *Józefowi Brodowiczowi na 50-letnią rocznicę*. Kraków.
1868. *O potrzebie zachowania pomników z przeszłości*. Prelekcya miana 18 marca. Kraków (odbitka z Czasu).
- „ *Rytm na uroczystość 50-letniej rocznicy od założenia Tow. Nauk. Krak. odczytany na publicznem posiedzeniu d. 16 maja*. Kraków.
1869. *Legandy o św. Janie Kantym, opowiedziane w radnej sali miasta Krakowa*. Kraków.
- „ *Losy pocziwój rodziny*. Zdarzenie prawdziwe. Kraków.
- „ *Obrazy z życia i natury (północny wschód Europy)*. Kraków.

1870. *Rok myśliwca* z rysunkami Jul. Kossaka, Poznań u Żupańskiego.
1873. *Starosta Kiślacki* (już po zgonie poety), u Żupańskiego (z portretem).
-

II.

Jak dawna Polska długa i szeroka, nazwisko Wincentego Pola wszędzie dobiega. Któż nie słyszał o patryotycznym pieśniarzu? Kto nie mieszał do potocznej gawędki jego łatwych zwrotek, lub rymowanych przysłowiów, które obudzały tradycję zapomnianego obyczaju? Kto w rozochocionem gronie nie zaśpiewał: „Grzmia pod Stoczkiem armaty,“ albo łzy nie uрониł, gdy wdzięczny głos dziewczycy z wtórem fortepianu dzwonił tę melancholiczną piosenkę: „Leci liście z drzewa.“

Muzyka, to najusłużniejszy roznosiciel poezji, a właśnie piosenki Pola jak raz do niej się nadawały.

Zawdzięcza on to cudownej gęśli swojej, w której siedział zapewne zaklęty duch jakiegoś lechickiego grajka, bo któż go nauczył grać na niej tę rodzimą nutę, odrazu wpadającą do ucha, odrazu chwytającą za serce jeszcze nie-

ostygłe po wielkim narodowym wybuchu, który obudził tyle nadziei, że nawet pod obuchem rzeczywistości nie przestano się nimi upajać? Ton ten tak umiał dobrze trafić w ogólne usposobienie, iż wszędzie znalazł dla siebie echo, czy w pańskim dworze, czy w zaściankowym dworku, czy za warsztatem, czy pod słomianą strzechą; i to nie w jednej okolicy, powiecie, prowincyi, lecz tak dobrze w Koronie, jak na Litwie, na Rusi, jak na dalekiem Pomorzu, w górach jak na stepie; wszędzie, gdzie mówiono i modlono się po polsku, i gdzie uczucie narodowe wołało o kroplę rosy, żeby nie zwiędnąć w wielkich tęsknotach.

Pieśni te były tą rosą, tym balsamem, podobne do ściśnienia ręki przyjaznej, wtenczas kiedy się widzimy opuszczonymi i bez żadnej pociechy.

Charakter ich wędrowny, nie trzymał się jednego miejsca, lecz ciągle coś je pędziło z końca w koniec; nie jakaś awanturnicza niespokojność, lecz prędzej niepokój braterskiego serca, które sobie wyrzuca: tegom jeszcze nie uścisnął, tamtegom nie pocieszył, z tym jeszcze nie zapłakałem a przecież to wszystko moi, a ja do nich należę.

Kiedy inni spółcześni mu poeci zaczęli się dzielić na powiaty i ziemie, zaprowadzać poety-

ekie demarkacye, jakby im mało było na politycznych i administracyjnych, on, od samego wstępu w zawód pisarski, uznał się integralną częstką dziejowej całości, a to uznanie dawało mu prawo szukania łączności duchowej z każdą częstką ogółu. Wszędzie też uważał się nie za gościa przybysza, lecz za dziecko wielkiej rodziny; wszędzie umiał się wsłuchać w ten język, jakim przemawiały równiny chleborodne, lub posępne bory, góry potokami szumiące lub zaciśnięte jary, step bezbrzeżny lub bagna i trzęsawiska Polisia.

Nie miało to u poety znaczenia frazesu lub przechwałki, lecz było rzeczywistością jak kapitał, który ma procent przynosić, a kapitałem tym obracał nie na giełdzie, lecz w sferze ducha. Działanie to dałoby się wytlómaczyć tym dwuwierszem znanéj elegii:

Wszędzie i zawsze będę ja przy tobie,
 Bom wszędzie częstkę duszy mój zostawił.

Ta, że się tak wyrażę, *ubiquitas* poety nadała pewną jednolitość utworom jego, że od pierwszej chwili, gdy śpiewać zaczął, pierwsze akordy uderzył na gęśli, do samego ostatka w jednym się tonie trzymał.

Pierwsze dźwięki zapowiedziały czem dalej będzie. W pieśniach Janusza, wylanych z mło-

dziennej piersi, ponaznaczane są wszystkie drogi, któremi miał posuwać się w ciągu poetycznego zawodu... Przypadek to wcale rzadki, gdyż zazwyczaj wrażenia lat młodych ustępują później miejsca innym widokom, innym kierunkom ducha; tu przeciwnie: poeta nie wyszedł po za obręb tego czarodziejskiego obwodu, jaki w koło siebie nakreślił; odrazu zbudował sobie gmach, w którym się czuł wszechwładnym panem....

W przyprawce do pieśni Janusza mówi wędrowny śpiewak:

Byłem w Litwie i Koronie
 Byłem w tej i owej stronie,
 Byłem tu i tam;
 Od Beskidów do Pomorza,
 Z Litwy aż do Zaporóża
 Całą Polskę znam.

I zasiada u tych krosienek, aby suwać czółenkiem swoich uczuć i marzeń:

I o wszystkiem marzę, roję,
 I to wszystko niby moje,
 Nibym polski król...

Silna wiara w powołanie swoje mogła tylko dać mu to jasnowidzenie, jakie nie towarzyszy nawet największym zdolnościom, zwykle w początkach rzucającym się to na tę, to na ową

drogę, próbującym wszystkiego, zanim trafią na ton sobie właściwy. Wincenty Pol miał szczęście trafić odrazu, a przekonawszy się, że chwycił za serca, że go wszędzie rozumiano i ukochano, nie szukał już niczego po za obrębem raz powziętego planu. Swojski grajek, nie ubiegał się o wykwinty sztuki, lecz dworował właściwym zacięciem, w którym nikt mu nie sprostał, bo nie było do naśladowania podobnem, jak każda tajemnica ducha.

Zdaje się nawet, że w latach młodości nie zdradzało u niego poetycznych usposobień, przynajmniej ci literaci i poeci, z którymi w bliższym wtedy zostawał zetknięciu, nie domyślali się, jakie to lotne ptaszę siedziało w tej piersi.

Być może, iż zwyczajny bieg zdarzeń, idących po sobie przewidywanym a płaskim porządkiem codziennym, nie wyrzuciłby go z panującej podówczas rutyny romantycznej; pisałby ballady, sonety, okropne powieści, krwawe dramata, jak tylu innych pisało i przed nim i po nim; ale jak pewne rośliny wydają woń tylko przez silne potarcie, tak i serce poety potrzebuje być wstrząśnięte, starte, skrwawione, aby mogło z siebie wydać tę woń, co upaja nieraz wiele pokoleń, albo buchnąć płomieniem, który wszystko zapala.

Powstanie listopadowe zastało poetę w Wilnie, z kąd na dane hasło wyruszył w gronie akademickiej młodzieży w te lasy i puszcze, które były jedyną warownią dla słabo uzbrojonych, lecz gotowych na wszystkie ofiary zastępów. Na nocnych koczowiskach, przy zwrotkach śpiewek, jakich dostarczała rozgorączkowana pierwszemi powodzeniami Warszawa, w ogniu partyzanckich potyczek, w entuzjazmach witających regularne szeregi wojsk przybyłych z Korony, a w ostatku w rozdzierających pożegnaniach z ojczyzną, do której zamykał się powrót może na wieki, w tych biedach i trudach obozowego życia, forsownych marszów, dziwnych przygód, traconych i odzyskiwanych nadziei, ożywionych pogadanek w koleżeńskim kole przy ognisku, zgola w tem wykołejaniu się z regularnego porządku życia, zbudził się pieśniarz, liryk, jakich niewiele możemy liczyć i jakich niewiele miewa każda literatura.

Nazwisko Wincentego Pola po pierwszy raz ściągnęło na siebie uwagę, gdy skrzętny i umiejący z okoliczności korzystać Niemiec Spazier, wydał był w Lipsku Historję powstania, jeszcze ciepłą krwią pobojuwisk, a gorączkową, jak opowiadania tych, których czyny i nadzieje zawzięty los zgruchotał. W historyi tej był jeden ustęp o poezyi polskiej, mianowicie o gmin-

nej pieśni, dostarczony niemieckiemu autorowi przez Pola, wraz z przytoczeniem kilku bardzo ładnych piosneczek, przerobionych z piosnek gminnych. W przerobieniu tem duch i ton został, a tylko formie zewnętrznej przybyło ogłady i delikatniejszego wdzięku, zapewne w tym chwalebny cel, żeby przyzwoicij w oczach cudzoziemców przedstawił się stan kultury naszej. Bądź jak bądź, z małej tej próbki można już było odgadywać niepospolitego poetę — *ex ungue leonem*.

Trzeba wiedzieć, iż z upadkiem powstańczej wojny Pol wszedł był z wojskiem do Prus, a ztamtąd udał się do Drezna, przez które przeciągało wszystko, co albo wrócić nie mogło, albo wrócić nie chciało pod grozę moskiewskich rządów. Wiele znaczniejszych figur i znakomitości zatrzymało się dłużej w saskiej stolicy, mającej dla nas pewien urok historycznego powinowactwa, a przytem dogodność bliskiej granicy. Tam zastał Pol Mickiewicza, Odyńca, Garczyńskiego. Zbliżył się do nich, opowiadał o tem, co widział, co przeszedł w wojnie powstańczej, a tak wybornemi i prawdziwemi rysami wszystko malował, że Adam, który bardzo lubił dobrze opowiadających, miał mu powiedzieć: „Co mówisz, wyśpiewaj wierszem, a staniesz się popularnym.“ — Słowa te mistrza były jakby akor-

dem wziętym na tych strunach, jakie spoczywały w nim, a jakich on sam nie śmiał potrącić.

Poeta poszedł za radą; ośmielił się i zaraz posypały się piosenki, które pochwycono z zapalem, przyeśnięto do serca jak przyjaciela, który umiał tak dobrze odgadnąć, co każdego dolega, co myśl zaprzęta, czego uczucie pragnie, czego się spodziewa. Proste, wszystkim zrozumiałe, proszące się o nutę piosenki, były wyrazem tego, co drzymało w duszach, a co odgadnąć i wypowiedzieć mógł tylko poeta.... Wspomnienia i obrazy z świeżej wojny były ich głównym tematem. Jeżeli nie tak prędko, jak dziś leci myśl po drucie telegrafu, to z równie zadziwiającą szybkością przenosi się piosenka z miejsca na miejsce. Już w 1832 r. obiegały niektóre po kraju na skrzydłach tonów, i nie było prawie domu, gdzieby nie śpiewano: „Lecą liście z drzewa“ — lub „Nie masz pana nad ulana“ i wielu innych.

W następnym dopiero roku wyszedł w Paryżu tomik pod tytułem: *Pieśni Janusza*; gdy się zjawił, powitano go z uniesieniem, i wszyscy dowiedzieli się pod sekretem, że Januszem jest Wincenty Pol.

Odtąd popularność poety, jak kropla upadająca na jasną szybę jeziora, zakreślała coraz szersze koło rozgłosu.

Dar liryczny jest cudownym darem; można znać wszystkie tajemnice sztuki, tworzyć pieśni, które umysł i serce zachwyca, a jednak będzie im nie dostawać czegoś, coby je lotnemi zrobiło....

Jest legenda o dzieciątku Jezus, które zabawiało się lepieniem ptaszków z błota i piasku, a gdy stanął długi ich szereg — klasnęło w rączki i zaraz w powietrze uniosło się stado wróbli.

To samo dzieje się z liryką, i jeśli klasniesz, a pieśń w świat poleci, już twoja wygrana.

Taką wygraną cieszyły się pieśni Janusza. Popularność swoją winny były nietylko opiewaniu wojennych czynów czy to w Koronie, czy na Litwie i Rusi, lecz głównie szczęśliwie pochwyconemu i użytemu tonowi i zakrojowi pieśni gminnej. Można powiedzieć, że Pol temi pieśniami naturalnej prostoty, a rycerskiej fantazyi, zadał cios śmiertelny balladzie i romaney, wprowadzonej przez szkołę romantyczną; odtąd bowiem, jak jego piosnki i gawędy zjawily się, ballada popadła w zupełny dyskredyt. Poezya znalazła się przez to samo w swoim czysto narodowym żywiole, czyli, tłómacząc się jaśniej, dawała tylko to, co wzięła z życia narodu, czy obecnego czy przeszłego. Zapewne proceder ten nie mógłby pozostać ostatniem słowem poezyi;

zawsze atoli był to nader ważny zwrot, który i z innych stron znalazł potwierdzenie; *Pan Te-deusz* dokonał tego w rodzaju epickim, co Pol przedsięwziął w liryce.

W pierwszym tym występie poety trzy główne rzeczy służyły mu za temat: Bóg, ojczysta ziemia i rodzina; i odtąd aż do końca swego pisarskiego zawodu pozostał im wierny. Szalona i rozezochrana literatura francuska, będąca podówczas bardzo w modzie, nie potrafiła go popchnąć do tak zwanój egzageracyi, w jaką popadli inni pisarze, którym zdawało się, że poezyi obowiązkiem jest drażnić nerwy, niepokoić i niesmak przesytu w duszach obudzać. Również i druga moda ironii i sarkazmu ze swoich własnych uczuć i wierzeń, nie czepiła go się; poeta, co czuł, w to wierzył — w co wierzył, to czuł; nareszcie i chorobliwo mgliste krążenie w sferach religijno-filozoficzno-mistyczno-apokaliptycznych, porywające tylu ekliwio nudnych naśladowców genialnego myśliciela-poety, nie porwało go z ziemi, z którą się duch jego zespolił. Pokusom tym nie dał się wziąć, choć miały urok nowości. Muza jego, jak nie zmieniała swego sielskiego stroju, tak wiernie stała przy zakonie ojców, a jeśli nie przywdziewała ciężkiej zbroi i nie obnażała szabli — to lubiła poglądać na

trofea wiszące na rysiej skórze i gawędzić o tej przeszłości, której dzielnie służyły.

Napomknąłem już, że w pierwszym tomiku *Pieśni Janusza*, który wyszedł w Paryżu w roku 1833, znalazło się wszystko to, co w dalszym ciągu poeta rozwijał na szerszą skalę. Jednej tylko piosenki nie tykał już więcej, piosenki, w której był nad podziw szczęśliwie schwycony ton pieśni gminnej, a mianowicie ruskiej dumki. Ale też i nie były czasy po temu.... W miejsce ruchliwego życia obozów, tryumfów tu i owdzie odnoszonych, uśmiechających się nadziei i tej dziarskości ułańskiej, wierzącej w grot nastawionej lancy, jak w zbawienie, nastąpiły lata twardej prześladowań, bolesnych upokorzeń, rozdzierających rozłączeń.... Wyzywająca fantazyja, szablista wesołość przy kielichu i pieśni, przybrała charakter tajemniczy, spiskowy. Ludzie przestali głośno mówić, zato więcej udzielali sobie na ucho każdej nowostki, pochwyconej z paryskich bruków; krzyżowały się więc najsprzeczniejsze pojęcia i teoryje, które zamiast tworzyć silny organizm narodowy, coraz więcej rozbiły tę społeczność, która tylko jednolitością mogła być czemś lub niczem. Minał już czas na pieśni, jakie polały się z piersi poety w pierwszej chwili po spadnięciu zasłony na krwawy dramat wojenny. Wszystko było wtedy ciepłe

entuzjazmem wybijającego się na wolność narodu, a sam upadek jeszcze nosił piętno wielkości. Pieśń przeobrażała się pod piórem poety w tęskną elegię lub w dydaktyczną apostrofę. Natomiast utrzymała się gawęda, której prześliczną próbkę dał w *Pieśniach Janusza* pod napisem: *Wieczór przy kominię*.

Wracając do pieśni w tym zbiorze zawartych, spytajmy, co robi ich wdzięk? Oto wielka naturalność i prostota, jakies wsłuchanie się w piosnkę gminną i że tak powiem zaszczepienia na nią fanfazyi szlacheckiej ze wszystkimi wspomnieniami Barskiej konfederacyi, którą poeta uważał za objaw najczystszy narodowego ducha, a zatem wolny od wszelkiej przymieszki obcych wyobrażeń; w czem jeżeli się nie omylił pod względem etycznym i poetycznym, to na polu polityki nie mógłby go usprawiedliwić.

Anarchiczny wybuch zadawał ostatni cios państwowemu organizmowi i wtrącał Rzeczpospolitę w taki stan niemocy, że ta, jak nieżywe ciało, rozciągnięte na stole anatomicznym, dała się krajać.

Poeta miód tylko brał z tego kwiatu, truciznę zostawiał historyi i polityce. Jemu szło o utrzymanie tradycyi, o rozbudzenie jej w umysłach coraz więcej odlatujących od staroświeckiego prostego obyczaju i od gorącej wiary

ojców; czerpał ją więc z najbliższego źródła, czerpał w chwili duchowego budzenia się i rycerskiego porywu w obronie wiary, prawa i godności Rzeczypospolitej.

Dziwna to gra odbywała się w świecie pojęć, uczuć i działań.

Pieśniarz nawoływał rzewnym głosem do przechowywania w domowym ognisku tej pięknej tradycyi; serca lgnęły do wspomnień żywo zbudzonych, a głowy łowiły echa najsprzecznich wyobrażeń, załatwiających ze świata innych potrzeb, innego ustroju, innych stosunków. Nowościom tym, gorliwie sianym, dano nazwę rozumnej praktyczności, eksperymentalnej polityki, postępowych dążeń, a w mniemaniu, że z przyswojeniem sobie tych teoryj i programatów działania, jakie się gdzieindziej praktykowały, dojdziemy nierównie prędzej do celu naszych pragnień, niż gdybyśmy stali twardo przy zakonie ojców, i rozwijając się podług tej wytycznej, coraz doskonalsi duchem chrześcijańskim, utworzyli prawdziwą potęgę moralną, któraby mogła imponować sile brutalnej. Po przegranej na rękę, naród-ofiara miał jedyną rolę odwetu na tej wspaniałej drodze poświęceń się, abnegacyi, cierpliwości, wytrwania. Mickiewicz w Księgach pielgrzymstwa podniósł to, zapoteozował na krzyżu przybitą męczennicę; a nim śpiewak *Przed-*

świtu i *Psalmów* w całej pełni rozwinął, Janusz zamknął swoje powstańcze i konfederackie pieśni prorocstwem kapłana polskiego, gdzie ta myśl snuje się przez kilkanaście pięknych wierszy.

O! wszystkim ludom pójdiesz Polsko przodem,
Bo wielkie czucie łono twe rozgrzeje,
A twa się cnota po świecie rozleje,
Jak się krew twoja po ziemi rozlała;
Wytrwaj, a staniesz potężna i cała.

A dalej, w konsekwencji praktycznego zastosowania tej wielkiej misji w ludzkości:

Świat się urządzi Twojemi prawami,
Sama się zdziwisz nad władzą Twych cudów,
Bo Twoi wieszczce będą prorokami,
A Twoja księga ewangelią ludów, itd.

Opuszczam następujących kilka wierszy, w których poeta robi nasz naród ukrzyżowanym Chrystusem, i wszystkie święte symbole chrześcijaństwa przenosi na niego. Uważać to potrzeba, jako pierwszy wybuch uczucia i wyobraźni po świeżej katastrofie; w następstwie bowiem nie popadł już nigdzie w tę egzagerację; sprawy ludzkiej i bardzo ludzkiej nie mieszał już z Boską, co jednak nie przeszkadzało mu zawsze i wszędzie objawiać ducha głęboko przenikniętego uczuciem religijnem i prawdami, które nam

Kościół, matka nasza, do wierzenia i praktykowania podał.

Śmieszne było uroszczenie antagonistów i detraktorów naszego poety, gdy chcieli upatrywać w późniejszych jego utworach coś innego, niż było w tomiku Januszowym, któremu nie szczędzono hiperbolicznych pochwał, aby poematom, jakie w dojrzałym wieku tworzył, zarzucać inne kierunki, odstępstwo od rdzennąj myśli itp. Tymczasem mało jest pisarzy, którzyby bardziej byli ze sobą zgodni od pierwszego wystąpienia do końca, jak zgasły poeta. Bóg, ojczysta ziemia, rodzina — to jego trylogia, to granica jego horyzontów, wcale nie ciasna, aby potrzebował szukać cudzych bogów; to świat jego miłości, wystarczający mu, bo kochając i ziemię i ludzi, nie potrzebował zatem deptać i rozwalać, jak to czynią nowocześni architekci ruin.

Wincenty Pol, powróciwszy z zagranicy, zastał niezwykłym ruchem ożywioną Galicyę. Prowincya ta otworzyła domy i serca tysiącom robotników, którzy niezawodnie byliby się usadowili i dali użyć do pożytecznej pracy, jakiej brak dawał się widzieć w każdym kierunku, gdyby władze nie zaczęły ich niepokoić, zmuszając do wyjazdu za granicę. Stan ten pogorszył się, gdy w r. 1833 przybyli z Francyi emisaryusze z za-

miarem robienia wypraw zbrojnych na terytorium sąsiedniego Królestwa. Rząd, korzystając z pozoru, odrzucił dotychczasowe względy i nieprzyjaciół Rosyi zaczął ścigać jakby swoich własnych, z zaciętością mającą nietyle charakter solidarności politycznej, ile służbistości uległej rozkazom sąsiada. Rewizye domowe, wyprawy none otaczające siłą zbrojną mieszkania obywateli, wleczenie do więzień tak przechowywanych jak przechowujących, konfiskaty listów, papierów, książek; długie procesa, srogie wyroki — Karmelity, Kufsztainy, Spielbergi — oto historia kilkunastu lat meternichowskiego systemu w Galicyi. Odtąd każdy stawał się podejrzanym władzy, ktokolwiek wykroczył po za sferę téj nicości, na jaką kraj był skazany.

Patryotyczne uczucie autora pieśni Janusza ciągnęło go do ruchu budzącego się w umysłach; znał wiele osób, przejeżdżał się w różne strony, a choć nie przykładał ręki do robót, często hazardownych i lekko pomyślanych, ale już to samo, że pisał i uczucie polskie objawiał, robiło go podejrzanym....

Zaznajomiony z hr. Ksawerym Krasickim, który mu poruczył gospodarstwo w swoim majątku Sanockim, lubo siedział w cichym zakątku gór malowniczych, otoczony sąsiedztwem, gdzie się jeszcze utrzymywał staroświecki obyczaj,

a ciągle niemal przebywał w towarzystwie starca, będącego żywą tradycją ostatnich dni Rzeczypospolitej, niemniej jednak głos poety nie przedzierał się do publiczności; pesymiści przypuszczali nawet, że zaczął i skończył na pieśniach Janusza, zapominając o dwóch ważnych okolicznościach, niesprzyjających wcale poetycznej produktywności, która ma wiele podobieństwa z rośliną zwaną *sensitiva*: poeta zostawał przez lat wiele pod dozorem policyjnym, każdy krok jego był śledzony, każde poruszenie się z miejsca potrzebowało pozwolenia cyrkularnej władzy. Nie bardziej nie kępuje swobody ducha, polotu myśli, jak oko nieproszonego anioła stróża, które cię przygniata i rozstraja. Drugą niemniej ważną przeszkodą była niemożebność publikowania tego, co się napisało, w krajowych drukarniach. Cenzura zapamiętałej surowości, przewlekła jak procedura sądowa, zwracała bazylijszkowy wzrok nietylko na rzecz napisaną, lecz i na piszącego. Przedmiot najobojętniejszy nie uzyskał aprobaty, jeżeli nazwisko autora źle brzmiało w urzędowych sferach. Posyłać za granicę, nie było widoku — raz, że mogło narazić na przykry proces i więzienie; podrugie, że przemycona książka nie jest publikacją, która wszystkich dochodzi i pozwala o sobie mówić otwarcie.

W owej tedy epoce grozy obiegał jeden nowy utwór Pola, w rękopiśmie.

Była to: *Historja szewca Jana Kilińskiego*, opowiedziana wierszem, a przypominająca wyrażeniami i stylem Pamiętnik tegoż Kilińskiego, wydany w Warszawie w czasie powstania. Poeta nadał wiele życia całej téj walce ulicznej między załogą moskiewską a ludem, którego bohaterem był Kiliński, zacny obywatel miejski, używający wielkiej wziętości między swoimi, bo jak mówi poeta:

Gdy Jan zawsze prawdą chodził,
 Więc rej w całym mieście wodził;
 Prym miał między sławetnymi,
 A w gospodzie, w dniu godowym,
 Starszy w bractwie różańcowem
 Siedział w ławie przed wszystkimi.
 Furda wszystkie kasztelany;
 Jemu to szedł ukłon z koła,
 Kiedy on to rznął przybrany
 W dzień świąteczny do kościoła.
 Bo też była diabla mina,
 Wąs do góry, w tył wyloty,
 W ręku srebrem kuta trzcina,
 But chędogi — a pas złoty...

Poeta idąc za Pamiętnikiem, a raczej stawiając się w osobie Kilińskiego, nie pomija

epizodu egzekucyj stryczkowych, dokonanych bez sądu:

Więc biskupy, więc hetmany,
 Więc nieszczere inne pany,
Jak Bóg kazał, podyndali
 I nogami świat żegnali.

To: *jak Bóg kazał*, tak sprzeczne z autentycznym przykazaniem Boskiem: „nie zabijaj“, a niemniej i z przekonaniem poety, który nigdy się do takich zasad nie przyznawał, i jeszcze kilka rażących miejsc, były powodem, że Kilińskiego nie znajdujemy w zbiorze różnych wydań poezyi Pola, co wszakże, jak się domyślać można, posłużyło za fundament dla jednego z demagogiczno-bezwyznaniowych organów, że opierając się na nim, zabrał Wincentego Pola *cum boris, gais et graniciebus* na swoją własność. Już poeta ten nie należy ani do tradycyjnej Polski, ani do katolickiego kościoła — skonfiskowano go doraznym wyrokiem; a zwłoki jego ledwo ziemią pokryte, poruszyły się zapewne na wiadomość o tej aneksyi, przeciw której całe życie protestował, i to nie na jednym miejscu.

Posłuchajmy, co mówi poeta o tych, którzy go dziś za wyznawcę swoich destrukcyjnych zasad poczytywać radzi:

„Najpierw ludzkość radziby oślepić.
 I jad podłości w jej duszę zaszcześcić,
 I życie ludzkie obnażyć z uroku,
 I ludzkość odrzeć ze wszelkiej uludy,
 By brnęła w błędy i własne ich brudy,
 Bez Boga w sereu i bez światła w oku...
 Lecz że niesporo idzie im robota,
 Więc się nawzajem szyderstwami parzą,
 I drząc przed bojem wojują potwarzą,
 A za zwycięstwo stoi im sromota!
 Codzień się wiecznie tą trucizną trują;
 A choć człowieka zdeptali nogami,
 Choć krwią i błotem zbryzgali się sami.
 Chcą rządzić światem i Boga małpują.“

Poeta nie chciał mieć nic wspólnego z „pstrą
 czeladzią“, co „bożą myśl miesza i czucie za-
 brudzi“ — i nigdy mu przez myśl nie przeszło,
 aby miał być organem jakiejś frakcyi, czy fak-
 cyi, kiedy zawsze występował jak śpiewak na-
 rodu i ziemi polskiej. To właśnie jest jego wy-
 bitną cechą, jego dążnością całego żywota, za-
 cóż krzywdę robić mu po śmierci i rozdrabiać
 człowieka, który pragnął być całym, na zdaw-
 kową monetę?

Ja pieśń z ludu mam dla ludzi.

W tym wierszu żyje on cały z wiarą swoją,
 z miłością dla ludzi i dla tych, co ją uprawiają
 i jej bronią.

Po długiem milczeniu wyszła w Poznaniu *Pieśń o Ziemi naszej* w r. 1843 bezimiennie, ale wszyscy poznali w niej pióro Janusza. Na niewiele przed jej wyjściem na świat, zainteresował publiczność mały obrazek Władysława Wężyka umieszczony w *Oredowniku*, w którym odmalował gościnny domek poety na podgórzu karpackiem. Patryarchalne życie rodzinne, liczne grono gości, przybywających z różnych stron Polski, aby poznać poetę i usłyszeć jakie ożywcze słowo, rozprawy w rzeczach przyrodniczych, które gospodarza mocno zajmowały, uczty familijne, pożegnania z odjeżdżającymi przyjaciółmi, oto była sielanka, której za widownię służył domek poety. Wyobraźnia wprzód już otoczyła osobę pieśniarza nowym urokiem i znalazła analogię z Janem z Czarnolesia. Wyszła nakoniec *Pieśń o Ziemi naszej*, poemat szczupłych wprawdzie rozmiarów, na przedmiot szeroki, więcj naszkicowany niż wielostronnie wykończony, ale jeżeli nie sprawiał wrażenia wspańiale płynącej rzeki, odzwierciadlającej ruch i życie nadbrzeżne, i niebo ze wszystkimi odmianami pór i dni, to był tak wdzięczny, jak górski potok, pędzący po łożu kamiennem. Pieśniarz przeleciał całą polską ziemię od morza do morza, wszędzie zatrzymał się chwilkę i dość mu było, aby schwycić kilka tych rysów, które

charakteryzują i ziemię i lud mieszkający na niej. Prawda jest, że w tej napowietrznej podróży migają się i uciekają obrazy tak prędko, że kiedy się znajdziesz u końca pieśni, żal aż zbiera, i myślisz sobie: czemuż tak krótko? — Zapewne liryczny ton dumki, jaki utwór ten przybrał z początku, naglił poetę do pośpiechu, już może z tej przyczyny, że chciał tylko sparafrazować przed laty napisaną piosneczkę *Mazur*, a znajdującą się w zbiorze Januszowym, w której jeszcze w drobniejszych rysach mieści się to, co szerzej i barwniej, i szczegółowiej wymodelował w *Ziemi naszej*. Piosneczka ta zaczynająca się od strofki:

Piękna nasza Polska cała,
 Piękna, żyzna i niemala!
 Wiele krajów, wiele ludów,
 Wiele stolic, wiele cudów,
 Lecz najmiłsze i najzdrowsze
 Przecież czleku jest Mazowsze. —

jest jakby naczółkiem streszczającym późniejszy poemat. Cała działalność poetyczna u Pola dziwnie wiąże się z tém, co z pierwszego rzutu na świat wyszło.

Co do obrazów charakteryzujących różne ziemie dawniej Polski, najdosadniej naszkicowana Litwa i święta Żmudź. W innych przebija się

pewne rozdrażnienie, mające źródło w chwilowych opiniach. W niepochlebny obrazie przedstawieni panowie wołyńscy byli tym kozłem ofiarnym, pokutującym za innych, gorszych może i bardziej wynarodowionych, a jednak pominiętych mileżeniem.... Nie przeszkadzało to jednak, owszem pomogło wielce do spopularyzowania tej pieśni, która chwytala się pamięci i serca. Niektóre wiersze odrazu stały się przysłowiem narodem, co uważam za jeden z niepoślednich tryumfów poety. Rzeczywiście zgasły pieśniarz miał ten w każdym czasie rzadki dar, że nie będąc trywialnym, ani rubasznym, przenikał przez wszystkie warstwy społeczeństwa i stawał się ich własnością, co było wynikiem tej filozofii popularnej, jaką ma każdy naród, a w którą się tak głęboko wczytał, a raczej odgadł ją przez intuicję.

Pieśń o Ziemi naszej podniosła najwyżej sławę poety. Jest też to najbardziej oryginalny z jego utworów. Wszystko tu brał z pierwszej ręki, z tego co widział, a widziane w ogniu ducha swego przetwarzał i złościł. Wędrowny śpiewak nie troszczy się o żadne wzory i przepisy sztuki:

Mego serca pieśni własnej
 Słucha tylko miesiąc jasny
 I stuletni dąb.

Można powiedzieć, że ze wszystkich naszych poetów umiał on być najmniej literackim, i w tém właśnie tkwi ta jego oryginalność, która często wprawia w kłopot krytykę.

Około tego czasu ukazała się we Lwowie, już z nazwiskiem poety, gawęda pod napisem: *Przygody J. P. Benedykta Winnickiego*. Zajmujące to opowiadanie przygód podróżnych dworzanina p. Cetnera, wyprawionego z Krakowca z listami do Nieświeża do Radziwiłła Panie Kochanku. Przedmiot ma tyle życia i różnaitości, opowiadaniu towarzyszy taki dobry humor, takie zacięcie *à la Pasek*, lub *Soplica*, że myśl przenosi się w dawne czasy, i jeszcze ztamtąd bierze piękny i godny naśladowania przykład o rygorze domowym i powadze ojcowskiej, stojącej na straży rodziny.

Podobnym krojem spisał poeta dwie inne gawędy, jako to: *Senatorską Zgodę* i *Sejmik w Sądowej Wiszni*. W pierwszej wprowadza Krasickiego, X. biskupa Warmińskiego, i z prawdziwą miłością kreśli wizerunek tego męża, który tak wielki miał u nas wpływ na reformę obyczajów.

Grzeczny, miły, dowcipny, a jak król dostojny:
 Pogodny jako słońce, a jak ziemia hojny;
 Choć wierszem komu przyciął, każdy mu przebaczył,
 Gdy się tylko pokazał lub przemówić raczył.

W drugiej gawędzie maluje nam obrotu sejmikowe — postać księcia jenerała ziem Podolskich, ukazana z anegdotycznej strony. Książę z nieporównanym humorem opowiada powieść o trzech szlachcicach, którzy djabła złapawszy na pasek Ś. Franciszka, pytali go, za co im dokucza?

— Za wasz język niegodziwy — odpowiedział djabeł — poczem książę jenerał lubiący nieraz dobrze przyciąć braci szlachecie, dołożył ze swojej strony:

Djabłu to się sprzykrzyło, a mnie ma się nadać?
 Ej szczęki że to szczęki! pyski że to pyski!
 Jak rozumiem Mosanie, Samson bardzo chybił,
 Bo gdyby był pochwycił, miasto oślej szczęki,
 Taki pysk niepoczeiwy do potężnej ręki,
 To byłby Filistynów nie tak jeszcze wybił.

Prawdziwy to brylancik dowcipu i jowializmu staropolskiego, który już dziś do archeologii należy.

Gawęda jest rodzajem wprowadzonym przez Pola. We wszystkich większych, nawet tej obszerności poematach, jak *Hetmańskie pachole*, jak *Mohort*, *Wit Stwosz*, zachował tę formę i trzyma się jej statecznie, nigdy nie folgując. Właściwie biorąc rzecz, gawęda była jakby wypoczynkiem dla epika, który pokazawszy swego bohatera

w samej akcji, chce go jeszcze dać poznać i z tych czynów, jakie nie weszły w zakres epepei, i każe mu opowiadać. Tak przez cztery pieśni opowiada swoje przygody Odysseusz w pałacu Alkinoosa; tak Eneasza Didonie — tak wreszcie, pomijając już tyle innych, opowiadają anegdoty różne osoby w Panu Tadeuszu, a w najważniejszej chwili śmierci ksiądz Robak swoją przeszłość tajemniczą. Co nie mogło pomieścić się w toku akcji, to zwykle znajdowało miejsce w opowiadaniu czyli gawędzie. Otóż poeta nasz przyswoił sobie tę część epiki i dał jej poważne rozmiary poematu i język urobiony na sposób staroświeckiej rozmowy potocznej, jaka, bądź w niektórych przechowała się pismach, bądź od starców w tradycyi podaną mu została. Ponieważ opowiadający czyli gawędziarz, w przypuszczeniu musiał być świadkiem tego, co opowiadał, więc i odpowiedniego używał języka. co nadawało przedmiotowi pewien pokost dawności. Poeta tak się wrobił w ten ton kontuszowej powagi, tak sobie przyswoił zacięcie i fantazyę szlachecką, że mu to płynęło z dziwną łatwością, która jednak mogła stać się konwencyonalną rutyną, gdyby zawsze jakiś połysk myśli szlacheckiej, jakiś rzewny rys, jakieś słowo więzzące w duszy jak grot strzały, nie znalazły się pod warstwą sztucznej śniedzi. Poetę zawsze

znajdziesz tam, nawet w najmnień udatnym utworze, podobnie jak po dźwięku odgadujesz szlachetny kruszec.

Nadszedł pamiętny ogromem nieszczęść rok 1846. Zastał on poetę na wsi, u przyjaciela w okolicy Jasielskiej, gdzie grasowała tak zwana rabacya. Napadnięty we dworze, pobity i pokaleczony, dostał się do więzienia.... Więzienie było więc rodzajem pożałowania czy opieki dla ofiar, padających pod razami rozbestwionego tłumu. Już dziś potworność ta zdaje się być niepodobną do wiary, a jednak każdy, z którego duszy nie wypędzono, przechodził tę kolej. Wincenty Pol przeszedł jak wszyscy przez proces więźnia politycznego, wysiedział kilka miesięcy i został puszczony na wolną stopę.... W zawierusze téj miało zaginać wiele jego prac poetycznych i naukowych.

Właśnie w tym roku boleści wyszły we Wrocławiu jego *Obrazy z życia i podróży*.

Zbiór ten poezyi, nie naznaczony jego nazwiskiem, lecz łatwo pozwalający je odgadnąć, przeszedł bez rozgłosu. Prawda, że krwawy dramat zakrywał wszystko inne, że obok téj ja-skrawej akcji bladło wszelkie słowo, choćby padło z ust największego jeniusza — a cóż dopiero poetyczne dumanie wśród skał tatrzańskich, lub obrazki z życia górskiego ludu, takie siel-

sko niewinne! Niemniej jednak, choć i spokojniejsze nastąpiły chwile i zaczęto się interesować płodami naszych poetów i pisarzy, nowy ten zbiór nie wywołał tych uniesień, jakie zwykle towarzyszyły dotychczasowym utworom Pola. Dlaczego? Trudno sobie wytłómaczyć, gdyż poczyte te mają bardzo wiele zalet; czuć w nich swobodne i zdrowe powietrze górskie: przesuwają się wspaniałe i straszne sceny natury, w których człowiek bierze udział i tęp samem odslania stronę swego charakteru, mającą pełno uroku i nowości dla mieszkańca równin. Poeta wystudował górala w różnych położeniach; pokazał go, jakim jest przy ognisku domowem, jakim w zapasach z żywiołami, jakie ma pojęcie o reszcie świata — za górami. Motywa te przyodział wdziękiem poezyi, co więcej przeniknął nią i człowieka i jego skalną siedzibę. Zdawałoby się więc, że miał tytuł do zainteresowania czytelników tym utworem, lecz inaczej się stało. Zanadto ich przyzwyczaił był do dawniejszych akordów swój pieśni — i publiczność chciała zapewne, żeby jej śpiewał na dawniejszą nutę. W tych też obrazach rzeczywiście poeta odstąpił od swego zwykłego sposobu; jest, można powiedzieć, więcej sam sobą, szczególnie w ostatniej części, która ma tytuł: *Obrazy z życia*. Są to wewnętrzne spowiedzie poety z tych wra-

żeń, jakie mu potok zdarzeń powszechnych przynosi. Pełno tu wielkich myśli, obok wybornéj diagnozy ducha wieku, o którym powiada:

Chłodno i trzeźwo — wiek niby dościgły,
 Jak obrażony owoc i wpół zgniły;
 A człowiek mądry i jak wąż wystygły,
 W słabości wroga szuka tylko siły.

.
 Ani spoczynku doznać, ani znoju,
 Gorączką głodu zmorzony, człek znów syty,
 I drży przed śmiercią, choć żyje w pokoju,
 Nie ma zwycięzcy, a świat jest podbity!
 I tłum się w błędach coraz więcej podli,
 I choć ochrzczony, żyje jak poganin,
 I jak śród pogan żyje chrześcianin!
 Więc jakże nazwać ten wiek obrzydzenia,
 Gdzie człek niewolnik, niby upiór wolny!
 Ten wiek bez siły? Ten wiek *oskarżenia*,
 Co nawet śmierci wydać nie jest zdolny?

Mistrzostwo Pola zawsze odznaczało się szczęśliwym, jeniałnem pochwyceniem rysów, dających najdoskonalsze podobieństwo. Niekoniecznie jest on malarzem, starającym się o dokładny rysunek, o całość kompozycyi, o harmonię ogólną — to go mniej obchodzi; za to w częściowych rysach, oddanych kilkoma pociągami, tyle jest życia, taka głębia prawdy, tyle blasku, że już to robi wyrozumiałym na inne niedostatki. Wartoby ułożyć z pism jego antologię i wybrać

te brylanty spotykające się u niego nawet tam, gdzie się nie spodziewasz ich znaleźć.

Publiczną katastrofą, o której wyżej napomknąłem, wyrwany poeta z sielskiego życia tak sprzyjającego marzeniom, tak usposabiającego miłościwie dla świata, z którym się mniej człowiek styka niż w wielkich ogniskach cywilizacyi, przeniósł się do Lwowa, objął redakcyę czasopisma „Biblioteki Ossolińskich“ i nadał temu naukowemu przeglądowi, skazanemu na długą w wychodzeniu przerwę, nieco więcej żywotności, niż miało dawniej za Siarczyńskiego i Słotwińskiego. Rok 1848 położył koniec temu wydawnictwu. Kraj, wyzwalający się z pod ciężkiego ucisku namiętnie rzucił się do polityki; dla literatury i nauki nie było miejsca. Obejrzał się poeta po téj widowni ruchliwej i domagającej się życia, jaką przedstawiała nasza prowincya, i dopatrzył, jak naukowa instytucya, uniwersytet krakowski, w przeobrażeniu swoim zaczął przybierać cechę czysto narodową, do której łatwiej mu było wrócić, niż innym podobnym instytucyom niemającym przeszłości. Ówczesny minister oświecenia, Thun, przyjazny téj reformie, potwierdził powołanych przez Senat akademicki na katedrę kilku znamienitych profesorów rodaków, a między innemi pozwolił na utworzenie katedry jeografii, do zajęcia której

Wincenty Pol był powołany. W r. 1850 rozpoczął nowo mianowany profesor wykłady swoje w przedmiocie, w którym miał wiele zamiłowania, i zapewne przedmiot ten umiałby postawić na stopniu ścisłości naukowej, gdyby nie była „zaszła zmiana w scenach widzenia“ w sferach rządowych. Z początkiem 1852 r. akademia Jagiellońska z czysto polskiej miała się przemienić w uniwersytet niemiecki: czterem profesorom dano jednego dnia odprawę, w liczbie tej Pol był objętym....

Pozbawiony posady wrócił się do gęśli, zawieszonęj na ścianie przez czas, kiedy obowiązek publiczny wymagał od niego innego rodzaju pracy. Teraz mógł sobie powtórzyć za Kochanowskim:

A ktoby chciał na świecie
Uważać, co się plecie,
Dziwnie to prawdy blisko,
Że człek Boże igrzysko.

Gęśl, stara przyjaciółka, „myśli strapiionych wdzięczna ochłoda“, znowu przyszła do rąk swojego pana.

Mohort, poemat szerszego zakresu, spoczywający w tece, rozpoczął szereg publikacyj, które się obficiej posypały przez ciąg lat kilkunastu.

Pierwsza edycja *Mohorta* rozerwaną została w krótkim czasie przeciągu.

Ostatni ten rycerz chrześcijański, jak za życia stał „szłupem granicznym“, tak podobno i w literaturze poetycznej jest tym „granicznym szłupem“, który kończy tradycję Rejów i Kochanowskich. W tym prądzie nie ma się czego spodziewać; prądy dzisiejsze bliższe poziomemu, podnoszą tylko tumany piasku, lub kończą się w bagnach. *Mohorta* nie wypada brać ze strony artystycznej, książkowej kompozycji. Sam poeta protestował przeciw temu, tradycyji nie rozbiera się, ale się ją uświęca albo odrzuca.

Nie wiem, czy publiczność umiała sobie zdać z tego sprawę, ale to pewna, że pocziwym instynktem serdecznie przyłgnęła do tego *Mohorta*, tego ostatniego rycerza, o którym powiedział książę Józef:

Był to ostatni rycerz z pod szyszaku,
 Ostatni od szlaku;
 Dusza hartowna, wielka i pobożna,
 Po nim — żołnierzem być już tylko można.

Jest też coś głęboko tragicznego w tej postaci. Śmierć *Mohorta* na Boruszkowieckiej grobli, to jakby uderzenie ostatniej godziny dla Rzeczypospolitej. Odkąd ten szłup graniczny powalił się, odtąd granic już nie było. Nie podnosi tego

poeta, ale to samo wiąże się w myśli czytelnika, jeśli chce sobie zdać sprawę, jakie może mieć znaczenie tak niskiej rangi oficer kresowy, nieznany w historii, obok świetnych imion, napełniających karty naszych dziejów... Poeta usymbolizował w nim dawne rycerstwo polskie; z kilku słów podanej sobie tradycyi stworzył ideał, któremu dał wszystkie warunki rzeczywistej prawdy. Nie jest to pianka wyobraźni, lecz postać z krwi i kości. Zapewne przez zetknięcie z nią czytelnika w bezpośrednim stosunku, nie przez epizodyczną opowieść trzeciej osoby, można było sprawić wrażenie potężniejsze, niż który utwór nowszych czasów mógł sprawić.

Ale poeta miał szczególniejszą skłonność do tej formy kompozycyi, przypominającej fryzę, którą sam nazwał „artystycznym gościńcem starożytności”. Czego rzeźbiarz nie mógł wypowiedzieć w posągu, wyrażał w girlandzie grup i scen powiązanych ze sobą — zawsze jednak posąg był najwyższém zadaniem twórczego geniuszu.

Pokazuje to, jak dalece w obraniu odpowiedniej formy szło naszemu poecie o coś bardzo swojskiego, rodzimego, wolnego od wszelkiej naleciałości. Niedarmo, oprócz ustnej rozmowy z ludźmi dawniej daty lub z różnych stron kraju, przepadał on za starymi pamiątkami,

dyaryuszami, kalendarzami, w których spisujący swoje promemorya szlachcie mówił językiem potocznym, bez żadnej przymieszki klasycznych reminiscencyj; dla tej samej przyczyny i ksiądz Baka, rubaszny melancholik, interesował go swoją wierszowaną siekanką, że nawet coś podobnego przyswajał sobie tu i owdzie, aby utrzymać koloryt i zacięcie staroświeckie.

Ztąd też w niektórych swoich poematach, które gawędami nazywał, trzymał się dyaryuszowego układu, gromadząc idące po sobie szczegółowe rysy, obrazki, sceny, epizody. Widocznie nie chciał on nie mieć wspólnego ani z formą starożytniej epopei, ani z nowożytnym powieściowym poematem Byrońskim. Dążność ta antyliteracka nadała pewną ociężałość jego płodom; akcyja łamana ciągłemi epizodami, nie porywa za sobą czytelnika, ani uwagi jego nie trzyma w nateżeniu.

Widać to szczególnież na późniejszym poemacie *Pachole hetmańskie*, który podobnie, jak *Mohort* tradycyę rycerza chrześcijańskiego, miał wytłómaczyć tradycyę chrześcijańskiego hetmana, atoli, gdy ta ostatnia zupełnie wygasła z pamięci nowszych pokoleń, interes okazał się słabszym dla pacholecia, niż był dla Mohorta, współczesnego z Kościuszką i Księciem Józefem; poeta niemalże też zażył trudu, żeby dzisiaj ży-

jącym uprzytomnić zdarzenia i ludzi, których trzeba było odgadywać z książkowych relacyj.

Zastanawiając się nad różnicą zachodzącą między powodzeniem różnych utworów Pola, uderza nas pewna oziębłość, z jaką przyjęty był tomik wydanych zaraz po Mohorcie drobniejszych jego elegij. A są tam kawałki skończonej piękności, drgające uczuciem poetycznem, wysokimi myślami porywające. Jeszcze raz prawdziwy liryzm Janusza wyrывa się z téj piersi, nie już młodzieńczym ogniem rozgrzanej, lecz zranionej cierniami życia. Jakież to cudne perelki, te strofki, w których zwrócony w swoją przeszłość, przebiega kolej lat młodych, pełnych wiary, natchnienia, uciech niewinnych i marzeń. Różnobarwną tę wstęgę roztoczywszy przed nami, napomyka w końcu o uroczystej, a tajemniczej chwili, w której ślub złożył Bogu:

Wiernie służyć wiernej sprawie
I pocziwój ojców sławie,
I cześć sercem, co jest święte,
I w światłości tam poczęte.

A dalej, robiąc zwrot do swojej terażniejszości, po latach wielu:

Com zaprzysiągł owéj noey
Przy Twéj łasce i w téj mocy,
Jam dotrzymał Wielki Boże....

Bo kto z wiarą szedł na czele
 I do dania kto miał wiele,
 Ten nie nie ma już do wzięcia.

Potomność, daj Boże szczęśliwsza, bo czerstwiejsza duszą i zdrowiem, odda sprawiedliwość poecie, który najdroższy skarb duszy, wiarę ojców w czystości przechowaną, w każdym dźwięku swój pieśni wygłaszał. Ku jakimkolwiek przedmiotowi myśl skierował, wszędzie wmieszał myśl o Stwórcy, wszystko odnosił do boskiego początku, jakby wieszczem natchnieniem przeczuł, że może przyjść tak oplakany dla ludzkości moment, że ta w świętokradzkim zaślepieniu siebie na miejsce Boga postawi i sobie bić czołem rozkaże. Miał on jasnovidzenie gotującego się w obłąkanych umysłach przewrotu, kiedy ciągle nawoływa do wierności Bogu i jego kościołowi, do wierności domowym poczciwym obyczajom i tej ziemi, z którą wszystko nas wiąże.

Więc wola twoja, więc dom ojcowy,
 I one wdzięczne stare dąbrowy,
 I te mogiły, gdzie dziadów kości —
 Toć twoje skarby, toć twe miłości,
 Toć wierne sercu twemu kochanie,
 Bo wiele minie — a to zostanie.

W tych elegiach i legendach są niektóre odznaczające się pierwszorzędnymi przymiotami,

jak: *Pacholę na grzybach*, *Makowe ziarnko*, *Kometa* i wiele innych; zgoła mnóstwo tu rozsypanych piękności, które jednak, żeby takimi się wydały, muszą być przyjęte z pewnem namaszczeniem; uspokojenie wewnętrzne łatwiej się z nimi porozumie, podobnie jak na spokojnej szybie wody wyraźniej się malują brzegi, niż na wzburzonej wiatrem.

Ostatnim większym poematem Pola, jest *Pieśń o domu naszym* (wydana we Lwowie 1866). Na samym wstępie mówi:

Nim ta struna jeszcze pęknie,
Zanim wyda jęk ostatni,
Niech od serca na niej brzęknie
Po staremu śpiewak bratni.

I rzeczywiście krojem *Pieśni o ziemi naszej* śpiewał o domu, o rodzinie...

Kiedym w świat szedł sercem z młodu,
„Pieśń o Ziemi“ dla narodu
Jam wam poniósł — dziś z pogromu
Ja wynoszę „Pieśń o Domu“.

Poemat ten ma cechę przeważnie dydaktyczną, co mniej więcej charakteryzuje poczytanie Pola. Niektórzy chcą mu z tego robić zarzut, powiadając, że żywioł dydaktyczny nie sprzyja prawdziwej poezji. Mniemam, że zarzut ten bez-

względnie postawiony, nie ma za sobą słuszności. Weźmy tylko poezję od najdawniejszych czasów, u różnych ludów, a znajdziemy ją zawsze wmięszaną tak do obrzędów jak modłów, użytą do przechowywania podań religijnych, praw i przepisów obyczajowych. Ileż to takich poematów nie mieści w sobie zdań stariej mądrości, czy to w formie powieści, czy zagadek, czy sentencji. Cóż jest naturalniejszego, a tem samym bardziej natchnionego, jak ta pierwotna dążność do połączenia prawdy z pięknem, jak ta poezya nauczająca, dydaktyczna, przez nowoczesnych estetyków, wyłącznych admiratorów wyobraźni i kolorytu, skazana na ostracyzm, jako poezya epok upadku — a tymczasem wszędzie się ona spotyka w samych pierwocinach każdej wielkiej literatury, od Hezyoda aż do nieznanych poetów Eddy Skandynawskiej. Dydaktyka — to rozum, to prawda rozumna. Był czas, w którym utrzymywano, że poezya powinna się rządzić tylko czuciem, a z rozumem nie mieć nic do czynienia. I rzeczywiście obchodziła go z daleka, ale też i sama traciła na ciężkości gatunkowej.... Pol, miłośnik tradycyi, umiał utrzymać się w tym samym prądzie, w jakim szedł Kochanowski i Karpiński. Rozum oświecony wiarą, jak tamtym tak i jemu nie popsuł poetycznego materiału.

Jak w każdej pracy duchowej, tak i w kreacyach zgasłego poety mogą się znaleźć utwory arcy i mniej udatne; nierówność ta nieodłączną jest od wszelkiej produkeyi, a tem bardziej tak długiego okresu.

Nie zapominajmy, że przez lat czterdzieści umiał on serca rozpalać miłością Boga, ziemi ojczystej i rodziny... ton jego głębi miał uroczyście a przenikające wibracje Zygmunrowskiego dzwonu.... Myśli i uczucia poety wzbijały się na skrzydłach jak białe gołębie... wciąż ku niebu.

Zaprawdę ci, którym śpiewał, nie obciążą duszy jego wyrzutem: strułeś nas lub zbrudziłeś. Ze spokojnem też sumieniem mógł napisać sobie rodzaj *exegi monumentum*, skromniejszy niż Horacego:

Pieśni me siałem, jako zbożne ziarna,
Pod grudę wieku, pod czasu mozoły,
A jeśli serca nadzieja nie marna —
Ktoś plon tój siejby zwiezie do stodoły!

III.

To, czego Horacyusz wymaga od poety: *Sapere fons scribendi*, posiadał Pol w wysokim stopniu, obdarzony dziwną intuicyą, którą umiał przenikać i odgadywać, nawet te przedmioty, których mozolnemi nie zdobywał studjami. Sposób jego pisania szeroki; styl miał sobie właściwy, może zbyt jednostronnie aplikowany do każdego przedmiotu, co nieraz przybierało cechę maniery, acz nią nie było do pewnego punktu. Indywidualność poety wyciskała na jakim bądź przedmiocie swoją cechę, tak wybitną, że co wyszło z pod jego stempla, odrazu dawało się poznać, do kogo należy. Obdarzony silnem uczuciem, trzeźwy poglądem, mówił do rozumu i do serca; myślał i czuł — a z tych dwóch artystycznych źródeł tryskały utwory, zajmujące zarówno godne miejsce w sferze piękna, jak w sferze prawdy i dobra. Jeżeli myśl odbija się w uczuciu, widać zaraz, co człowiek nosi w swo-

jem wnętrzu i jaka jest siła ducha. Uczucie bowiem przenika pomysł wykonany przez artystę, rozświeca go i miękczy; myśl zdrowa, wiążąc się z niechorobliwym uczuciem, wydaje twór harmonijny w częściach i całości, obleka go godnością, pogodną lub szczytną, słowem dziełu nadaje przymiot niepospolitości.

Pol dlatego utrzyma się na stanowisku, jakie zajął udatniejszemi swemi utworami, że w wysokim stopniu posiada dwa powyżej wskazane przymioty. Przy dość ożywionej wyobraźni, choć niezbyt urozmaiconej, umie nad nią panować; a przytem ma dar szczególniejszy przedstawiać nam człowieka pośród żywej natury i naturze téj używać coś z tych cnót i przymiotów, jakie odkrywa w człowieku. On to sam, on poeta pod różnemi postaciami, własne swoje tęsknoty i nadzieje, gorycze i pociechy, rozczarowania na widok złości ludzkich, i gorącą wiarę w miłosierdzie Boga — zgoła osobistość swoją wzruszoną lub naiwnie rozmarzoną oprowadza po tych dworkach ocienionych lipami, gawędzi o starych czasach przy miodzie lub węgryźnie. Skały, szerokie łąny, stepy, bory — wszystkie go znają; on opowiada ich uroki — bo czyż im nie odkradł wszystkich tajemnic?

Poeta jest wszędzie pośród téj natury, którą wywołuje, kocha gorącą miłością, ożywia swoją

myślą, co więcej, podnosi i uszlachetnia tą godnością, jaka w nim ma siedlisko, słowem mocą swego czarodziejstwa daje głos niememu stworzeniu, martwocie życie, cielesności duszę.

Jest to, można powiedzieć, najoryginalniejsza strona poezyi Wincentego Pola, że naturę zespolił z człowiekiem i dał jej język — niemowę mówić nauczył.

Lubo każdemu wrodzone przywiązanie do ziemi rodzinnej, to przecież Wincenty Pol ma tę zasługę, że ją wypoetyzował nie na jakąś idealną kochankę, że się wsłuchał w cuda jej tajemnic, że je powiązał z sercem i życiem człowieka, i przez to podobnie jak Wenecyanin ślub zawierał z morzem, on Polakowi ślub dał z jego ziemią...

Mniemam, że najlepiej można się poznać z poetą, nie przez krytyczną analizę jego duchowych utworów, które najeczęściej na tej autopсії więcej tracą niż zyskują — lecz przez zetknięcie się z nim, kiedy z bogatego jego wieńca wybierze się bukiet wonnych kwiatów; co tem stosowniejszem widzę, że i sam zgasły poeta pragnął zawsze wprost z czytelnikiem rozmawiać, bez pośrednictwa komentatora lub drogmana; wiedział bowiem o sobie, że się jasno

tlómaczył; wiedział i drugie, że to, co mówił, uważał za łaskę, za dar pochodzący od Boga:

Nie jest moje, co przynoszę —
 I zrozumieć tu potrzeba,
 Gdy na ucztę dziadów proszę,
 Że te dary dane z Nieba.

Stosując się tedy do téj jego myśli, nie mogę lepiej uczcić pamięci zgasłego poety, jak podać tu wyjątki z jego licznych dzieł poetycznych, dzieląc je na dwie wielkie grupy: *Li-ryków* i *Gawęd*. Dwa te bowiem rodzaje poezyi wyłącznie uprawiał poeta.



I.

LIRYKI

I WIERSZE OKOLICZNOŚCIOWE.

Z PIEŚNI JANUSZA.

Śpiew Janusza.

Śpiewak wita wasze strony:
Niechaj będzie pochwalony!
 Pokój z domem tym!
Śpiewak wita w ojców wierze,
A kto w dom go przyjmie szczerze,
 Pieśń i Pan Bóg z nim!
Pieśń ojczysta, narodowa,
Prosta, rzewna a surowa,
 Jak nasz lud i czas;
A więc w imię pieśni waszój,
Dziejów waszych i krwi łaszój,
 Witam, witam was!
Lubię tylko powitanie,
Niech też po mnie tu zostanie
 Ten jedyny ślad;
Byście rzekli: tu przebywał,
Tutaj Janusz nam zaśpiewał,
 I gdzieś ruszył w świat.

Byłem w Litwie i w Koronie,
 Byłem w tej i w owej stronie,
 Byłem tu i tam;
 Od Beskidów do Pomorza,
 Z Litwy aż do Zaporóża,
 Całą Polskę znam.
 Znam to całe szczere plemię,
 Polskie morza, polskie ziemie,
 I tę polską sól;
 I o wszystkim marzę, roję,
 I to wszystko niby moje,
 Nibym polski król.
 Choć nieznany i ubogi,
 Gdy nawiedzę czyje progi,
 Každy z duszy rad:
 Czy to w dworze, czy w klasztorze,
 Na slobodzie, czy w gospodzie,
 Wszystkim Janusz brat.
 Kędy bracia moi smutni,
 Brat po mieczu i po lutni,
 Niosę piosnkę im;
 I obecną słodząc dolę,
 Na Grochowskie ciągniem pole,
 A sławą brzmi rym.
 Czasem brząknę mój drużynie,
 Kiedy czarna chwila minie,
 I weselszy śpiew:
 O Krakusach dzieciom nuceę,
 A powiastką w starych cuceę
 Staropolską krew.
 Nieraz z dziadem w puhar dziarsko
 Na powiastkę brzęknem Barską,
 Sławiąc polski ród;

Wówczas stary wre jak z młodu,
 Woła wnuczkę: „nalej miód!
 Boć to polski miód.“
 A cóż w świecie nad miód polski?
 Nad kord stary, snop podolski,
 I nad polski śpiew?
 Nad kraj wolny, własną niwę,
 I te polki czarno-bréwe,
 I tę polską krew?
 Siostry moje! córy Piasta!
 Zkąd to serce w piersiach wzrasta?
 Zkąd ta dusza wam?
 Co to w piersiach waszych wierzy?
 Co za dobro dla was leży
 Za bojami tam?
 My tój ziemi się dobijem,
 Lub w mogiłach znów ożyjem
 W dziejach ziemi tój;
 Lecz kto groby wam ocuci?
 Kto wam waszą młodość wróci?
 Te nocy i lzy?
 O! i jam znał takie bole;
 Lecz o młodość, o mą dolę
 Nie pytajcie mnie:
 Dość wam żem ja z krwi ochrzczony,
 Żem w nieszczęściu poświęcony,
 Znał niejedną łzę.
 Moja skarga was nie znudzi;
 Ja pieśń z ludu mam dla ludzi,
 Żale toną w głąb:
 Mego serca pieśni własnej
 Słucha tylko miesiąc jasny
 I stuletni dąb.

Hej mogiły! skały! zdroje!

Stepy! orły! dęby moje!

Z wami ja się znam.

Lecz ty dziatwo żądasz pieśni,

To już sobie Janusz nie śni;

Cóż zaśpiewać wam?

Czasem śpiewak zgadnąć umie,

Co się w głębiach piersi tłumi,

Bo i w nim ta krew;

Więc o Lachu, o orłęciu,

I o krzywěj szabli cięciu

Przynosi wam śpiew.

Bo to straszne sądy Boże,

I krew lacka cuda może,

Jest i w śpiewie jad.

„Jeszcze Polska nie zginęła!“

Toć ta piosnka rdzą przecięła

Więzy tylu lat.

Lecz czy znacie, co to boje?

Co to orły, co to zbroje?

I co wrogów dłoń?

Ile krwi się w sercach spiekło?

Ach! a ile jēj wyciekło

Na ojezystą błoń.

BIAŁE ORLĘ.

Mnóstwo ludzi przed gospodą,
Tańczy młodzież, rźnie muzyka:
Bywaj zdrowa mi jagodo!
Jutro siędziem na konika.

A jagoda, a kochanie
Smutno w tańcu nań spoziera,
To chce śpiewać, to znów stanie
I fartuszkciem łyż ociera.

Zatrzymała wszystkie pary
I skinęła ku Warszawie,
Bo z Warszawy wracał prawie
Z nowinami Bartosz stary;

A gdy spostrzegł ponad drogą
Takie tany, potrząsł głową,
I pogroził skrzypkom srogo,
A do chłopców rzekł surowo:

„Dajcie pokój pustej wrzawie,
„Bo dziś dzieci wielkie święto,
„Dziś okopy przy Warszawie
„Z nabożeństwem sypać jęto.

„A i owo Bóg wysoki
„Wielkie cuda nam zwiastuje,
„Patrzcie! patrzcie na obłoki!
„Co tam z chmur się ukazuje?”

„Wszak to, dzieci, orlę nasze!

„Polskich królów orlę one!

„Ale patrzcie, jakże ptaszę

„Srogo piersi ma skrwawione!“

„Prawda! prawda — lud zawoła —

„Niechaj będzie pochwalony!

„Chodźwa ojeze do kościoła,

„A wy chłopcy bijcie w dzwony.“

I już niebo poszarzało,

Znikł z przed oczu orzeł biały,

A lud jeszcze klęczał cały,

I psów wycie się ozwało....

I nazajutrz o tym cudzie

O mil kilka powiadano.

„Za Kościuszki — rzekli ludzie —

„Orlę takie już widziano.

„Wielka, wielka wojna będzie:

„Oj, niejeden Moskal zginie;

„Lecz i orlę krwią opłynie,

„W Polsce mogił nam przybędzie!“

MAZUR.

Piękna nasa Polska cała,
Piękna, zyzna i niemąła!
Wiele krain, wiele ludów,
Wiele stolic, wiele cudów;
Lec najmilse i najzdrowse
Pseciez cłeku jest Mazowse.

Bo gdzie takie cudne stroje
I śpiewanki i dziewoje?
Kto w podkówki tak wyksese?
Komu miłe tak pielese,
Jak ojcyste Mazurowi?
Niechaj cała Polska powie.

Po za Niemnem wielkie błota,
A za Bugiem Ruś sromota,
Góral zbytne podkasały,
A Odroki lud zniemcały;
A więc nasa, nasa góra,
Nie mas w świecie nad Mazura!

Mówią, ze tam na Podolu
Rośnie zyto bez kąkołu;

Ale u nas dary Boże
 Płyną Wisłą az za moze,
 Psyspiewują jěj flisaki,
 A gros cłek ma jaki-taki.

Gdzieś za światem Dniepr tam płynie,
 Sławne konie w Ukrainie;
 Ale kto, jak Mazur właśnie,
 Wioząc z konia bicem tsaśnie,
 Kiedy jedzie do Warsęgi,
 Mówią wsysecy: Mazur tęgi!

Tęgi Mazur wej w pokoju,
 Lec się psyda i do boju,
 Znane w Polsce kosyniery,
 I do boju Mazur scery;
 Gdy do kosy się psyłozy,
 Tnie Moskala jak gniew Boży.

Dana, dana, dana, dana,
 Za ojczyzną miła rana!
 Prędzěj zginą zeki, góry,
 Nizli Polska i Mazury.
 Bies cię porwie Mikołaju,
 I swoboda będzie w kraju.

I zanucą w Polsce ludzie
 O Mazurach i o cudzie;
 Bo Bóg zeby świat dziś twozył,
 Juz z Mazurów by go złożył,
 A pośrodku nich niecnotę
 Mikołaja, na zgryzotę.

DUMY WIDORTA.

Emir Tadz-Ulfechr.

Ścichły wiatry nad wieczorem
Od zapadniej strony,
Na oazie legł taborem
Emir zamyślony.

Śniąc o stepach i o zysku,
Arabowie spali,
A kozacy przy ognisku
Jakaś pieśń śpiewali.

* * *

Hej! emirze, atamanie!
Synu wojewody!
Jako źródł w Arabistanie
Płynie wiek twój młody.

Płynie — płynie; lecz przepłynie
Jako pieśń wesola,
A zatęsknisz po rodzinie,
Zatęsknisz do siola.

Luboż teraz w naszym siole!
 Ciepły wietrzyk świsnął,
 Mgły przemknęły czarną rolę
 I miesiąc zabłysnął.

We mgłach dzikie kaczkę lecą,
 Wabią przepiórzyce,
 A łuczywem w chatach świecą
 Nasze krasawice.

Nieraz dziuba ręce łamie:
 Idzie lato, zima:
 Próżno czeka! — srocza kłamie,
 Lubych gości niema.

W naszej cerkwi nietoperze,
 Stary krzyż upada,
 Za nas cała już gromada
 Odmawia pacierze.

A nas wodzą światem mary
 Poza obce rzeki,
 A my wieziem drogie dary
 Do pogańskiej Mekki.

My na obce pokolenia
 Lecim przez pustynie,
 A tam Moskal lud wyplenia
 W naszej Ukrainie.

Kiedyż, kiedyż atamanie!
 Znajdziem sobie żniwo?

Kiedyż będziem na Majdanie
Kosić szablą krzywą?

Nieraz dziuba we drzwiach stanie,
O zdradę nas wini;
A my — ojeze atamanie!
Dyszym na pustyni.

Gdzie zdrój wodą nie pociecze,
Wiatr nie czesze błoniem,
Gdzie kruk kości nie zawlecze,
Tam my toczym koniem.

We dnie spieka nad taborem,
W nocy gad się wiję,
Ach! a serce nad wieczorem
Codzien żywięj bije.

Czy nie lepiej tobie było
Pić z lackiem i pany?
Wszak za stołem słuhać miło,
Jak brzmią teorbany?

Czy nie lepiej własnym było
Stepom się pożalić?
Z mołojcami pod mogiłą
Nocny ogień palić?

Trawa buja ścieżką naszą,
Jak zdrój lata płyną,
Oj! zatęsknił koń za paszą,
Kozak za dziewczyną!

„Cyt, cyt druhu! cyt kozacze! —
Ataman zawoła —

„Kiedy nasza luba płacze,
„Toć zdążym do siola.

„Siodłaj Guldię, nabij bronie,
„Dalej druhy przodem!

„W Czarnem morzu mimochodem
„Napoimy konie.“

HETMAN ZŁOTOBRODY.

Ponad Dnieprem tętnią konie,
Dziuba klasła w śliczne dłonie:
Wrócił hetman złotobrody
Gdzieś z za świata, gdzieś z za wody.

A miał hetman złotobrody,
Gdzieś z za świata, gdzieś z za wody,
Jasną szablę jako słońce,
Po niej złotych żył tysiące.

A miał hetman złotobrody
Sto par koni gdzieś z za wody,
Pełne żyłek, smukłe, zwrotne,
Jak sokoły bystre, lotne.

A miał hetman złotobrody
 Huf kozacki doświadczony;
 Jasno błyszczał nóż na gody,
 Co Wielkanoc poświęcony.

A miał hetman złotobrody
 I dziewczynę jak zuzulę,
 I śpiewaka, co przygody
 Umiał wydać w pieśni czule.

Zawyj wicherze w puste szlaki!
 Gdzie Oxanna będzie wtóra?
 Gdzie pan taki? gdzie dwór taki?
 I gdzie śpiewak jak Padura?!

* * *

Pomknął Hetman wiehrem rwącym
 Jednej wiosny na Moskali,
 Błysnął wkoło półmiesiącem:
 „Hej, mołojcy, za mną, dalej!”

„Nuż do spisy! nuż do noża!
 „Jako sokół koń poleci;
 „A śród nocy nam zaświeci
 „Ponad Moskwą jasna zorza!”

I zaszumiał huf parowem,
 Działa grzmiały, krew płynęła,
 Szabla szablę w bryzgi cięła,
 Działa grzmiały pod Daszowem.

A sam jeden na uboczy,
 Opuszczony, czy odcięty,

Złotobrody Hetman toczy
 Na arabie w półzakręty.

Tuż, tuż za nim leci tłuszcza,
 Już niejeden ostrz zawadza,
 A on konia raz wypuszcza,
 To wypuści, to osadza.

Pędzą, pędzą — on uwodzi,
 Dopędzają — on osadził;
 Nie jednego z siodła zgladził,
 I wypuścił i uchodzi.

Uszedł... przepadł... a Dniepr płynie,
 Łży Limanom niesie w dani —
 Powiedz Dnieprze Ukrainie:
 Gdzie twe piewcy i hetmani!

GULDIA HETMANA.

Lotną-m widział ja ptaszynę
 W Czarno-moreów kraju,
 Piękną znałem ja dziewczynę
 W baszowskim seraju.

Sławny koń był w złotym rzędzie
 U starego chana;
 Lecz nie było i nie będzie
 Nad Guldję hetmana!

Tam to główka! tam to uszko!
 Grzywa w drobne kosy!
 Gdzie stąpiła lekko nóżką,
 Nie straciła rosy.

Kiedy kozak ją pogłaskał,
 To jak dziewczę miękła;
 A jak hetman ją pogłaskał,
 To przed gankiem klęka.

Kiedy pomknął z Zaporozża,
 Wichry ostawały,
 A za Dnieprem gasła zorza,
 A trzy morza grały.

Za co Dnieprze w świecie słyniesz?
 Żeś z orlego lasu?!
 Kiedy dziś już nie tak płyniesz,
 Jak dawnego czasu.

Dziś już tylko Ukrainie
 Mogiły hetmania;
 Guldia stepem nie popłynie,
 Ni sokoły za nią.

Śpiew z mogiły.

Leci liście z drzewa,
Co wyrosło wolne;
Z nad mogiły śpiewa
Jakieś ptaszę polne.

 Nie było — nie było
 Polsko dobra tobie!
 Wszystko się prześniło,
 A twe dzieci w grobie.

Popalone sioła,
Rozwalone miasta,
A w polu, dokoła,
Zawodzi niewiasta.

 Wszysey poszli z domu,
 Wzięli z sobą kosy;
 Robić nie ma komu,
 W polu giną kłosa.

Kiedy pod Warszawą
Dziatwa się zbierała,
Zdało się, że z sławą
Wyjdzie Polska cała;

 Bili zimę całą,
 Bili się przez lato;
 Lecz w jesieni za to
 I dziatwy nie stało.

Skończyły się boje,
 Ale pusta praca;
 Bo w zagony swoje
 Nikt z braci nie wraca.

Jednych ziemia gniecie,
 A inni w niewoli,
 A inni po świecie
 Bez chaty i roli.

Ni pomocy z nieba,
 Ani z ludzkiej ręki,
 Pusto leży gleba,
 Darmo kwitną wdzięki.

O! Polska kraino!
 Gdyby ci rodacy,
 Co za ciebie giną,
 Wzięli się do pracy,

I po garstce ziemi
 Z ojczyzny zabrali,
 Jużby dłońmi swemi
 Polskę usypali.

Lecz wybić się siłą
 To dla nas już dziwy;
 Bo zdrajców przybyło,
 A lud zbyt poczciwy.

Proroctwo Kapłana Polskiego.

Wytrwaj mój ludu! Już twój ranek świta.
Powstań do życia! Już się rozjaśniło,
Już z grzechów twoich ziemia twa obmyta
I będzie w końcu, co w początku było.
Tak... widzę... widzę, z nadziemską rozkoszą,
Przed duszą moją księgę przyszłych losów,
Tysiące ramion, tysiąc wielkich głosów,
Jako się wiążą i w dziejach unoszą!

O! wszystkim ludom pójdiesz Polsko przodem!
Bo wielkie czucie łono twe rozgrzeje,
A twa się cnota po świecie rozleje,
Jak się krew twoja po świecie rozlała...
Wytrwaj, a staniesz potężna i cała!
Wytrwaj, a staniesz, staniesz ludu dzielny,
Z młodzieńczą siłą i w szacie weselnej,
W ziemicy ojców od morza do morza;
A duchem Bożym jak słońce płonący,
Między narody jak morze grający,
I płodny, płodny jako ziemia Boża!
Wiecznym pomnikiem twojej polskiej chwały
Będą te Tatry, gdzie twe orły wzrosły;
A polskie wody będą cześć twą grały,
A twą koroną nieba sklep wyniosły!

Świat się urządzi twojemi prawami;
 Ty sam się zdziwisz nad władzą twych cudów,
 Bo twoi wieszczce będą prorokami,
 A twoja księga ewangelią ludów!
 I krew się twoja sakramentem stanie
 Ludom ginącym z niewoli i głodu!
 I wzniosą one po ziemi błaganie:
 Przez święte rany polskiego narodu
 Wybaw nas Panie!

Amen.

Z OBRAZÓW

z podróży i życia.

„W tych chmurach i górach,
 Chłodno, lecz swobodno.“

„Coprędzéj, coprędzéj! Wędrowny mój panie!
 Bo ku nam mgła prosto się toczy,
 A tu, na Krywaniu, niedobre posłanie,
 Gdy ścieżkę mgła biała zamroczy!
 Coprędzéj! a patrzcie na kierbce, na moje,
 By chociaż się dostać na hole,
 Tam znajdziem kosodrzew, toć ognia wystroję,
 A śmielszy już człowiek na dole. —
 — Nie patrzcie na strony, bo znać się w głowie,
 A tutaj nie sprawisz nic zuchu!
 Chadzali tu zemną już różni panowie!
 Lecz tutaj potrzeba posłuchu!

I skoczył sam przodem, i dalej, a dalej,
 Od skały do skały w poskoku,
 I równo z mgłą białą byliśmy o zmroku
 Już sobie bezpieczni na hali.
 — Przy mehowem postaniu i źródła tak blisko,
 I zacisz w skalistym wandole,
 I w kosodrzewinach zabłysło ognisko,
 Zadęte, jak miesiąc w okole;
 Bo mgła się toczyła, jak powódź złabami,
 Świat w biały się całun przystroił;
 A noeny się błękit, jak pierścień nad nami,
 Od mglistej powodzi odkroił....
 I niebo zabłysło światami zasiane,
 I było gwiazd widać obroty;
 A górą, nad mgłami, kolezato szarpane;
 Straszyły, jak duchy, turń szczyoty —
 — Olbrzymie wyrosły z powodzi obłoków,
 Poczwarne — jak widma sumienia,
 Samotne wśród ziemi — jak słowa proroków,
 A wielkie — jak słowa stworzenia!

O świecie tak samo nad światem mgła stała,
 I słońce, choć zeszło, nie świeci,
 A skała, jak wyspa wśród morza pływała,
 A na niej żeglarze rozbici. —
 Lecz łatwo tu sercu znów nabrać otuchy,
 Bo wielki „Bóg ojców“ w przestworzu —
 Piersь rośnie tu w górach, myśl zrywa łańcuchy,
 I lekki znów człowiek na morzu.
 Boć wszystkie przepaści, jak niegdyś za młodu,
 Przed okiem czarownie zakryte,
 A potem tam morzem, jak wiele narodu!
 I jakie tam ziemie rozbite!

Hej łódki! bo serce powiada „nie zginiem!”
 A orłów to naszych dziedziny!
 Hej łódki! A z wiatry jak morzem popłyniem,
 Po mgle tój — na polskie równiny.

„Mam i serce — mam i oko,
 I po świecie mi szeroko!”

Hej turnie moje! wy hale moje!
 Jakież was cudne wychwalają słowa?
 Widno z was, widno, widno na dwoje,
 Bo i do Spiżu i do Krakowa.
 Kiedy nad Spiżem Węgierska świeci,
 Orły się nasze w chmurach weselą,
 A kiedy mgły się nad Babią ścielą,
 To nawet orzeł na gniazdo leci.
 I tylko góral, co się nie boi
 Burzy na niebie — niby Łomnica,
 Chłop jak toczony, prosty jak świeca,
 Bo jeden tylko, burzy dostoi!
 A pod nim szumią dokoła wody,
 I biją gromy i deszcze chłodne,
 Lecz zanim zbiorą na Lachach brody,
 Już nad Tatrami niebo pogodne.
 I znów po halach gwiżdżą juchasy,
 I wyrządzają dziewczętom psoty,
 I grają koźby, i szumią lasy,
 A hen podźwiga Dunaju młoty....
 Gdy się przed człkiem świat ten rozłoży,
 I tak wesoło, i tak szeroko,
 Aż serce skacze, że też Bóg tworzy
 I góry takie, i w głowie oko!

Kiedy toporkiem człowiek wywinie,
 To się aż stracha, żeby nie zmaćił
 Jasnęj chmureczki w orlęj dziedzinie,
 Albo o samo niebo nie trącił!
 Bo odrobina tylko do nieba,
 Gdzie z aniołami sam Pan Bóg mieszka,
 To jużciż Lachy do was zejść trzeba,
 Bo wam za ostra góralska ścieżka!
 Niech się wam wszystko pomyślnie rodzi!
 Bom to ja nigdy chleba nie prosił,
 Kiedym na Lachach bywało kosił.
 — Choć u nas nie ma żytniego chleba,
 Przecież czem można pogościć trzeba;
 I ufam sobie, żeby nie pościł
 Lach — chociaż tutaj ziemia jałowa,
 A kto ma rolę, niech Bóg zachowa,
 Żeby też chleba komu zazdrościł!

Czasem się do nas zbląka panisko;
 Czasem i kilku — toć z niemi chodzim,
 I do Morskiego oka ich wodzim,
 Do Zakopanęj i w Kościelisko.
 A gdy ich wiedziem za kozią drogą,
 Kędy na górach Bóg chmury złożył,
 Tam to wydziwić już się nie mogą,
 Jaki góralom Pan Bóg świat stworzył!
 Boć srebro, złoto, jest w górach naszych,
 I na świat widno z halu dokoła,
 Tylko nam w Tatrach, tych dzwonów laszych,
 I Panny Maryi brakło kościoła.
 I ciągnie człeka coś do Krakowa,
 Ale co ciągnie? nie wiedzieć zgoła;
 Jednak coś nęci, jak do kościoła!

I miło spojrzeć na lacką stronę,
 I miło wspomnieć one gościnki,
 Tam to pod kosą łąki zielone,
 Tam to do grabki — tam to wyżynki!
 Co to za dziewczki szły tam po wieniec!
 Gdyby nie lata i kości stare,
 Szedłbym na kośćbę, a na gościeniec
 Zaniósłbym Laehom kwiczołów parę.

„Śmierć z trwogą nadchodzi,
 W boleściach świat rodzi.“

Pośród przesytu i piekielnych głodów,
 Wśród trzeźwej władzy i współsennych marzeń,
 Jak niegdyś wielka pielgrzymka narodów,
 Dzisiaj, pielgrzymka mętnych wyobrażeń.
 I wyobrażeń tych éma światem leci,
 Jak psy bez panów, gwiazdy bez ogniska,
 Jak śpiew bez związku, jako błędne dzieci,
 Jak ciemne duchy wzdłuż pobojowiska.

Weź — i odczytaj księgi z onych czasów!
 Co kronikarzom ówczesnym się roi?
 Skończenie świata widzą w grze zapasów;
 — Dziś końca świata już nikt się nie boi!
 Dzisiaj świat inny, bo treść życia bada:
 Jak niegdyś bronią, dziś myślą dowodną
 Bodzie pierś wroga; a jak gdy liść pada,
 Jesienią z drzewa, dziś widno — lecz chłodno!
 — Chłodno i trzeźwo — wiek niby dościgły,
 Jak obrażony owoc i wpół zgniły,

A człowiek mądry i jak wąż wystygły,
 W słabości wroga szuka tylko siły,
 Bo się z drugimi i z sobą obliczył:
 Zna co mu dłużni i co sam jest winnym;
 Lecz ani może spłacić długu innym,
 Ni poprzeć prawo, które odziedziczył.
 Szpieg niestrudzony i spraw cudzych świadek,
 Zna kędy trzeba, lecz nie śmie ugodzić,
 Ale chcąc mękę przewłoki osłodzić,
 Patrzy na wroga stopniowy upadek,
 I pasie duszę widokiem tej klęski.
 Jakby się jadem mógł dźwignąć na siłach,
 Jak gdyby siły zabrakło już męskiej,
 I woli w piersiach, i krwi brakło w żyłach?...
 A zresztą cicho....

— Cicho i spokojnie,
 Jakby przed burzą lub jako po wojnie,
 I czasem łańcuch, czasem złoto brzęka,
 Czasem się zerwie myśl jaka zuchwała,
 I każda zbrojna i okuta ręka,
 Wszyscy czekają — ale nikt nie działa!
 — Ani spoczynku doznać, ani znoju.
 Gorączką głodu zmorzą, człek znów syty,
 I drży przed śmiercią, choć żyje w pokoju,
 Nie ma zwycięzcy, a świat jest pobity!
 I tłum się w błędach coraz więcej podli,
 I choć ochrzczony, żyje jak poganin;
 I zbrodnia bluźni — obłuda się modli,
 A jak śród pogan cierpi chrześcianin!
 Więc jakże nazwać ten wiek obrzydzenia,
 Gdzie człek niewolnik, niby upiór wolny?
 Ten wiek bez siły? ten wiek oskarżenia?
 Co nawet śmierci wydać nie jest zdolny?

— Bo miasto czynów, zabiegi stronnictwa,
 Jakby się ludzkość wyrodziła w karła,
 Bez krwi i siły, chleba i dziedzictwa,
 I bez nadziei, miłości i wiary.
 Na dwie połowy gawieź się rozdarła,
 I staje niby pod dwoma sztandary....
 — I jedni pragną woli swojej znamię
 Wypiec na duszy okutego świata;
 A drudzy rwą się uzbroić swe ramię
 I całą ludzkość zmienić w topór kata!
 — Choć różne cele, różne niby drogi,
 Każdy na swoją drogę chce świat zwrócić,
 I myśl i wolę swoją mu narzucić,
 A samą ludzkość ściele, pod swe nogi.
 — Więcój mu warta mrzonka jego głowy,
 Poczęta w dumie i w duszy jałowej,
 Niż cała ludzkość i przeszłe jęj dzieje,
 I całe przyszłe ludzkości koleje.
 A więcby radzi ją naprzód oślepić
 I jad podłości w jęj duszę zaszcześcić,
 I życie ludzkie obnażyć z uroku,
 I ludzkość odrzeć ze wszelkiej nędzy,
 By brnęła w błędy i w własne ich brudy,
 Bez Boga w sercu i bez światła w oku!
 Lecz że niesporo idzie im robota,
 Więc się nawzajem szyderstwami parzą,
 I drżąc przed bojem, wojują potwarzają,
 A za zwycięztwo stoi im — sromota!
 — Co dzień się wiernie tą trucizną trują —
 A choć człowieka zdeptali nogami,
 Choć krwią i błotem zbryzgali się sami,
 Choć skrytym mordem pokalali siebie,
 Chcą rządzić światem i Boga małpują!

Jakby się na tem już wszystko kończyło,
 Jak gdyby Bożej miłości na niebie,
 Ani sere ludzkich na ziemi nie było?

Pośród tój waśni szyderskiego tłumu,
 Mąż, co ludzkości dobra tylko pragnie,
 Ku żadnej stronie woli swój nie nagnie,
 Bo w jednych nie ma enoty, a w drugich rozumu.
 — Mądrzy, mówicie? — a z ogromnej księgi
 Dziejów nie wzięli ni jednej nauki?
 I jak świat głupi brał za głupstwo cieżgi,
 Biorą za rozum dziś mądre nieuki!
 Ślimaczą duszą lub miedzianem czolem,
 Chcą kłamać światu hart wieku żelazny?
 Olbrzymie karły — to tehorze i błazny!
 I wyrok dziejów potępi ich spolem,
 Jak klątwa czasu już dziś na nich padła.
 Boć wielka nędza ich życie przysiadła,
 Boć to im zbywa na miłości wszelkiej,
 I na tój prawdzie, na tój duszy wielkiej,
 Którą tełnąć trzeba w to, co ma być, ożyć,
 Bo nie umieli nic nowego stworzyć!
 A więc ich czyny, i sprawy i druki,
 Są dziś podobne do pierwiastków sztuki;
 Gdzie duch potworny, chcąc się gwałtem złamać,
 Musi tę walkę niezgrabnie wyrazić,
 I tworząc Bóstwo, musi naprzód skłamać,
 I pomysł Bóstwa barwą zwierza skazić....

Biada wiekowi, gdzie karły bez siły
 Biorą się z dumą do wielkiej roboty;
 Gdzie duch niewolnik, niekzemny i zgnily,
 Chce dzieje kreślić i nastalać enoty!

Jałowy umysł nie w świecie nie stworzy!
 Ludzkości trzeba prawdy i natchnienia,
 Głębokiej wiary, czystego sumienia,
 A na wszem jeszcze trzeba łaski Bożej!
 Większy duch pono, jak ów duch stronnictwa,
 Kieruje światem i te ludzkie sprawy,
 I w moc oddaje światowe dziedzictwa,
 Na chłostę temu, co chce władzy krwawej.

O gdyby człowiek rękoma słabemi
 Mógł pokierować losami ludzkości,
 Jako sam zechce — któżby go na ziemi
 Tutaj zastąpił? a Boga w twórczości?...

— Człowiek wśród dziejów, niby kropla w morzu:
 Szcześnie, silniejsze wszystko, niż gniew jego —
 Bławat, co kwitnie na polu i w zbożu,
 Tak Boga chwali, jako śpiew świętego!
 Więcej miłości jest w piersiach kobiety,
 Niż krwawej żądz w burzycielach świata;
 I do dobrego więcej jest podniety,
 Niż do tej władzy, co ludźmi pomiata.

Więc też i ludzkość idzie swoim torem,
 Nikt jej nie zdepcze, nikt nią nie śmie rządzić:
 Człek może zgrzeszyć wojną lub pokojem,
 Lecz duch ludzkości nie może pobłądzić!
 A kogo Bóg już do sprawy powoła,
 O, ten i czynom olbrzymim podola!
 Jak gwiazda świeci, jak palma wystrzela,
 Boć się duch wieku w jego czyny wciela.

Czy dla ludzkości tym się zbawcą stanie
 Naród? — czy człowiek? — czy myśl, co zagości
 Jak anioł z nieba dla całej ludzkości?
 To jedno. — Dosyć że świta zaranie!
 Rodzące bóle i trwogi skonania,
 Które dziś ludzkość i trapią i pałą,
 Są to jutrzenką owego zarania,
 I one przyszłość szczęśliwszą ustalą.
 Matka ten żywot pokalany grzechem
 Zamknie swą śmiercią — ale kiedy skona,
 Z niewinnem sercem i z rajskim uśmiechem,
 Wyciągnie dziecię do świata ramiona.

Z PODRÓŻY PO BURZY.

Skowronek.

Skowroneczek furknął w glebie,
 Zatrzepotał w drobne skrzydła:
 I jak gdyby zwiśł u sidła,
 Śpiewa ziemi pieśń o niebie.

O co prosisz skowroneczku:
 Czy o pokój w twem gniazdeczku?
 Czy o ziarnko — drobną miarką?
 Czy o wody, dla ochłody?

Ja o szczęście proszę wioski,
 Bom ja śpiewak Matki Boskiej!
 A gdy ludziom dobrze, czule,
 To i ja się gdzieś przytulę....

A więc lecę pod niebiosy,
 I niebieskiej błagam rosy,
 Błagam burzy urodzajnej,
 Aby rosła niwa, łąka;
 Płodnej ciszy, ciepła słońka....
 I to pacierz mój zwyczajny.

Żórawie i bociany.

Szczęśliwi posłowie! powietrzni żeglarze!
 Powiedzcie, kto lecieć w narody wam każe?
 Z tą wieścią pogody i cieplej już rosy?
 I czemu dla świata tak mile te głosy?

Kto was to téj drogi i pieśni tak uczy?
 I co to się w duszy i budzi i sieje,
 Gdy łańcuch żórawi w niebiesiech zakruczy,
 Że serce tak bije i oko młodnieje?

Bo każdy was śledzi i każdy was wita,
 I każdy poznaje na niebie po wrzawie,
 I nieba i serca o wieści się pyta:
 „Hej lecą i kruczą! żórawie! żórawie!“

A całe już lato nie słyhać żórawia —
 Lecz bocian się pora nad strzechą klekotem,
 I stare swe gniazdo na wiosnę odnawia,
 I sióło okrąża stróźliwym swym lotem.

I żóraw obudził, a bocian weselił...
 I zbiegło tak lato, jak z bicza wystrzelił...
 Wiatr powiał po ścierni: „na Spasa, na Spasa,
 Bociany do cieplic, a bąki do lasa.“
 I każdy się cicho ogląda na ściany,
 I westchnie z boleścią: „Już lecą bociany!“

Wyjazd z domu.

Bogdaj to tak jeździć człeku,
 Jak jeździli ludzie z wieku:
 Wozem, końmi, sam i z cicha,
 A nie piecem gdzieś do licha!

Tak to przecie wiem z kim jadę:
 Krzyż przed końmi zrobił batem,
 Sam się żegna, a więc światem
 Snać pojedziem, nie na zdradę...

Lądem jechać, to pociecha!
 Bo tu widzę, jaka rola,
 Jak zasiali ludzie pola;
 Tu mi drzewo się uśmiecha,

Tu pszeniczka rośnie w złoto,
 Tu zagroda, a tam łączka,
 I nie trudno nawet o to,
 Że człek spłoszy i zajączka.

Ponad Wisłą wikle rosna,
 Więc stój bracie! tutaj bywa
 Zwykle słowik — jakoż śpięwa,
 A że śpięwa tylko wiosna,
 Więc posłuchać nie zawadzi;
 Co za koncert! jak się sady!
 To dla serca śpięwka boska!
 W kąś śpięwaczka nawet włoska!

Ale jedźmy! — przepióreczka
 Wabi widać do gniazdeczka....
 Chruściel błaka się po łące,
 A nad drogą brzozy drzące.

Czem samotniej i czem dalej,
 Wszystko Boga żywiej chwali.
 Dobrze temu, kto niezłomny
 I wśród walki na to pomny,
 Że go Pan Bóg siłą krzepi...
 Ale temu już najlepiej,
 Komu Pan Bóg łaskę daje,
 Że przy domu dróg mu staje;
 Co mu rządzą ojców miedzą
 Stare dęby z wieka siedzą;
 Co jaskółka mu pod strzechą,
 A na dachu bocian gnieździ;
 Co mu żona, świat pociechą,
 A dom dziełek oczmi gwieździ;

I któremu tak się wodzi,
 Że mu całe życie schodzi
 Między pracą a spoczynkiem,
 Cieniem drzewa a kominkiem....

Pacholę na grzybach.

Coś mi się w lesie migło gąszczem niby,
 Odwiodłem kurek — patrzę zaczajony:
 Aż tu pacholek, co wyszedł na grzyby,
 Stoi przedemną bardzo zatrwożony.

Nie bój się dziecię! co tu robisz w lesie?
 „Zbieram co znajdę! — chłopak mi powiada —
 Czasami jaja, co je ptaszek niesie,
 Czasami także grzyb się dobry uada.“

„Przednówek ciężki — to i to pomoże...
 Matuś tam z dziećmi czeka na mię doma,
 A jak paciorek zmówię sobie w borze,
 Nigdy nie wrócę z próżnemi rękoma.“

Miły chłopczyna! — znał kędy po lesie
 Ptaki się gnieźdzą; znał jaja po krasie,
 Znał, który ptaszek jakie jaja niesie,
 Jak je podbierać i o którym czasie?

• Najbardziej się sobie kacze jaja chwalił,
 Bo gniazdo w gniazdo, jak kępa przy kępie,
 Ale się na to tylko trochę żalił,
 Że trudny przystęp w bagnistym ostępie.

Z kolei przyszło na jaja słowicze....

Rzekł mi chłopczyna: „Ja jemu nie szkodzę.
 Ja mu tak dobrze jak skowronkom życzę;
 Bo któżby śpiewał, gdy po lesie chodzę?“

Zdziwiony pytam: To i skowronkowi
 Gniazdo nie podbierasz?

„A bronże mię Boże!“

— Ze trwogą chłopak na to mi odpowiedź —

„Taką się krzywdą człowiek nie wspomóż!“

Skowronek, panie, to ptaszyna wczesna,

I Matka Boska — do tego — Bolesna

Wszystkie skowronki w swęj opiece trzyma:

Więc na skowronka żadnej trwogi niema.“

Jak to? — pytałem.

„Alboż wy nie wiecie,

Że to Zbawiciel chodził po tym świecie?

Gdyby dziś człowiek choć wpoprzek tą drogą

Przeszedł, gdzie Chrystus stanął niegdyś nogą,

Byłby już zbawion! — lecz wówczas ludziska

Były niedobre — bo podłe żydziska!

Więc chociaż Piłat umył sobie ręce,

Chrystus na krzyżu oddał ducha w męce!“

„Pod krzyżem stała Matka u stóp Syna,

I ból ją wielki na duszy ucisnął....

I zaśpiewała w niebiesiech ptaszyna:

Spojrzy się Marya — skowronek zawisnął!

„I tak nad Panem użalił się wiernie,
 Że chciał mu odjąć choćby jedno ciernie,
 Więc póty dzióbkiem i dzióbał, i dzióbał,
 Aż krzyż z korony najświętszej odskubał.“

„Błogosławiła Marya skowronkowi,
 Podniosłszy w niebo te oczy żałosne,
 I rzekła w łasce: będziesz człowiekowi
 I Bogu śpiewał najpierwszy ua wiosnę!“

„A jako rzekła mu Matka Bolesna,
 Tak się też iści — bo ptaszyna wczesna,
 Nim śniegi giną, już w niebo się wznosi,
 I wielką chwałę Matki Bożej głosi.“

„Więc któżby gniazdo skowronkowi psował?
 Kiedy cierń święty jego gniazda strzeże?
 Będziem się chować, jako Bóg nas chował,
 Tak matuś mówią — i ja temu wierzę.“

To rzekłszy, nisko i wesoło skłonił,
 I ku domowi z koszem jaj pogonił,
 A jam pomyślał:

Po co tu legendy?

Gdzie wiara w sercu, tam i cud jest wszędy!

STARY KRAKÓW.

Nie dorazu — mówią ludzie —
Stary Kraków zbudowano....
Ale ktoś tu powstał rano
I w miłości trwał i w trudzie.
Z wielką wiarą gład węgielny
Na tém miejscu założony,
Bo tu posiew nieśmiertelny,
Żywym sercom powierzony,
Trzyma cudem Boża władza,
I z kamieni się odradza
Stary posiew mocą dziwną
I jakby różczką oliwną....
Po tym grodzie święci Pańscy
W łasce Bożej tu chadzali,
A rycersey i kapłansey
Namaszczenie swoje brali.
Tu dźwignięty ręką starą
Pierwszy kościół razem z wiarą;
I najstarsza tutaj szkoła
Do bojaźni Bożej woła;
I z najwyższej tutaj wieży
Wielka chwała Matki Boskiej,
Pieśń kapłanów i rycerzy,
W okoliczne płynie wioski.
I tą ciszą, tym ustrojem
Przy tych grobach niemo stojem.

Lud poważne chowa lice...
 Puste place i ulice
 I chodniki na wsze strony...
 Lecz kościoły naród mateczą,
 Ludzie mileżą — mówią dzwony,
 A kamienie — jak człek świadczą.

Pusto, pusto na chodniku,
 Lecz w kościołach jest bez liku
 Ludu, co się Bogu korzy
 I przymnaża chwały Bożej.

Przy grobowcach tylko kupi
 Tu się naród rzewnie, tłumnie;
 A gdy skrzepi Bóg przy trumnie,
 Znowu w murach się skorupi:

Bo lud wierny, a gród Pański...
 Bo od jutrzni do nieszporu
 Wielbi Pana z tego dworu
 Śpiew pobożny i kapłański.

I chwycony w wielkie koło
 Duch pokutny się urabia,
 Czas na wieczność przysposabia
 I ku gwiazdom wznosi czoło.

U Pańskiego tutaj tronu
 Człowiek serce tak ukorzył,
 Jakby księgę tu zakonu
 Sam Bóg w łasce był rozłożył.

ODZEW.

Swoszowice, d. 24 lipca 1855 r.

Jeśli na zapas pieką ludzie chleby,
Czyliż dla brata upiec go nie warto?
Więc się rytm musi znaleźć od potrzeby,
Więc cię pozdrawiam a corde tą kartą.

Bardzoś mię miłem obesał pisaniem,
Bardzo łaskawem osądziłeś zdaniem;
I dobrześ zrobił, żeś przecie zaczął,
Bo naszły na mnie borsukowe lata;
I dziś, gdym w mojej jamie się zasklepił,
Poruszy serce już chyba głos brata;
Ale służyły jestem zdawna družba,
Więc po staremu wiem, bracie, co służba.

Kiedys dał hasło, to ja odzew daję,
Boć to i proste i stare zwyczaję,
Że głosów serca nie cedzim przez zęby,
Więc „plackiem do nóg, pierogiem do gęby!“

Kołaczysz bracie do mej dobrej woli,
Bym coś zaśpiewał waszym lasom gwoli?
Ciężką przebyłem i tak długą drogę,
Lż dziś już czynić niewszystko ja mogę.

Świętości bracie nikt z domu nie daje!
 Com ja wziął z Litwy, niech przy mnie zostaje.
 To czule rzeczy; a łzy — głupia sprawa....
 I gdy czułości człowiek folgę dawa,
 To jacyś starzy budzą się tam w grobie,
 I patrzą na nas i mierzą nas srogo:
 „Takiś to szlachcic? A czy nie wstyd tobie?
 A zetnij zęby i dalej tą drogą!“

I wasze znasz ich — i daj na to radę,
 Jeśli masz jaką — bo jak spojrzą w oczy,
 To aż drży serce, aż się w duszy mroczy,
 I człek sam siebie oskarża o zdradę,
 I gdzieś pod ziemią skryłby się przed wzrokiem
 I przed surowym takich dusz wyrokiem.
 Ale pod ziemią oni wszyscy leżą,
 I jak tu dzieje, tak tam groby dzierżą....
 I chociaż tutaj nie skąpili chleba,
 I drzwi otworem trzymali do nieba,
 Tam każdy grobu dla nas jakoś skąpi,
 I przez nie w świecie miejsca nie ustąpi!
 Więc głupia sprawa! k'temu się sposobić,
 Aby się w końcu chociaż grobu dobić!
 Lecz snąć tak trzeba — i wyroki Boże
 Jeżeli człowiek nie przyjmie w pokorze,
 Nie będzie pono ni mądry, ni dzielny,
 Ani w śmiertelnój sprawie nieśmiertelny.

Mój Syrokomlo! bieda owo zgoła,
 Bo na homilię kroi epistoła!
 A ja wiem, jako łatwo w życiu zbłądzić,
 I że Bóg sędzi — więc nie chciałbym sądzić.

Wiem, jako lubią ludzie się ucierać,
 To umiem milczeć i nie chcę się spierać.
 Lecz korzystając z onych praw starszego,
 Powiem ci bracie słóweczko pociechy:
Szle Bóg zazwyczaj gorszego na złego,
A potem obu karze za ich grzechy.

Tobie to mówię — bo wiem, jako czujesz,
 Wiem, czem się bawisz, piszesz, pieczętujesz;
 Więc tobie powiem, czemu źle się dzieje?
 Indziej źle czynią zazwyczaj złodzieje,
 U nas źle czynią dobrzy nawet ludzie;
 Ztąd to tak ciężko w tym pocziwym trudzie
 Wytrwać do końca — bo tych dobrych chęci
 Nie ma podtrzymać na upadku komu...
 Lecz byli dzielni i wieley w tym domu,
 A tam na niebie są i dzisiaj święci;
 Otóż tym torem i za ich pomocą
 Można się człeku łamać i z niemocą.

Jest stara powieść: „Wziął chłop długie sznury,
 Urzynał z dołu, a wiązał u góry;
 I tak się dostał w końcu aż do nieba.“

Wszakżeś waś z Litwy? Toć mówić nietrzeba
 Waszmości pono o barciem leziwie?
 Około pszczoły cicho i życzliwie
 Chodzić potrzeba — to i w barciach siędzie,
 I coś tam miodu i pociechy będzie!
 Kocham cię bracie i dobryś jest družbą!
 Kiedyś zaciężny, to pójdiesz już służbą.
 Otóż ci powiem — każde cięcie płazem,
 Jeżeli wiara nie pociągnie razem;

I ziemia temu na wieki macocha,
 Co niby dobre czyni, a nie kocha....
 Więc kochaj bracie! i tutaj i tam,
 Ale co możesz, to rób tylko sam,
 Bo wiele straty i siły i czasu,
 Kto z podłej wewny chce dojść do atlasu,
 Kto z wilkiem szuka dla owcy przymierza,
 Kto osłem orać chce tę Bożą rolę,
 Kto kruka uczy pocziwie pacierza,
 A dobre zdaje na złych ludzi wole.

Ale wilk wilkiem, osieł osłem wiecznie,
 A i kruk kukiem, chociaż wygadany;
 A człek pocziwy, co wierzył statecznie
 I chciał dobrego, wiecznie oszukany!

Ztąd więc nauka, gdy człek z siebie działa,
 Może maluczka — lecz jest Panu chwała....
 Lecz kiedy luźne ku dobremu skupi,
 Głupi mospanie! całą gębą głupi;
 Bóg tego nie chce — człek tego nie kupi,
 Ale co djabeł — pewno swoje złupi!

— Po co to piszę? albo ja wiem po co?
 Ot widzisz wasze, kiedy człek starzeje,
 To rano wstaje, a mało śpi nocą,
 Więc i dziwaczna myśl się w mózgach sieje,
 I dziwnie chodzi z myślami ta głowa....
 Otóż o pszczołach była pono mowa.
 Więc po gawędzie powracam do rzeczy:
 Już że miód dobry, temu nikt nie przeczy,
 Lecz koło barei nielada mzoła,
 I ostre żądło miewa bujna pszczoła.

Ha, miód i żądło — to się równoważy,
 Posmaruj miodem, gdy żądło oparzy,
 A jeśli bólu i miód nie zniweczy,
 To przyłóż ziemi — ziemia wszystko leczy.
 Pół biedy z pszczołą — gorzej gdy otwiera
 Zatwory niedźwiedz i barcie podbiera,
 Cóż wówczas bracie?

No, ostrzeże czasem
 O takiej szkodzie żółna, co nad lasem
 Po miodnych puszczech gniazdo swoje ściele,
 Jest na niedźwiedzia i strzelba i ziele....
 Więc i z niedźwiedziem byłoby pół biedy;
 Lecz z trutniem panie to już nie ma rady,
 I z tego nie wiem czy już wybrniem kiedy,
 Bo to się w barciach legną te owady!
 Na pozór iście podobne do pszczoły,
 Lecą i brzęczą, pełne niby znoju,
 Lecz gdy w ul zajrzysz, to po nich susz goły,
 Bo pracowita pszczoła bez pokoju
 Pewno nie złoży po tych plastrach miodu.
 Więc z wszego złego, co Bóg stworzył w gniewie,
 Jest to, co szatan posiał po tym siewie,
 Co ani z ducha, ani bywa z rodu,
 Pokurecz z psa rodem i stariej djablicy,
 Co Bogu pewnie nie zapali świecy,
 Ale najpierwszy ciśnie się do miodu.

Trutnie, mój bracie, to moja choroba,
 I pono na nie bolejemy oba!
 A ileż różnych rodzajów nie bywa
 U nas tych trutni — borowy dziś furda!
 Pierwszy, co wrzeszczy i wieści rozsiewa,
 A drugi kłótnik, gorszyciel i burda,

Trzeci, co sądzi o wartości miodu,
 Czwarty, co drogi obmyśla rozchodu,
 Piąty, gość truteń, który wiecznie wpada,
 Gdy pszczoła miody po pyłeczku składa,
 Szósty, już truteń rozbójnik i żmija,
 Co pszczołę z miodem pospołu wybija,
 Siódmy najgorszy, bo to już łaskawca
 I pszczoł opiekun, więc i miododawca.
 Siedmiorakiego mamy więc rodzaju
 W naszej pasiece rozmaitych trutni,
 I pszczoła spada, a bartnicy smutni....

Jakże się waści wyda to pytanie
 W tym stanie rzeczy: gdy ekonomista
 (Wielki filantrop) uprasza o zdanie,
 Czemu pasieki upadły po kraju?

A mój ty mędrze! zjadłeś djabłów trzysta!
 Na inne czasy za takie pustoty,
 Tylko w łeb strzelić i won do piechoty.

Wszak stary Egipt, z kamienia był kuty,
 A padł, gdy przeszły po nim plagi radła...
 Cóż żywot pszczoły nie ma być zatruty,
 Gdy siedmioraka plaga ją przysiadła?
 Cóż mówi Pismo? — Owo miły bracie:
 „Po ich owocach wiecznie ich poznaćie.“

Cóż mówią ludzie?

Nie chcąc tracić wątku,

Ludzie odnoszą wszystko do początku.
 Origo trutniów — już nieosobliwa...
 I już legenda źle tam o nich mówi:

„Gdy świat stwarzała ręka miłościwa,
 Dała i pszczołę w służbę człowiekowi,
 I miód mu dała w osłodę żywota;
 Już pierwszy człowiek Adam był bartnikiem,
 I kiedy mądrym przemówił językiem
 Do pierwszych barci, to patoka złota
 Sama do krótki płynęła mu z ula.
 Widząc to djabeł, że człek się rozczuła
 Nad darem Bożym, więc pomyślał sobie:
 „Poczekaj człeku i ja ci coś zrobię,
 I będziesz musiał się powtóre spodlić,
 I będziesz musiał do mnie się pomodlić.“
 A więc jak sztukę po swojemu utnie,
 Nie stworzył pszczoły, lecz wyrobił — trutnie!
 W onych to czasiech kontroli nie było,
 Trutnie do pszczoły wcisnęły się siłą
 I nuż się bracić: my jednego rodu...
 I po miód pszczoły — a trutnie? do miodu.

„Pan Bóg cierpliwy — cierpliwy, bo wieczny,
 Widział, że trutnie rojowi na szkodę,
 Lecz matka wiodła wszystek rząd stateczny...
 Więc rzekł w swęj łasce: „Ha, niech noszą wodę,
 A przyjdzie sierpień, to i żądło macie!“
 I na tem stoi pono panie bracie
 Po dziśdzień jészcze w bartniczem włodarstwie,
 Że pszczoła z Boga, truteń z djabła rodem.
 Lecz kto wyrobił w swoim gospodarstwie
 Aż siedm rodzajów rozmaitych trutni,
 Niech się pożegna już na zawsze z miodem,
 A nawet wody nie będzie miał w putni.
 Chcieliście sztuczek, to i macie sztuczki...
 Trutń nowożytny ma misterne kruczki,

Miód ci zabierze, żądłem go nie zbijesz,
Na wodzie nawet przy nim nie użyjesz.
Chcieliście sztuczek! to świat odziedzicz
Kwiaty bez woni, miody bez słodyczy;
A jak się trutnie dobrze przysposobią,
Z pomocą chemii nawet miód wyrobią,
A wosku zdawna potrzeby już nie ma.
Więc i ja trzymam, jako świat dziś trzyma:
Po co tu chować gdzieś po barciach pszczoły,
I w króbkę zbierać miody na leziwie?
Gdy już wosk mamy z łoju bez mazoły?
A miód się jeszcze wyrobi szczęśliwie?
I już nie garncem — lecz na wielką skalę
Całym potokiem popłynie po bruku,
A świat o pszczole zapomni już całe,
I o bartniku jak starym nieuku?
Ot wierz mi, bracie! nieraz myślę sobie,
Po co to robisz? po co ja to robię?
Młodyś — to lepiej rób z buraków syrop,
A kogo możesz, na trutnia go wyrób!



Z PIEŚNI O ZIEMI NASZEJ.

Tam na północ! hen daleko!
Szumią puszcze ponad rzeką,
Tam świat inny, lud odmienny,
Kraj zapadły, równy, senny,
Często mszysty i piaszczysty.
Puszcze czarne, zboża marne,
Nieba bledsze, trawy rzadsze,
Rojsły grząskie, groble wąskie,
Ryby, grzyby i wędliny;
Lny dorodne, huk zwierzyny
I kęs chleba w czoła pocie.
A na pański stół łakocie:
Lipce stare, łosie chrapy
I niedźwiedzie łapy.
Puszczy i żubrów to kraina,
A dziedzictwo Giedymina!

Ćmią się puszcze, mgła się zbiera,
Po pasiekach kraj przeziera,
Wół za rogi orze zgliszcze,
W ostrym wirze socha świszcze,
A za drogą, gdzieś w postronnie
Ciągną wózki jednokonne.
Koni obłączny w wózkach małych,
Lud w chodakach z łyka szytych,

W chatach dymem ogorzałych,
 Dranicami płasko krytych.

Gdy na lud ten człek spoziera,
 To aż serce żal opłynie,
 I zapytać chęć go zbiera:
 Co ci to Litwinie?
 Ale Litwin nie wygada!
 Bo w tój duszy hart nielada!
 Lud to cichy, rzewny, skryty,
 Jak to mówią: kuty, bity.
 Kiedy szczery, jak wosk topnie;
 Ale gdy go kto zahaczy,
 To i w grobie nie przebaczy,
 I na końcu swego dopnie!

Choć kraj jego niebogaty,
 Radzi sobie, bo oszczędny;
 Nie marnuje grosz na szaty,
 Bo rozsądny i oględny.
 Nie zwykł on się kochać w krasie,
 Ale myśli o zapasie
 I dobytek w dom gromadzi,
 I „o jutrze“ wiecznie radzi.
 To też znajdziesz w każdej porze
 Wśród wszystkiego jak w komorze:
 Czy w krajance, czy w gomółce,
 Jest w serniku ser na półce,
 Wiszą kumpie i wędliny,
 I półgęski i świniny;
 Obok w długich żerdziach ryby,
 Z siatki pachną leśne grzyby,

A kwas czysty miasto wody ;
 W lochu stoją białe miody,
 Wódki starki i nalewki,
 I rok cały lód przeleży.
 A już w świrnie wiszą wianki
 I rozliczne przyodziewki,
 Płótna cienkie, jasne tkanki
 I przybory do odzieży.
 W kubli stoi ów miód święty,
 A dokoła włok rozpięty....

Nucąc pieśni o Birucie,
 O Perkunie i Kiejstucie,
 Przy łuczywie u komina
 Przędzie miękki len družyna ;
 A w pobliżu dziatwy zdrowej
 Toczy kołem wąż domowy.
 Krośna stoją w małym oknie
 I czółenko pływa w włóknie ;
 Pieśni płyną jak uroda,
 A wiek schodzi niby woda....

Niby w ciężkiem zadumaniu
 O przeszłości, czy kochaniu,
 Stoją niemo czarne puszcze,
 I rozlały się jeziora....
 A po toniach ryba pluszcze,
 A na niebie stoi góra :
 Puszcze płoną gdzieś zdaleka,
 A w zaścianku pies gdzieś szczeka,
 A za głosem z tokowiska
 Czesze gęstwiał leśnik śmiały,

Przez jelniki i zawały,
 Do rodziny i ogniska.
 Staął, słucha — tam dzik ryje,
 Uroczykiem łoś pomyka,
 Padło wietrząc wilk gdzieś wyje,
 A puszciami żubr poryka....

„Da! niech ryje, niechaj wyje,
 Niech pomyka, niech poryka,
 Na strzał padnie mi przed psami,
 Com dziś jeszcze nie zastrzelił,
 Byle tylko się barciami
 Niedźwiedź ze mną nie podzielił.“
 Jak lud żyje po bożemu,
 Tak i szlachta z sobą wzajem
 Dawnym żyje obyczajem;
 Na zaściankach, po staremu,
 Czas jej duszy nie wykrzywił,
 Nikt cię państwem nie oparzy,
 A gdy w Litwie pan się zdarzy,
 To pan sobie, jak Radziwiłł!

Bracia szlachta, powietnicy,
 Leśnych włości współdziedzicy,
 W niebielonych siedzą dworach;
 Tamto kolej do sąsiada,
 I z wielbnym ojcem rada: ,
 O sejmikach, o wyborach,
 Jaka komu padnie gałka,
 Kogo wynieść na marszałka?

Wówczas zcicha to wybije,
 Co się w głębi serca kryje;

A gdy w puszczy pociemnieje
 I miód stary pierś rozgrzeje:
 To przybędzie i czułości,
 Wówczas żywiój i myśl płonie,
 A więc radzą o Koronie,
 O statucie i przyszłości;
 Lub pociesznie drwią z Pińczuka,
 I z Żmudzina, jak z nieuka.

Lud tam jeszcze niezmięszany,
 Wszystko jeszcze jest gniazdowe;
 Jak te drogi powiatowe,
 Każdy swój i każdy znany.

Więc też każdy wie, co niesie,
 A choć drugim nie pomiecie,
 Hardy strzelec w swoim lesie,
 A brat szlachcie w swym powiecie.
 I choć poznać nie da skoro,
 Że o sobie wiele sądzi,
 Choć w cichości i z pokorą,
 Ufa twardo, że nie zbłądzi,
 Bo dokoła się ogląda,
 I wie dobrze, czego żąda;
 A ztąd bywa hart w narodzie —
 „Litwin mądry nie po szkodzie“,
 I w tém głównie, głównie pono
 Góra Litwy nad Koroną....
 Lud nie darmo to myśliwy,
 I skąpany w jezior łonie!
 Bo głęboki, jak wód tonie,
 A jak łono puszczech stróżliwy!

W puszczy też go widzieć warto
 Z strzelbą w ręku lub na łodzi;
 Jak mu lekko i otwarto,
 Jak strzał trafia, wiosło chodzi,
 Jak zna dobrze wagę zwierza,
 Wszystkie knieje i ostępy;
 Kędy jaka rzeka zmierza,
 Gdzie mielizny, rapy, kępy!
 To też wodą, czy na ledzie,
 Całą Litwą cię przewiedzie.

Póki taje, jechać zdradno;
 Lecz gdy w puszczech przyschną brody,
 Gdy rzekami kry opadną
 I powtórne niskie wody:
 Łądem, wodą — jada, płyną,
 Telegami i wicina,
 Do Mitawy, do Lipawy,
 A Wiliją, Niemnem, Dźwiną,
 I do Tylży i do Rygi,
 Z kupią swoją na wyścigi.

Ztamtąd niemce i najemce
 Za dalekie pławią morza,
 Maszty, klepki, runo owiec,
 I niejedną beczkę zboża,
 I niejeden lnu bierkowiec;
 Litewskimi sycąc płody,
 Zamorskiego ludu głody...

Jak za morzem Litwa spławna
 Z puszczy odwiecznych w świecie sławna,

Tak o miedzę ziemia chlebna
 Głodnym ludziom jest potrzebna.
 Żmudź to święta! ziemia boża!
 Na pół leśne jęj obszary,
 A na poły strojne w zboża;
 Wolny oddech ma do morza
 I wszystkiego ma do pary:
 Bo lud wierny w ziemi żyznej
 I nieskapo tój ojczyzny!

Od tych prądów świętęj rzeki,
 Aż po morza brzeg daleki
 I Łotyszów płone ziemie
 Siadło twarde żmudzkie plemie.
 Tam nie błyszcą pyszne gmachy,
 Ale za to duże chaty,
 I wysokie dobre dachy,
 Lud dorodny i bogaty.
 Ponad drogą krzyżów pełno
 I kapliczek tuż przy domu;
 Lud odziany szarą wełną,
 Pełen serca, pełen sromu,
 I zażywny i niemarny,
 Pracowity, gospodarny,
 I poważny i nabożny;
 Jednej krwi z tym swoim panem,
 Jednej wiary z tym kapłanem.

Pan nie bywa tam wielmożny,
 Nie rozrzutny, ani butny;
 A ksiądz biskup Boga sławi,
 Do dobrego wie dzie ludzi,

I jak ojciec błogosławi
 Na odpuszcie „świętej Zmudzi!“

Lud tam żyje po zakonie,
 A więc zda się zimny zrazu;
 Lecz gdy serce zawre w łonie,
 Nie usłyszysz z ust wyrazu;
 Lecz łza tryśnie na wpół rzewna,
 Na wpół krwawa, na wpół gniewna,
 Piersi jękną z tajnej głębi,
 Zamiar padnie niby w studnię,
 Lecz czas krwi tej nie wyziębi,
 Dusza jego nie wychłódnie,
 I wypłynie na jaw w czynie!

Jeśliś bracie jest myśliwy,
 Na wołyńskie zajedź stawy,
 Boś nie słyszał takiej wrzawy
 Dzikich ptaków, jakoś żywy.
 Podsuń czółnem pod szuwary,
 Bo pocieszne ptasze rady,
 Tam to sejmy, tam to gwary,
 I zaloty i biesiady!
 Słyszac krzyki i gwar dziki,
 Patrząc na te ptasze zwady,
 Tak się dziwnie w myśli plecie,
 Tak się tonie w ptaszęj wrzawie,
 Iż przepomni człek o świecie.
 Wstyd to mówić, lecz żal prawie,
 Że człek ptakiem sam nie żyje,
 Takie szczęsne to bestyje!

Pełny oddech ma tam życie
 I wszystkiego w bród obficie:
 Ryb i zboża i świniny,
 Bydła, koni i zwierzyny,
 I konopi, pszczoł i miodu,
 I niemalże też narodu!

Tam ku górcom miodoborskim
 Coraz wyżej kraj się wznosi;
 Milę jedziem łąnem dworskim,
 Ziemia z datkiem aż się prosi!
 Lecz człek pracy nie podola,
 Bo choć duże, długie sioła,
 Więcej ziemi, więcej trudu,
 Niż jest szczęścia, niż jest ludu.
 Smutna bywa ludu dola,
 Bo pan twardy i niewola;
 Nie pocieszyć się tem dobrem,
 Kędy praca lezie ziobrem.
 Otóż kiedy łąn obsiewa,
 Smutne dumy lud tam śpiewa,
 I wśród wioski niegrodzonej
 W wiecznej żyje on tęsknicy...
 Ruskie kawki i gawrony,
 Gwarzą tłumnie na dzwonnicy,
 Przy niej stoi dąb odwieczny,
 Jak wśród ludu książ bezpieczny.

Cerkiew z trzema kopułami,
 W niej odprawa — a pokłony,
 Przed carskimi stojąc drzwiami,
 Bije lud na twardo chrzczony!

Na nim kozuch lśni barani
 Albo świta doma bita,
 Rzemień suty i but kuty,
 A bekiesza z sukna na niěj,
 A na dziewce wieniec z ruty.
 I naówczas wzdłuż krainy
 Drzemią łęgi i caryny....
 Lecz w dzień budny w polu głośno
 I hukanie grzmi donośno.
 A gdy cichnie nad wieczorem,
 Ścielą mgły się ponad borem;
 Z pasowiska wraca stado,
 Żuraw skrzypi u krynicy,
 A koniuchy na noc jadą;
 A ostatni blask wieczorn
 Złoci białe szczyty dworu
 I potrójny krzyż cerkwiey....

Wówczas starzy się gromadzą
 I o swoim statku radzą
 Przy kieliszku w karezmie kumy.
 Na potulne wieczornice
 Ciagną z śmiechem krasawice,
 Stare, ruskie piejąc dumy.
 I matula świeci doma,
 Choć już północ kur ogłosi;
 A donieczka choć się sroma,
 Choć się sroma, chłopców prosi,
 Aby nie iść do dom saměj;
 Bo się różnie ludziom zdarza
 Na przelazie u cmentarza,
 I u dworskiěj, pańskiěj bramy.

Różnie sobie dziewczę wróży,
 Za co jój to chłopak służy?
 A za służbę tak użytą
 Płaci całus słodkie myto!
 Gdyby matuś nie łajali,
 Toby pewno się żegnali
 Bez ustanku aż do ranku,
 Bo to nigdy już niesyta
 Młoda dusza tego myta....

Bo od gór tych aż po morza
 Legła ziemia sławna w zboża,
 Z wiary, z męztwa, z gościnności,
 I z nieładu i z wolności!
 Wielka krzywdą i cierpieniem,
 Święta, krwi téj poświęceniem!

Bóg, choć dojmie, błogosławi,
 I dał szczodłą ręką z nieba
 Narodowi, co mu trzeba,
 Jako ojciec Staszic prawi:
 „Dał mu chleba i stal twardą,
 Złota, srebra, jedno w miarę!
 Serce czułe — duszę hardą —
 Miękką wolę — silną wiarę —
 Kraj otwarty — miłość kraju —
 Złych sąsiadów — ramię silne —
 Mądrość złożył w obyczaju
 I dał czucie nieomyłne!“

To też ludzie tam najszczersi!
 Tam to polski świat ochoczy,

Serce chłopcom ledwo z piersi,
 A krew z lica nie wyskoczy.
 Tam to dziewcząt śliczne oczy!
 Do taneczka tylko śpiewki,
 Stare baby wygadane,
 A wesole i rumiane
 U matusi rosna dziewczki.
 Kędy wzgórek, to i dworek,
 Kędy wioska, tam i woda,
 Kowal pijak i gospoda.
 A nad wioską i nad borem,
 Nad sadami i nad dworem,
 Jasną blachą pobijany
 Świeci kościół murowany.
 Stare drzewa wieży bronia,
 I na „Aniół Pański“ dzwonia;
 A gołębie krążą stadem
 Nad plebanią i nad sadem....

Dwór pod lipą stoi biały,
 Pod piastowym dębem chata,
 Nad nią bocian gniazdo splata,
 A w niej żyje lud zuchwały.
 Po nim gęsta bywa blizna,
 Bo po ojcu broń puścizna:
 Kord we dworze wisi stary,
 W chacie stoi kosa stara,
 A lud jednej krwi i wiary,
 A krew polska i ta wiara!
 Po kościołach chwała boska,
 Na odpusty naród płynie
 I cudowna Częstochowska
 Jak szeroka Polska słynie!

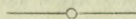
Rej na godach družba wiedzie,
 A z weselem kulig jedzie!
 Tam to druchny śpiew miłuchny,
 I gospodarz gościom rady;
 Tam to tany, a biesiady!
 A gosposie takie wdzięczne,
 Takie łube i uroczę,
 I w przyjęciu takie zręczne,
 Iż, gdy która cię powita,
 Z mazowiecka zaszczebiocze
 I ugości i opyta.
 Taka to tam szczera mowa,
 Tak serdeczne proste słowa!

Bo to lud, co krew ma w żyłach,
 A krew pono nie jest lodem!

Gdy pracuje — to już szczerze,
 Kiedy sądzi — to z powagą,
 Gdy się modli — w dobrej wierze,
 A gdy mówi — to rzecz naga!
 Kiedy kocha — to serdecznie!
 Lecz niebardzo tam bezpiecznie,
 Gdzie na wroga godzi składnie:
 Bo się bije rad gromadnie —
 I co pocznie za gromadą
 I za wspólną ludzką radą,
 To też idzie mu i składnie.

Choć to swoje, człek się kusi
 I pochwalić, co się godzi:
 Niezła ziemia to być musi,
 Kiedy takie ludzkie rodzi!

Częste, gęste — piaski, laski,
Lecz głód rzadki, Bogu dzięki!
Gdy się naród rzuci rojem
I dołoży silnej ręki,
To niedarmo się i znoim:
Gumna, stogi się postroją,
I jest dosyć w potrzeb swoją,
I świat karmim chlebem swoim.
Głośno słyńą te pszenice,
I za morzem ziemie maskie:
Sandomierskie i Kujawskie
I Proszowskie okolice!



Z PIEŚNI JANUSZA.

R. 1863.

Wachmistrz Dorosz na Litwie.

Czy też licho mi nadało
Służyć z taką ruchawicą?
Służby żadnej, ducha mało —
Tylko starym baki świecą!
Same tylko wielkie pany,
A ja prosty wachmistrz sobie,
I choć ciemny, choć nieznany,
Za pułk cały służbę robię.
Człek się musi napracować
I niemało ponieść sromu,
Bo gdy przyjdzie rozkazywać,
To i słuchać nie ma komu!

Nieraz krzyczę: „Stać! komenda!“
Gdzie tam panie im to w głowie;
Szwadron po wsi gdzieś się szwenda,
Lub jak skutny chrapie w rowie.
W całym pułku dawnej daty
Człek sam jeden — aż niemiło,
Gdzieś wymarły stare chwaty —
Nie tak, panie, dawniej było!...

Mój pałkownik żołnierz stary,
 Nie dzisiejsza nasza družba,
 Tęgi człowiek, zna co służba,
 Cóż — gdy nie ma starój wiary!
 Z rekrutami trudna sprawa,
 Bo jak cały pułk — sąsiady,
 Więc gawęda, rada, wrzawa,
 A dwóch tylko nie da rady.

Nieraz wołam: „Ruszać rażno!“
 I wyprawiam gdzie wypada,
 A on maże się niegłażno
 I przyzywa wnet sąsiada:
 „Słuchaj bracie — hej panowie!
 Czyśmy na to tu zjechali,
 Niechaj każdy z panów powie,
 Byśmy gdzieś na deszczu stali?“
 I zastawia się sąsiadem,
 Bo ma w pułku szkapę własną. —
 Z takim wojskiem, z takim ładem,
 Niech pioruny w pułk ten trzasną!

Choć posłucha nawet który,
 Zajmie pocztę i nie gada —
 To jak wymknie z jakiej dziury
 Gdzieś tam kozak — krzyczy: „zdrada!“
 „Ha! to darmo! Ja inaczěj
 Stawiać widet już nie umiem,
 Ani wojny nie rozumiem,
 Jak — że jeden zawsze znaczy.“

Biada — młodszy na mnie liczą,
 Walą jak na szkapę siwą;

Niby starsi tylko krzyczą:
 Nuż Doroszu! dalej, żywo!
 Dorosz patrol dziś prowadzi,
 I języka się postara,
 Dorosz niechaj sobie radzi:
 Nie ma owsa, głodna wiara;
 Dorosz! a czy kute konie?
 Dorosz na sąd i do rady!
 Dorosz służbę ma w szwadronie,
 Dorosz jedzie dziś na zwiady —
 Słowem, panie, mówiąc krótko,
 Hasłem w pułku imię moje!
 Brzmi wieczorem, brzmi z pobudką,
 Dzień przejeżdżę, noc przestoję;
 Bo to mało ważą młodzi,
 Że się w służbie wiek strawiło,
 Że się starszych poczcic godzi —
 Nie tak, nie tak dawniej było!...

Ciężkaż służba obozowa;
 Ale jeszcze z nią pół biedy,
 Jakoś lezie — ale kiedy
 Już o boju przyjdzie mowa:
 Wołałbym się z babą wadzić,
 Albo jeszcze i coś więcej,
 Niż do boju poprowadzić
 W dobrym szyku pułk panięcy, —
 Bo tam ogień, a tu — rada:
 Koniec końców, zawsze jedno,
 Na deresza Dorosz siada
 I harcuje szkapę biedną. —
 Jeszcze siebie nie żaluję,
 Choć i moja krew nie woda —

Ależ konia, panie, szkoda!
 Bo to koń mi się marnuje.
 Wówczas każdy ma wymówki:
 Bo ten wrócił od placówki,
 A ten chory, a ów święty,
 A czwartemu koń ustanie,
 A piątego źle podpięty,
 A niejeden stchórzył, panie;
 Wówczas pochlebstw już bez liku:
 Hej! Doroszu — stary ówiku!
 Nasze stopnie to androny!
 Waszmość musisz tu zaradzić,
 Waszmość — żołnierz doświadczony,
 Waszmość musisz poprowadzić!“

No, no, dosyć — dosyć tego,
 Już to wstyd dla młodej wiary,
 Kiedy chwalić trza starego,
 Ale swoje zrobi stary.
 A więc ruszam wprzód plutonu!
 W pierwszą lepszą wpadam lukę,
 I rznę panie bez pardonu
 Po ułańsku swoją sztukę!
 Ale ledwo bój ustanie,
 Zaraz tracę na walorze —
 Wówczas nikt już starych panie
 Za stworzenie nie ma Boże;
 Wówczas na nas pełno kwasu,
 Że my starzy nie nie czujem,
 I jakiegoś ducha czasu
 Wyschłym mózgiem nie pojmujem!
 Co to znaczy — wiedzą kaci?
 Bo to odkąd w świecie żyje

U mnie duch — co dobrze bije!
 A czas to — co dobrze płaci!
 Ale u nich to ten tęgi,
 Co gardłuje całą siłą,
 A kto schlebia, ten wart wstęgi —
 Nie tak, nie tak dawniej było!...

Ot niedawno, gdyśmy stali
 Z całym pułkiem w przedniej straży,
 Tak się panie krucho zdarzy,
 Że nas omal nie zabrali.
 Moskał prawie nas otoczył,
 Ale odciąć nas nie zdołał.
 Pan pułkownik przed front skoczył
 I do siebie mnie przywołał,
 I rzekł do mnie: „Ot, wiesz stary,
 Że się nie mam kim posłużyć,
 Dwóch nas tylko z dawnej wiary;
 Dalej trzeba już odurzyć:
 Jedź do sztabu, weź papiery,
 Zdaj wodzowi raport szczery —
 Niech też o nas przecie radzą,
 Bo nam djabłą łupnię dadzą.“
 Rzekł, a jam się kopnął cwałem,
 (A nie byłem nigdy w sztabie),
 Wódz! nie żarty — pomyślałem,
 Szlify wodza to nie grabie —
 Nuż tu ówika na czym schwyta!
 Nuż z nienacka mnie zapyta!
 Trzeba mu się odciąć sprawno. —
 Nuż zapyta: „Służysz dawno?
 Kiedyś dostał krzyż francuski?
 W wojnie pruskiej, czy też ruskiej?

Czyś tam kontent z młoděj wiary?
 Czy was racya, żołd dochodzi?
 Młody żołnierz czy z zapałem?
 A pułkownik czy zdrów stary?
 Co się święci? wróg czy godzi?
 Czy są działa? jest piechota?
 A po skrzydłach las? czy błota?“
 Zgoła wszystko pomyślałem;
 Kontent ruszam — wiatry wieją,
 Czasem spojrzę — są depesze?
 A mój deresz sobie czesze....
 Aż się wszyscy djabli śmieją!
 Więc stanąłem w sztabie rankiem,
 A otarłszy czoło z znoju,
 Wiązę konia tuż pod gankiem
 I rznę prosto do pokojn.

Gdzie wódz? pytam. — „Czyś zwaryował,
 Któż o wodza tak się pyta?
 Znać żeś w pułku się wychował.“
 Gdzie wódz? rzekłem, mów i kwita!
 „To żoldactwo, to natręty!
 Wódz śpi jeszcze, bo dzień chmurny.“
 A szef sztabu? — „Szef zajęty.“
 A dyżurny? — „Śpi dyżurny.“
 Wszak mój przyjazd nie wizyta,
 Przez noc całą tutaj spieszę,
 Tutaj panie są depesze!
 Zbudzić służbę — ot i kwita!
 Gdy to rzekłem, on się dziwił,
 Stuknął, mruknął, nosem skrzywił
 I samego mnie zostawił;
 Ale nieźle się ubawił,

Bom stał ze trzy godzin w sieni,
 A trzy godzin to niemało,
 Gdy człek głodny po bezseni,
 Więc mi się na sen zebrało.
 W końcu myślę, po niewoli,
 Co też wódz tak długo robi?
 Pewno jakiś plan sposobi —
 Aż tu słyszę: — „Wódz się goli!“
 Niechże goli, kiedy goli,
 Bo i naszych panie gołą,
 I moskale nie swawolą,
 A jak biją, djablo boli!

Wreszcie dano znak — „Śniadanie!“
 W jednej chwili szastu, prastu,
 I wypada do mnie panie
 W okularach siedemnastu!
 Orszak całe okazały!
 Wszyscy smacznie zajadali,
 Po francusku rozmawiali,
 I perfumy zapachniały. —
 Tu się widzę dobrze dzieje,
 Bo tu tylko wino płynie,
 A tam krew się polska leje —
 Ach! i pułk mój może ginie!...

Żal mi było pułkownika,
 O depesze nikt nie pytał,
 Nikt mię z panów nie powitał —
 Jam nie umiał ich języka;
 A więc stałem w kątku cicho,
 W końcu myślę — co za licho?

Dla starego rzecz to nowa,
 Ej — chybiłem wioską pono —
 Tu po polsku ni pół słowa,
 A o sztabie mi mówiono.

W końcu-m poznał tych łechmości,
 To Francuzi niezawodnie,
 Których wódz chce uczyć godnie,
 By znał Francuz, że tu gości.
 Gdym to myślał, z miną tęgą
 Na wiarusa jeden wpada:
 „A hultaju! a ciemiego!
 Przydymiona czekolada!“
 A więc rzekłem: Niech nam żyją!
 Wszak to nasi, nie Francuzi —
 Ależ warto im dać buzi!
 Znać że się o wolność biją —
 I żal serce mi ucisnął!...

Ukończono wreszcie gody,
 Jam z raportem się precisnął,
 Wziął go jakiś panicz młody,
 Wziął, przeczytał, na stół rzucił,
 Potem mruknął: „To źle panie“;
 Przez nos jakąś piosnkę nucił,
 W końcu rzekł mi niespodzianie:
 „Korpus rozkaz tam odbierze.“ —
 To pułk panie! rzekłem skromnie;
 „To pułk tylko? Wielkie zwierzę!
 Lecz i o nim tam się pomnie.“
 W końcu do mnie rzekł wspaniale:
 „Wiarus wódki się napije,

Bo ja znam to doskonale,
W pułku licho tam się żyje.“

A co tego to zawiele! —
A więc panie rzekłem śmieie:
„Nie tak licho, jak niegrzecznie!
W pułku trochę niebezpiecznie!
Co do wódki to i kwita!
Bo mam wódkę od kozaka;
A choć może i nietaka,
Milsza dla mnie, bo zdobyta!“
Tak burknąłem im przez zęby,
Gdyby mi się popadł który —
Toby poznał, jak Mazury
Kpów pytlują na otręby!

I wyszedłem — na spiekocie
Koń mój biedny stał przy płocie
Z głową na dół pochyloną;
Oj! nam obu źle tu pono —
Pójdź mój koniu, źle w tej stronie!
Kłątwa kraju na niej leży,
Tutaj piorun w nich uderzy,
Albo ziemia ich pochłonie,
Że tak służą tej ojczyźnie....

Siadłem na koń ledwo żywy;
Ból się wzruszył w każdej bliźnie,
Żem się musiał ująć grzywy —
Chciałem zginać, powiem szczerze,
Gdy się sławy wiek przeżyło;
Lecz i kula dziś nie bierze —
Nie tak... nie tak dawniej było!...

Pieśń o Krakusowym Grodzie.

Tu się jeszcze widzę świeci —
Do mnie, do mnie moje dzieci!

Bo coś dla was mam:

Ot z pielgrzymki wracam właśnie,
Nim w kominie ogień zgaśnie

Coś powiem i dam!

No, otrzyjcie się o szaty,
I zasiądźcie wkoło chaty —

A teraz mi sza!

Prosto wracam dziś z Krakowa —

Hej, hej! dzieci nie jałowa

Nasza przeszłość ta!

Tutaj niosę wam pamiątki,
Szmat sztandaru, trumien szatki

I powiastek treść —

I z trzech mogił głośniejszy sławy

Trzy przygarście ziemi trawęj

I o orłach wieść!

Posłuchajcie: W ranną chwilę

Na Kościuszkim był mogile

Z Bogiem moim sam:

Com widział, to śpiew oziębi;

A com uczuł w serca głębi,

To ja tylko znam!

Na mogile było głucho —
Przyłożyłem do niej ucho,
Słucham — co to tam?
A w mogile coś mówiło —
Ach i większe serce biło,
Niż na świecie nam!

Nibym ze snu spojrział górą,
Aż nademną sterczy pióro,
Pióro z orlich lot!
Radość jakaś przeszła żyły
I pytałem się mogiły:
„Zkąd ci to ten grot?”

A mogiła jękla głucho:
„Przyłóż do mnie, przyłóż ucho,
„Wszakżeś ty to swój!
„Orzeł siadł tu na spoczynek,
„Rzekłam: „Daj mi upominek,
Młody orle mój!”

„A on prawil: „Hej mogiło!
„Za czem ci się tak stęskniło?
„I cóż ja ci dam?
„Gdyby Polki nie płakały
„Po poległych — pierścień mały
„Wyprosiłbym sam!

„Gdyby znowu Lachy moje
„Z wrogiem moim szli na boje,
„To wiem cobym dał:

„Hej! leciałbym jak najdalej,
„Przyniosłbym ci mózg Moskali
„I tubym go ssał!

„Lecz gdy we rdzy krzywe plachy,
„We łzach Laszki, w smutku Lachy,
„Dam ci pióro z lot,
„A jak pióro znajdzie laszę
„I zrozumie drużby nasze,
„To stanie za grot!“

Wziąłem pióro — serce drżało,
Aż tu górą zaszumiało...
Patrzę — orzeł nasz!
Łupnął skrzydły, okiem błysnął!
I nad głową mi zawisnął,
Jakby trzymał straż!

I było nas tylko troje —
A duch Polski na nas zdroje
Bożęj łaski złał!
Tu mogiła z tajemnicą,
A tam orzeł z błyskawicą,
A jam w środku stał.

O, kto lubi boje, łowy,
Komu drogim śpiew domowy
Od dziecięcych lat,
Niech tu orłem spojrzysz wkoło,
Lub śpiewakiem wzniesie czoło
Nad ten orli świat!

Jak zasięgną tylko oczy,
 Niby rajem świat się toczy
 Po przed duszą tu:
 Źmią się sady, dymią góry,
 Srebrzą rzeki, grożą mury
 Wieżycami stu!

Srebrną wstęgą Wisła płynie,
 Przy niej wiankiem na równinie
 Stary Kraków nasz!
 A olbrzymie trzy mogiły
 Gród dokoła obstały,
 Niby wieków straż!

Hej! hej! pono krew ma w żyłach
 Lud, co składa cześć w mogiłach
 Sławie z dawnych lat:
 W jednej, jako naród wierzy,
 Już od wieków Krakus leży,
 Wojewodów dziad!

Drugą poczczon, moje dzieci,
 Ów naczelnik twardych kmieci;
 Trzecią — dziewa dziew:
 A śpiew między Krakowskiemi:
 „Wanda leży w naszej ziemi...“
 Głośny to tam śpiew!

Zdala Tatry świat zaległy,
 I ku Wiśle góry zbiegły
 Potokami stu!

A jak góry z równinami,
 Tak Górale z Polanami
 Zetknęli się tu!

Śnieg na Tatrach — maj na dole,
 Las na górach — w równiach role,
 I zażywny człek!
 A wzdłuż Wisły bije zdala,
 Niby łabędź, śpiew górala
 Pod krakowski brzeg!

Tam to cudnie Wisła bieży!
 A nad Wisłą Wawel leży —
 Na Wawelu gród:
 Odkąd Wisła z gór tych płynie,
 Stary Wawel na świat słynie
 I ten chrobry ród!

Gdy się szatan pozuchwalił,
 Bóg Wawelem go przywalił —
 I duch czarny legł!
 A Bóg zagrzmał: „Słuchaj Lasze!
 Tu siedziby będą wasze
 Aż po wieków wiek!“

Lecz na przekór woli Pańskiej,
 W kilka wieków z krwi szatańskiej
 Urósł wielki smok:
 I szkód siła ludziom sprawił,
 Lackie dzieci codzien dławił,
 I niejeden rok!

Aż znów Krakus lud wybawił,
 Smoka zabił, gród postawił
 I na grodzie siadł;
 Lecz w mogile Krakus dawno —
 A dziedzinę na świat sławną
 Ślini znowu gad!

Ale niechno — jeszcze zleci
 Łeb, co zjada lackie dzieci
 I coroczny plon!
 Bo lud wierny przepowiedni,
 We łzach jedząc chleb powszedni,
 Nieraz jęknie on!

Hej pozbędziem tój niewoli,
 Jak się dźwignie lud od roli
 I Krakusów brat:
 A krew czorta, co dziś smoczy
 W naszych wrogach, grunt sposoczy
 Na wszystek ten świat!

Nieraz starzec w cieniu drzewa
 Powieść ojców znowu zlewa
 Na te dziatki swe;
 Lub gdy kosa brzęknie rosą,
 Nieraz westchnie: Hej, hej koso!
 Gdzie naczelnik, gdzie?

Boć to, dzieci, naród wierzy,
 Że w Krakowskim skarb gdzieś leży,
 Co jak znajdzie się —

Złotem Kraków się pokryje,
 A swobodą kraj odżyje,
 Grodem staną wsie!

Nieraz kiedy swe obszary
 Pługiem porze oracz stary,
 Pług mu skoczy w szerz,
 A dobywszy granat rdzawy,
 Szuka wkoło Bronisławy,
 Lub zamkowych wież.

Bo choć w zamku tylko groby,
 Choć to dzisiaj dom żałoby,
 Panem on się zna:
 Hardo stoją stare mury!
 Wiekom, wrogom mówiąc z góry,
 „Oj dostoję ja!

„Zbił ten smoka, kto mię wznosił,
 „Kto mię święcił, wiarę głosił
 „I zbawienia wieść:
 „Kto tu władał, czcik swobodę,
 A bił w sławę, a mścił szkodę:
 „Kto tu był, z tym cześć!“

Starsza dzieci słucka fara,
 Niż luterska krzywa wiara!
 Lach się panem zna:
 Hardo stoją szare mury,
 Wiekom, wrogom mówiąc z góry:
 „Oj dostoję ja!“

Straż zamkową szczerbiec trzyma,
 A u grobów kość olbrzyma
 Strzeże progów tych:
 Gościem orzeł w ranną chwilę
 Siada dumać na mogile
 O pradziadach swych!...

Dziewięć wieków polskiej sprawy,
 Nieszczęście naszych, cześć i sławy,
 Gra tu dziejów pieśń!
 A te dzwony na Wawelu,
 Świadki wielkich czynów wielu,
 Oddzwaniają pleśń!...

Po pod stare te sklepienia
 Mnogie przeszły pokolenia,
 Jak im świadczy głąz,
 Boć pod każdym gładem drzewie
 Z dzielnych wieków wielkie imię
 Po dzisiejszy czas!

Bohatery i królowie,
 Jagiellony i Piastowie
 I kapłani ich;
 Choć nie z jednej szli dzielnicy,
 W jednej leżą tu kostnicy
 Na puklerzach swych!

Duch ich widny jeszcze z trumny,
 I sen ich tam pono dumny —
 Jak był dzielny wiek:

Hej, coś pięknie im się marzy!
 Bo coś mówi z każdej twarzy:
 „Jam na sprawach legł!“

Znać że doma sobie legli —
 Gdybyśmy ich nie odbiegli,
 Gdy w nas krew ta wre:
 Hej, hej! możnaby tak pożyć
 I tak dumnie kiedyś złożyć
 Tutaj kości swe!

Gdyby przy téj krwi junackiej,
 Przy tem mleku z piersi lackiej
 Dzieje Polski ssać,
 Jacyż ludzie, jakiej treści,
 Jakich czynów i boleści
 Poczęliby grać?!

Czy na krwawem rusztowaniu,
 Czy na sejmie, na wygnaniu,
 Czy z wrogiem na tan,
 Każdy bilby jak Różycki —
 Stał jak Rejtan — legł jak Kieki —
 A cierpiał jak Zan!

Ha! dobranoc moje dzieci!
 Niech wam śpiewa, niech wam świeci
 We śnie piosnka ma!
 Niech się marzy wiek swobody!
 I słowami wróżki młodej
 Niech wam w duszy gra!

Ja, com sobie wziął z Krakowa,
 To w mem sercu się przechowa,
 To ja tylko znam!
 Lecz gdy legnę gdzie bez wieści,
 Bez łyzy bratniej i bez cześci,
 Nie będę już sam....

Z WIĘZIENIA.

Mącą się myśli, na pieśń się nie zbiera,
 I obraz niknie, słowo zaumiera...
 I znowu głucho... w uszach z cicha dzwoni,
 I w czczą pustynię duch bez steru goni
 Jak opętany — za nadzieją, wieścią —
 A wiecznie tylko powraca z boleścią.

Gdzież są te skarby, co mi tyle razy
 Otworem stały na moje rozkazy?
 Gdzie myśli moje, co się same przędły?
 I kwiaty serca, co nigdy nie więdły?
 Gdzie siła moja i ta wierna rzesza?
 Gdzie miłość moja? i laska Mojżesza?

Z pełnem ja sercem, niby z pełną czarą,
 Stałem w narodzie — i gdym silną wiarą
 Piersiami memi o skałę się cisnął,
 To źródło miłości ze skały wytrysnął:

Mnie było lekko, niby po kąpieli,
A inni napój i kąpiel w nim mieli.

Dziś ni spoczynku, ni pracy, ni chleba,
Tylko o krople rosy błagam nieba,
Z błogosławieństwem niech na duszę spłynie,
I przejdzie w serce, a w sercu nie zginie,
I z dawną wiarą ku niebu się rzucę —
I krople rosy zdrojem łez powrócę!...

Z PIEŚNI O DOMU NASZYM.

WIEJSKA ZAGRODA.

Patrz! tu stara mszysta strzecha:
Dąb odwieczny ją ocienia,
To tu będzie i pociecha!
Bo co miłe jest z wejrzenia,
To i czyste w sercu bywa.
Gospodarza głowa siwa:
Coś zadumał się głęboko,
I jak Piast na przyźbie siedzi;
Znać gdzieś w przyszłość puścił oko,
Lecz nie znalazł odpowiedzi....

Tutaj, synu, rzeknij w progu:
Pochwalony! Sława Bogu!
Na te słowa — patrz, powstaje
I gościowi cześć oddaje,
I do chaty go prowadzi
I za wielkim stołem sady;
Bo gdyś w Bogu go pozdrowił,
Toś przymierze ziemi wznowił;
I po Piaście dom stateczny
Wita gościa już bezpieczny.

Chata roić się poczyna:
 Ojciec zleca gościom syna,
 Matka córy — i nakrycie
 Na stół daje — by przybycie
 Gościa poczcic, bo „gość w domu
 To Bóg w domu“ — taka wiara,
 Gdzie pod dębem chata stara.
 Na kominek znieśli łomu;
 Wszystko krząta się w popłochu;
 Piast się spuszcza sam do lochu.
 Zanim wróci, miły bracie,
 Rzuemy okiem po tój chacie.
 Lampa płonie u siostrzenia
 Przed obrazem Matki Boskiej
 I jój światło rozpromienia
 Dzieje domu, dzieje wioski.
 Przy obrazie wota wiszą
 I dwie kule się kołyszą:
 Jedna większa — to moskiewska,
 Druga z miedzi — to czerkieska;
 I od kajdan odłamane
 Wisi obok nich ogniwo;
 A na wota poskładane
 Patrzy Marya miłościwo.
 Więc gospodarz, znać bywały
 I w ojczyźnie tój służyły,
 Kiedy takie polskie wota
 Są świadkami tu żywota.
 Jest i palma i gromnica;
 Bo pokoju palma znamię,
 A wieczysta łask krynica
 Kruszy strzały, gromy łamie.

Przed obrazem jest ołtarzyk —
 Karawaka na nim leży;
 Ewangelia, kalendarzyk,
 I książeczka od pacierzy.
 Niżej nieco kropielnica;
 A dokoła wonne wianki:
 Z siatki dziane są firanki —
 I przybytkiem jest świetlica!
 Stół się okrył darem Bożem:
 Piast przeżegnał bochen nożem,
 I postawił na stół flaszę —
 I powiada: „W ręce wasze!
 „Czem bogata stara chata,
 „Tem i rada — w ręce wasze:
 „Niech się smucą wrogi nasze!“

Wtem się ozwał dzwonek z wieży;
 Więc najpierwsza matka bieży
 I uklęka przed obrazem.
 „Anioł Pański zmówmy razem,
 „Gdy się jednym chlebem dzielim
 „I w gościnie tój weselim.“
 I jak mak siał, nawet trzpiotka
 Na kominku mruczy kotka.
 Co drobniejsze, to na przedzie
 Do bojaźni Bożej wiedzie
 I modlitwy pani matka;
 Starsi dalej — a z ostatka
 Piast z czeladzią razem klęczy;
 A w obrazie, niby w tęczy,
 Wszystkich oczy tkwią z tą wiarą,
 Że modlitwa jest ofiarą.

O modlitwo wspólna domu!
 Ty, co chronisz dom od gromu
 I od sromu — któż to zmierzy
 Jaka siła w tobie leży?
 Tyś jest cnoty matecznikiem;
 Bo modlitwy wraz z językiem
 Uczy matka to pacholę
 W tej żywota pierwszej szkole.
 Tu się we czei język łamie,
 Aby Boże słowo głosił:
 Tu przyjmuje Boże znamię,
 Aby je na sobie nosił.
 I choć w życiu się odstrzeli
 Od kościoła i od Boga,
 Gdy sprowadzą go anieli
 Do takiego w powrót proga,
 Gdzie bojaźni uczą Bożęj,
 Grzeszną duszę żal ogarnie,
 I łza serce upokorzy —
 I z drugimi klęknie karnie
 I uczuje ból straszliwy,
 Choć najgorszy z domowników;
 Bo tu bije ów źródł żywy,
 Co ucieczką jest grzeszników.

O modlitwo wspólna wiernych!
 Tyś dla domu twierdzą Bożą,
 Tyś krynicą łask niezmiernych,
 Tyś ogniskiem, tyś i stróżą —
 Dom po tobie idzie karnie,
 I ty dajesz sytość chleba,
 Gdy dostatek praca garnie,
 Co się boi kary nieba.

WIELKANOC POLSKA.

Wczesna wiosna — późne święta!
Lecz na niebie dobre znaki,
Bo parzyste z cieplic ptaki,
I parzyste są gąsienią.
Bydło nudzi się w okole;
Chociaż biedne jeszcze trawki,
Lecz gdy ryczy, pędź je w pole,
Niech się przejdzie dla zabawki.
I z dniem każdym ptaki nowe
Z cieplic do nas powracają,
A fujarki te wierzbowe
Do ich śpiewu przygrywiają.
Na deszcz wróżą z ptaków lotu —
Niebo młodzieć się poczyna —
Dym się ciągnie od komina,
A więc tylko czekać grzmotu.
Bo bez deszczu nie ma wiosny,
I grzmot tylko ziemię wzruszy,
I ożywi ugor postny,
I zimową pleśń osuszy.
I w te same znowu szlaki
Wróćą ptaki i ptaszęta —
I zakwitną sady, krzaki,
I doroczne wróćą święta.
A ze świętem pieśni nowe,
Pieśni z wieków obrzędowe,
Tak powróćą, jak te kwiaty,
Jak jaskółka do tój chaty.

Post się kończy. Tydzień wielki
 Przy kościele ludziom schodzi,
 I obrządek wraca wszelki,
 Co z kościołem razem chodzi.
 Pieką, warzą gospodynie —
 I kraszanki piszą dziewczki;
 Jak wił wianki, nucił śpiewki,
 Dzień choć duży, tak się minie;
 Boć to wielkie tu porządki,
 Które w domu trzeba zrobić,
 I niemało przysposobić
 Na te święta i obrządki.

Wielki tydzień! Duch truchleje
 Na te straszne krzyża dzieje —
 I lęk wszystkim się udziela
 Po tej męce Zbawiciela.
 Dzień straszliwy! Pan Bóg w grobie,
 Co dla grzesznych krwi nie skąpił,
 Do otchłani Chrystus zstąpił,
 Cóż tu człeku począć tobie?
 Bóg twój skonał, Bóg miłości —
 Gdzież jest twoja obietnica?
 Zmartwychwstania tajemnica?
 Cóż ty poczniesz śród tych złości?
 Bóg twój w grobie, Polsko biedna!
 Najstraszliwszy to dzień w roku,
 Boś na ziemi sama jedna,
 A bez Boga ani kroku.
 Ale ufaj, bo zabuja
 Nad tym grobem sztandar wielki
 I zaśpiewa język wszelki:
Resurrexit — Alleluja!

Chrystos woskres! plynie siolem
 Wieść wesola dla gromady,
 I zagrzmiało z Bożej rady,
 I lud wszystek staje czołem.

Chrystos woskres! pachnie paska
 I święcone w całej ziemi —
 I do chaty wraca łaska,
 I gościna z życzliwemi.

Chrystos woskres! Jakież budzi
 Myśli w duszy wielkie hasło?
 Chodźmy synu między ludzi,
 Żyje w sercach i nie zgasło
 Co kotwicą jest ufania,
 Co najwyższe w domu twoim —
 To, w co wierzym, na czym stoim,
 Tajemnica Zmartwychwstania!

Dzisiaj w ziemi nie ma głodu,
 Każda nędza jest podjęta,
 Dziś nie znależć serca z lodu;
 A kto takie święci święta,
 Ten zapalił Bogu świecę,
 Ten i w dziejach nie pokłamię,
 Bo braterstwa poczcil znamię
 I najwyższą tajemnicę.

„Ot dwór jakiś. Wstąpmy bracie!“
 — A czy waszmość tu się znacie?
 „Jako żywo — nigdy w oczy!
 Lecz gdy cały świat ochoczy,

Dzisiaj po chrzcie i po chlebie
 Dobrze przyjmą tutaj ciebie.
 Kto i jaki? nikt nie pyta;
 Nawarzyli i napiekli,
 Alleluja sobie rzekli,
 Ot i gości każdy wita!“

Jakże suto zastawione
 Długie stoły u ścian wkoło!
 Staropolskie to święcone,
 Więc zabawim się wesoło.
 Bo, co wszystkich tak weseli,
 To dla serca w ziemi rajem.
 Ot gospodarz jajkiem dzieli,
 To i my się dzielimy wzajem!
 „*In quo nati!* Ależ starka!
 „Dobrze taką post odprawić;
 „Tylko trochę wielka miarka“ —
 — A ja radzę, by poprawić. —
 Ktoś tam z boku na to prawi:
 „Bo trza wypić, kto chce spożyć;
 „I kto wieżę w ziemi stawi,
 „Ten fundament ma położyć,“
 Mazowiecki statut radzi,
 By po starce przysiąść trochę,
 Więc się w kątku nie zawadzi,
 Bo są rzeczy tu niepłochy.
 Świat zwykł chwalić te powaby
 Gładkich panien — zawdy, wszędy;
 Lecz w kątku panny, kiedy baby
 Tak wyrosłe stają w rzędy.
 Co u licha! dzik zuchwały
 W poprzek stołu legł układnie:

Jakże z nim się spotkać padnie,
 Kiedy widzę jeszcze cały?
 Nie ma troski — bo nadziany
 Kopą pardwi — przystęp łatwy —
 I głowizną przekładany;
 A są także kuropatwy
 W drugim końcu, w równej mierze.
 Tej zastawy sarniuk strzeże;
 Stał niby w małym lesie
 I złoczone różki niesie.
 Miasto darni, mszą się puchy
 Od fiołków i rzeżuchy.
 Co tam stoi między dzikiem
 A sarnikiem — któż to zgadnie?
 Kto to przejdzie wszystko likiem,
 Co dom daje tak już ładnie?
 Tutaj szynki — tu pieczenie —
 Więc i sarnie i jelenie —
 I cielęta i baranie —
 A co bliżej, to już stanie
 Ta kiełbasa pozwijana
 Pisankami przetykana.
 Aż i tutaj — i tam prosię
 Już na krańcu stołu staje —
 Bo tu ledwo dopchało się,
 A więc w pyszczku chrzan podaje.
 Gęsto między tem mięsiwem
 Leżą rzędem ułożone:
 Te mazurki postrojone,
 Co sąsiadek są podziwem.
 Więc i placki przekładane,
 I kołacze te rumiane;

Co po sobie gęsto stoją
 I barwinkiem stół ten stroją.
 W środku słołu stoi wiernie
 I urobion jest misternie
 Ów baranek, co prowadzi
 I te grzechy świata głodzi.
 A już głębięj, za barankiem
 Wonne kwiaty stoją wiankiem;
 I z przysmaków urobiony
 Koń w tureckiem stoi siodle;
 Bo nie chadzał dom ten podle,
 Ale gotów do obrony,
 W rodzie swoim miał hetmana,
 Który siadał w siodło chana.
 Więc w tym koniu pamięć męstwa,
 Wiernęj służby i zwycięstwa,
 Staropolski dom ten święci —
 I nie jemu z tęg pamięci
 Ale chwała jest w narodzie,
 Że szli tacy nam na przodzie;
 I szczęśliwy jest ten, komu
 Czcic się godzi dzieje w domu;
 Kto jak starszy, staje czołem
 W święto wielkie przed kościołem;
 Kto jak starszy, jest przewodem
 Dla narodu swoim rodem.

II.

GAWĘDY.

WIECZÓR PRZY KOMINIE.

Polska gawęda.

No, moi panowie! gdy mowa o wojnie,
A propo napadu i ja coś opowiem:
I jam to za młodu nie siedział spokojnie;
Z innemi siłami i z innem to zdrowiem
Służyło się niegdyś ojczyźnie wojskowo,
Bo w Polsce bój z Moskwą nie rzeczę to nową.

Nie było tam wprawdzie ni sztabów, ni zborów,
Ni piątki rządowej, ani dyktatorów;
Bo macie to wiedzieć: kto w Polsce dyktował,
Niedługo tam jemu brat szlachcie czapkował,
Nie jemu to było dochować się syna,
I stada, i sada, i starego wina.

Tam z prawa i z miecza był każdy z nas równy,
A ktoby nierówny, braterstwa wróg główny.
Kraj zwano naówczas rzeczpospolitą,
A człowiek żył jakoś poszyto i syto,
A chociaż nam nieraz wróg zalał i sadła,
Nie jedno upadło, a czapka nie spadła.

Stanisław był królem — kiep, odpuść mu Panie!
I takie to było jego panowanie;
Bo ani do tańca, ani do różańca:
Nie miał też afektu u szlachty, bo z pruska
Miał czuby strojone, a westy z francuska;
Pokażny to niby na oko, a tchórzyl;
Łaskawy to niby, a naród oburzył.

Gdy włożył koronę, wnet szlachta w krzyk panie:
„Król nowy — las goły — to goły kraj stanie!“
I zgadła; bo chociaż zaprzysiągł nam pakta,
Nuż dalej z moskiewską carycą w konszakta.
Ou! burzy się szlachta; bo czyż to słychanie?
Kraj napaść, lud więzić, to owo, mosanie?
I w rządach i w sądach nad szlachtą przewodzić,
I króla tumanić, a panów podchodzić?

„Hej, bracia! — jak huknął Pułaski nam w Barze —
Nuż bronić ojczyzny, bo Pan Bóg nas skarże!
Nuż na koń!“ Aż w Polsce się całej rozległo,
I w chwili trzydzieści tysięcy się zbiegło.
Ja byłem już wówczas na mojej zagrodzie,
I żyłem z sąsiedztwem w szczerości i zgodzie;
A była tam, panie, szlacheianka uczciwa,
Ba, dziewczka by rzepka, figlarna i żywa!
Więc miałem się żenić; lecz coś mnie ubodło:
Ej! miłsza ojczyzna! Wskoczyłem na siodło.
Przyjeżdżam; bądź zdrowa! ha! darmo się smucić,
Żal było, lecz umiał człek jakoś to rzucić,
I dalej na czyste, na tany sierdziste!
Co komu się godzi?! kto kogo podchodzi?!

Ha! różnie bywało, jak zwykle w obozie;
 Był człowiek pod wozem, lecz częściej na wozie.
 Nie znano naonczas, co to być odciętym
 Na koniu, z czetnikiem i wzrokiem napiętym;
 Pocięta gadzina i w sztukach się wije,
 Więc każdy z nas, panie! gdzie stoi tam bije.
 Tu migniem, tam wpadniem i trwogą rozszerzem,
 Ci z tyłu, ci z przodu, w dwa ognie ich bierzem:
 Czasami nas zeszli, lecz częściej tak było,
 Że gracko się kurtę kozuniom kroilo;
 Bo dzielnie na koniu tatarskim człek zwijał,
 I wódkę z manierki kozackiej zapijał.
 Na ostro kochano ojczyznę, nie płazem,
 Broń tylko składano z żywotem zarazem.

Pamiętam jak dzisiaj: ot w naszych tu górach,
 Staliśmy za Sanem z Pułaskim obozem,
 Moskale na Słonem pokryli się w dziurach,
 Ja patrzę, aż jedzie ktoś ku nam wąwozem.
 Był, panie! to szlachcie z pobliskiej dziedziny,
 Zsiadł z konia i prosił hetmana na chrzciny.
 Pułaski go szczerze, jak brata, przywitał,
 „Cóż? synek? czy dziewczka?“ z uśmiechem zapytał.
 — Nadzieja ojczyzny, syn, mości hetmanie!
 Książdz czeka na chrzciny, na gościa śniadanie.
 „Więc służę, bo z bracią pokumać się godzi,
 A mogę dom zacny nawiedzić bez szkody;
 W obozie spokojnie, opadły z gór wody,
 I najmniej do jutra nikt Sanu nie zbrodzi.“
 I rzekł mi: „Czechowski! no, siadaj i wasze!
 A weźmiem go przy chrzcie na krzywe pałasze;
 To będzie tam z niego chłopaczek czej dziarski,
 Gdy do chrztu go trzymał konfederat barski.“

I kazał dać konia — a konia miał Turka,
 A szablę demeszkę, a człeka Mazurka.
 Chce siadać mosanie! a basza się zżyma:
 Mazurek go głaszcze, i syka, i trzyma,
 Lecz ani weź, panie! mój rumak się dąsa,
 I skacze, i furka, i wierzga, i kąsa.
 „Wie djabeł, co się z tym koniem dziś święci!
 Daj siwkę! bo jeszcze człek karku nakręci.“
 A siwka tak samo. „To nie bez kozery!
 Daj wilezka!“ a wilezek uklęknął na cztery.
 Ja chciałem mu podać mojego stępaka;
 Lecz rzekł mi: „wołałbym twój kord, niż rumaka;
 Bo kary — a żaden Pułaski z pradziada,
 Bez szwanku, na konia karego nie wsiada.“
 I jakoś tam w końcu już wilezka schwycili,
 I wszyscyśmy spolem działami ruszyli.

Lecz jeszcze przepomniał: Nim ruszył Pułaski,
 Nadjechał oboźny, a zwał się Czerkaski.
 Pan hetman mu kiwnął: „ja będę za borem —
 Jeżeli tu do was nie wrócę wieczorem —
 Rozumiesz?“ — Rozumiem. — „Miej Słonne na oku,
 Pistolet na smyczy, a konia przy boku!“
 I ruszył — a ruszać on umiał nieszpętnie,
 Bo nieraz, jak panie, w ciasnocie się zetnie,
 Nim jeszcze krew pluśnie, już on się wyslizgnął,
 I znowu z szturmaka pomiędzy nich bryzgnął.

O! wiele to mówić! — Dziś piszą i siedzą,
 A jedni o drugich o milę nie wiedzą;
 Lecz woneczas bez pisma na ludziach się znano,
 A więc nas ucziwie i szczerze witano.

Nuż w kuny... ba, dalej afekta, śniadanie,
 A były tam gładkie i panny i panie,
 I człowiek był młody, i także nie z lodu,
 Bo mówią: i djabeł był piękny za młodu!
 Dopieroż Barszczanin przy kitce i z szablą?
 Ot, było to jakoś uczeiwie a djablo!

Nasz szlachcic toż samo nieczgorzój wystąpił,
 Sąsiadów pospraszał i sreber nie skąpił,
 Nie było tam wiele wymysłów... cekaty...
 Bo było na łyżce i było za łyżką,
 A wino na piękne trąciło już myszką.
 Szedł kielich kolejno — a mówią: przy winie
 I miłej drużynie czas jakoś to płynię;
 Więc dalej i wieczór. Pod koniec już stoła
 Ja patrzę, a szlachcic ciągnie apostoła.
 Ba! leje... butelka... i druga bez mała,
 Niech żyje Pułaski! krew we mnie zawrzała;
 Bo razem na wiwat z moździerzy wypała;
 Wtem patrzę, aż we drzwi... kozacy się wała.
 Ou! kręto mospanie! — strach, popłoch dokoła!
 „A wam tu hultaje!! — Pułaski zawoła,
 I odwiódł pistolet, i chwycił za szablę —
 Wszak masz mnie już przecie? kozacze czy djable!
 Lecz jam tu w gościnie — a kto się z was ruszy
 Przed końcem objadu, nie zbawi ten duszy!
 Nie zbawi, powiadam!!“ I nabiegł krwią cały,
 Aż nogi ze strachu pod czernią zadrżały.
 I cisnął im kiesę: „tu na-m ci kozacze!
 Kto bierze Pułaskich, nad dolą nie płacze.“
 I usiadł, i gości solennie przeprosił,
 I zdrowie dziecięcia i matki ogłosił.
 Nalano — podano — „do ciebie kozacze!

Nie czynem, to winem przynajmniej uraczę;
 A wypij je duszkiem! bo dziecię zapłacze.“
 I podał, jak gdyby nie nigdy nie było,
 A przy drzwiach kozoactwo na piękne już piło,
 I jeden z nich krzyknął: Na zdrowie carowój!
 I wzięcie hetmana! „I wasze tu łowy! —
 Odkrzyknął Pułaski — wszak wiecie, jak biję?
 Polska krew wrogom wbrew! niech ojeczyzna żyje!
 A licho na Moskwę i głowę carycy!“
 I palnął dwa razy przez okno z krucicy,
 I we drzwi jak szatan demeszką potoczył.
 Mnie nie czas już do drzwi, przez okno-m wyskoczył.
 „Czechowski! nuż plecy!“ i rąbiem się młynca,
 Plecyma jak skuci dokoła dziedzińca.
 O! ciasno bój chodził — wtem utknął Pułaski,
 Upada — a w bramie jak huknie Czerkaski!
 Jak wpadnie z naszymi! w kapustę nuż siekać!
 Sąd Boży! nie było już kędy uciekać....
 Kozoactwo do nogi z pradziada wybito,
 I zdrowie przybyłych na trupach wypito.
 Moździerze zagrzmiały: niech żyje Pułaski!
 A hetman zawołał: niech żyje Czerkaski!
 Polska enota!
 Wolność złota!
 I rzeczpospolita!!!

.
 Od sławnych świat to lubi zwykle się wywodzić,
 Lecz daj Boże każdemu z pocziwych się rodzić.
 Mąż wielki, jak meteor zabłyśnie i ginie,
 A głowy nawet w biednej potrzeba rodzinie,
 Coby strzegła to gniazdo od burzy pod niebem,
 Bo i ojczyzna stoi także tylko chlebem,
 Chlebem pocziwój pracy, w pocie uzbieranym,
 Zwykle łzami ludzkimi, często i krwią zlanym.

Więc o wielkich nie chodzi, bo wielkich Bóg daje;
 Ale wielka już bieda, gdy zacnych nie staje!
 Gdy się rodzina sama ujrzy jak sierota,
 A prócz drogi przez wioskę i cudzego płota,
 Niczego i nikogo nie śmie nazwać swoim,
 To źle już panie bracie, gdy pójdzie tym strojem.

Wiedziano o tem w Polsce, znali to i starzy:
 Że się niezawsze w życiu i niewszystko darzy,
 Że majątek rzecz śliska, że sława przechodzi,
 Że często bogacz biednych, światły ciemnych rodzi,
 Ztąd ni w chwałę, ni w skarby szlachcie się fundował,
 Lecz, by pocziwe imię swym dzieciom dochował;
 I przeto w każdym domu bywała nauka,
 Co przechodziła wiernie z przodka na prawnuka,
 I rodzinnej praktyki w sercu skarbiec złoty
 Utrzymywał rodziny i w narodzie cnoty....

Po naukach, praktykach, domowym zwyczajach,
 Znano jak po klejnocie i rodziny w kraju,
 I jak konia rozeznasz dobrego zawodu
 Jeszcze w dziesiątem ręku, tak człowieka z rodu.

Różne też i tradycje po szlacheckie bywały:
 Gdy myśliwy lub rycerz, to zwykle dom cały,
 A gdy hetman Babiewicz, same baby z rodu
 I chyba jako Ciołek bryknął który z młodu.
 Kiedy żądny fortuny, fartuszków się trzymał,
 I rósł w związki przez kądziel i mieszka nadymał,
 A gdzie tylko zasłyszał o pannie bogatej,
 Choć o setną granicę, chociażby garbatej,
 Żenił synów i córki za starych wydawał.
 A choć w usługach kraju z drugimi nie stawał,
 Była tłusta prebenda, to i za nią chwycił,
 I ubiegł synekurę, starostwo przemycił,
 I we wszystkie się skarby krom sławy bogacił,
 Aż stratny syn nareszcie djabłu haracz spłacił...

Były jednak i domy, na szczęście ojczyzny,
 Co wzrastały w narodzie zasługą i blizny:
 „Starosta lub kapucyn! ale nigdy sługa!“
 Tak wierzyli znów inni — a inni znów pług
 Pilnując i tę ziemię dzieląc między siebie,
 Rozmnażali się gniazdem, jak gwiazdy na niebie.
 Inni znowu tradycją sami palestranci,
 Jur w jura tutumfacy, pieniacze i franci,
 Urznij połę, a uchodź! — a bywali tacy,
 Co znowu, jak ród cały, to sami junacy!
 Poplecznicy, rębacze, dworskie stawinogi,
 Achatesy wyprawne na wysokie progi.

A brat szlacheć poczciwy, jak się wziął do piórka,
 To kończył na pisarzu w enocie i pokorze,
 A jak służył wojskowo — całe życie burka!
 A jeśli Bogu służył — to w biednym klasztorze;
 A chociaż i zabiegał i pracował djablo,
 Nie gęsią nie wyorał, nie wyrąbał szablą,
 I tylko tyle sobie u Boga wymodlił,
 Że i sygnet przechował i szabli nie spodlił.
 Bo też naprawdę mówiąc, nie wzdychał za złotem
 Szlacheć, gdy miał kęs chleba, myślał tylko o tem,
 By Boga i ojczyznę kochał najgoręcej,
 Potem, by miał przyjaciół wiernych jak najwięcej,
 A w domu, moja rybko, jak najwięcej dzieci,
 To zresztą, co ma świecić, we wrotkach zaświeci.

Pani matka czuwała nad dziewczęciami liczkami,
 A chłopak, podpasany łyżką i rzemyczką,
 Rósł na barszczu czeladnym, na kluskach i kaszy,
 A uganiał naoklep po gromadzkiej paszy!
 Aż już dorósł batoga, i ławy, i księgi,
 Ojcowskiej, dyrektorskiej lub klasztornej cięgi.
 Tam uczyli posłuchu i bojaźni Boga,
 Szłać tam wprawdzie nauka często od batoga,
 Lecz on formował rękę i uczył łaciny,
 Miłości i bojaźni, i niesforne syny
 Służyły później sformie i ludziom i Bogu,
 I każdy błogosławił rękę po batogu!...
 Bo dobrze znano w Polsce, czego trzeba komu,
 Za domem różnie było — ale posłuch w domu!
 Kiedy Pan Bóg dał dziecię, dziękowano Bogu,
 Bo z niem przyjaciół nowych witano na progu.
 Ktoś podał do chrztu dziecię, a ztąd i przymierze,
 Pokrewieństwo kościelne i opieka w wierze,

Na wypadek sieroctwa i pomoc i rada,
 A gdzie wiele jest dzieci, choć jedno się nada,
 I czem więcej, tem łatwiej radzą sobie przecie.
 Tak było i tak będzie zawsze pono w świecie.

Śmiech mnie bierze, gdy słyszę dziś o nas mówiących,
 Lub co gorzej, gdy czytam ciemiegów piszących,
 „Że możne domy stały tylko starostwami,
 A szlachta dworską służbą za panów plecami.“
 — O, co tak długo stało, to stało posadą!
 I nie tak nas mosanie uczyli za młodu,
 Bo możne domy stały tradycją narodu,
 A szlachta stała w życiu familijną radą!
 Lecz odkąd możni sprawy narodu odbiegli,
 A szlachta nawet w domu cnoty nie ustrzegli,
 Wszystko runęło na łeb i poszło na nice,
 I Bogu nie ma świeczki, lecz bies ma gromnicę!

W każdej prawie rodzinie był ktoś jeden głową,
 I świętem było wszystkim każde jego słowo.
 Był to człowiek w rodzinie zwykle najmożniejszy,
 Albo wiekiem najstarszy, albo najradniejszy!
 Czasem też padła kolej, że i z niewiast grona
 Zawładnęła rodziną poważna matrona,
 I wówczas bywał w domu taki sojusz wierny,
 Że i dom się podnosił i majątek mierny,
 Że każdy za jej radą na nogi się stawiał,
 I domowi widocznie Pan Bóg błogosławił.

Kto zawładnął rodziną, ten rządził uważnie,
 Z łagodnością, słodyczą, lecz bardzo poważnie!
 Dosyć było tam słowa, czasem rzutu oka;
 Lecz gdy w słowie lub oku upadła z wysoka

Rada albo przestroga, lub broń Boże kara,
 To nie żarty już były i strzegła się wiara!
 I każdy musiał uleż, lub co złe poprawić,
 I musiał choć raz w roku pocziwie się stawić,
 I przed głową familii ze wszystkiego sprawić.

Święta w rodzinach zwykle razem obchodzono,
 Ze szkół chłopców, z klasztoru panienki zwożono:
 Ten przybywał z palestry, od chorągwi inny,
 Czasem i kaptur ciągnął do strzechy rodzinnej,
 Bo choć uczynił śluby ubóstwa, czystości,
 Nie wyrzekł się przed Bogiem pocziwej miłości,
 I ze mszą a praktyką przybywał do domu.
 Czasem też i wypadło związać ręce komu,
 Lub na którym wyrostku spróbować ogórki.

Tam z żonami synowie, a z zięciami córki
 Pośpieszali w wigilię imienin lub święta;
 I każdy tam przytulił drugiego pisklęta —
 A choć razem nie żyjąc, widzieli się rzadka,
 To kiedy babka wnuczkę, panią córkę matka,
 Ojciec syna, synowca obejrzał stryjasek:
 To żeby jaka trusia, żeby jaki ptaszek,
 Musiał się wypowiadać i w skrusze osądzić,
 I nie wolno tam było nikomu pobłądzić!

Tam na słabość zjeżdżały najmłodsze męzkatki,
 I komu nieszczęśliwie chowały się dziatki,
 Oddawał tam i dzieci — a pod okiem głowy
 Kwitło dziewczę jak róża i rósł chłopak zdrowy.
 Bo do siódmego roku w habitku ubrane,
 I Matce Boskiej z łzami na ofiarę dane,

Rosło i wątłe dziecię pod strzechą obronną
 I wyprosiło żywot sukienką zakonną,
 Niewidziane od matki do siódmego roku;
 Taka to jest moc wiary, taka łaska w oku.
 Do rady familijnej nie każdy należał
 Nawet w samej rodzinie — lecz każdy powierzał
 Po Bogu swoje losy familijnej radzie,
 A co dla jego dobra zapadło w jej składzie,
 Tego trzymał się święcie. Rzecz nie szła na głosy,
 Lecz cicho się ważyły w sercu wszystkich losy,
 I jednomyślnie w końcu zapadało zdanie,
 I każdy je przyjmował i dziękował za nie.

Tu się zazwyczaj wszystkie układały stadła,
 Tu dzielono majątek, gdy fortuna spadła,
 Starszy układał schedy, a młodszy wybierał,
 Tu młody, w świat wychodząc, przestrogi odbierał;
 I przed tym trybunałem musiał się znów stawić,
 Gdy się krzywo kierował i źle począł bawić.
 Bo i to się zdarzało.

Dola była złota,
 Szabla wiecznie przy boku, do bójki ochota;
 Człek za młodu trzymany surowo i bity,
 Więc jak się rozparł później w rzeczypospolitej,
 To nie było fantazyi czasem i granicy,
 I krzywda nieraz siadła na krzywej szablicy.
 Tak przy wolności była czasem i swawola,
 Ależ był i hamulec, była starszych wola,
 A kto się nie bał sejmu i sądu i króla,
 Bał się tego, co z rodu miał nim prawo rządzić,
 I choć bliskiego sercu potrafił osądzić,
 Jeszczeć gdy się zdarzyło tak po ludzku zbłądzić,

To była na to rada i ratunek w porę;
 Lecz czasem szlachcic zabrął, że aż piekło gore!
 To jak dał nurka w Polsce, i słych o nim zgiął,
 I po latach dopiero z klasztoru wypłynął
 Gdzieś na Gdańskim Pomorzu, albo też na Żmudzi,
 Słuchasz, patrzysz, poznajesz, czy cię oko ludzi?
 A on misyę odprawia i nawraca ludzi!

„A któż waści nawrócił?”

„Miłosierdzie Boga!
 Wstyd, com zrobił rodzinie, i wskazana droga
 Za radą familijną....“

Czasem gdy nie było
 W sercu takiej pokory, a złe się zbroiło,
 Trzeba było na kudak szlachcica wyprawić,
 Aby mógł się dowoli szabelką zabawić
 I krwią własną to obmył, co szablą nabroił;
 A że nikt w ciepłe czepki wartolbów nie stroił,
 Dano mu tylko konia, kulbakę i szablę,
 I krzyż na cztery wiatry! „Ruszaj panie djable!..“

Cóż wasze na to powiesz? często się zdarzało,
 Że się taki banita okrył jeszcze chwałą;
 A ten, co bywał w kraju ludziom niebezpieczny,
 Gdy między łotrów popadł, jak prałat stateczny!
 Pilnował się chorągwi, i tam wobec wroga
 I z sumieniem się spotkał i z bojaźnią Boga,
 A gdy o nim i jego sprawkach zapomniano,
 I od kresów dzielnego rycerza witano...
 Słuchasz, patrzysz, poznajesz, czy cię oko ludzi?
 A on już i chorągiew i zaciężnych ludzi,
 I listy ma od króla i łaskę hetmana,
 Ba, nawet i starostwo i wyszedł na pana;

I krócej jeszcze trzymał bractwo na posadzie,
 I najsurowszym bywał w familijnej radzie....
 Kiedy dom był zamożny — łatwo było dzielić,
 I obdarzać się wzajem i społem weselić,
 Łatwo było zarządzić, gdzie było dostatnio.
 Wiedziano jednak o tem, że nie samą radą
 Stoi człowiek na świecie, lecz pomocą bratnią,
 Że trzeba podać rękę i wspierać gromadą
 Chudobniejszych przy sobie i stawić na nogi,
 Ztąd i dom podupadły i człowiek ubogi
 Znajdował bratnią miłość i pomoc w przygodzie,
 I nie było sieroty w tak wielkim narodzie!

Bo żeby dźwignąć człeka, niewiele potrzeba,
 Trochę miłości w sercu, trochę łaski nieba,
 I nigdy wszyscy razem nie mogą być biedni,
 Lecz zawsze i możniejsi i szczęśliwsi jedni.
 A jak drugich podźwigną chudobniejszych braci,
 To z Bogiem już rachunek, i on za to płaci....
 Że się chlebem dzielono, więc chlebem Bóg raczył,
 Mało było pieniędzy, więc człowiek coś znaczył.
 A chociaż się kto nosił w jedwabiach i złocie,
 Znał o tem, że najstrojniej człowiekowi w cnocie;
 A więc w dobre uczynki z cicha się sposobił,
 By się tu dobrą woli, a tam nieba dobił.

Jeden stawiał kościoły, klasztory fundował,
 A drugi w sercach ludzi dom sobie budował,
 I nie czekał aż wezwie ktoś jego pomocy,
 Lecz przeczuł los bliźniego, i we dnie czy w nocy
 Pośpieszał na ratunek, i jak poseł Boży
 Tam przybywał z pociechą, gdzie było najgorzej.

Nie wolno nawet było tam się kryć z swym losem;
 Lecz gdyś boleść twą zdradził twarzą albo głosem,
 Albo rzewną modlitwą lub płaczem w kościele —
 To się zaraz znaleźli jacyś przyjaciele!

„Co to? jak to, braciszku? a czy to być może?
 No, ludzie nie Tatarzy! Bóg jakoś pomoże!

A nie godzi się wątpić i rozpaczą grzeszyć,
 Bo kiedy świat zasmuci, Bóg może pocieszyć.“

I kiedy strapionego wzięli między siebie,
 I rada się znalazła i pomoc w potrzebie,
 I zdrowie gdzieś wróciło, zfolgował wierzyciel,
 Bo się znalazł dobrodziej, znalazł i ręczyciel;
 A gdy wielu tak radzi, by jeden nie zginął,
 Musiał w los swój uwierzyć i jeszcze wypłynął.

Czasem znowu człowieka skrzywdzono na sławie,
 I nie było sposobu oczyścić się w sprawie,
 Bo adwersarz był mocny, dowodów nie było
 Poparcia niewinności, a partya szła siłą,
 I kalumnię rzuciwszy, wyzuła z własności:
 To szlachcic jak przypuścił do serca żalości,
 Jak się zgryzł i zwątpił w tak ciężkim frasunku,
 Nie pomogła i żona i topił się w trunku.
 Bo i jakże się bronić w sprawie tak dotkliwój,
 Wystąpże tu przed światem i mów żeś poczciwy,
 Jak gdyby cię nikt nie znał, jak gdybyś spadł z nieba,
 Jak gdybyś z ludźmi razem nie był jadał chleba?

Cóż wasze na to powiesz? ot znalazł się taki,
 Ni znany, ni proszony, co wpadł na poszlaki
 I po nitce do kłębka póty jeździł, pytał,
 Aż gdzieś i wszystkie akta i świadków pochwytał,

I grosza i fatygi i zdrowia nie skąpił,
 Aż z jasnymi jak słońce dowody wystąpił
 W obronie niewinności, i ciął jak bułatem,
 I cnotę pogiębioną oczyścił przed światem.
 Ty chcesz mu do nóg upaść, a on gdzieś już w domu,
 I nie było już nawet podziękować komu...

Jeżeli cześć się w życiu oddawała cnocie,
 To nieszczęście poczczono w wdowie i sierocie.
 „Wdowa!“ — To słowo było pobudką czułości,
 I jak we łzach się zlewa żal wszystkich żalości,
 Tak w tem słowie leżała serdeczna wymowa,
 I było to zaklęciem, gdy kto wyrzekł „wdowa!“
 Wdowie w pomoc pośpieszyć — nie było zasługą,
 Bo z jej błogosławieństwem biegło szczęście strugą,
 Ale wdowę ucisnąć, to więcej niż zbrodnia
 I już za życia w sercu piekielna pochodnia.

Tak samo też wierzono, że gdzie jest sierota,
 Tam chleba nie zabraknie, choć nie będzie złota,
 I takiemu domowi Pan Bóg błogosławi,
 Co sieroty odedrzwi swoich nie odprawi,
 Lecz do serca przytuli, podjąwszy od proga,
 I nauczy miłości i bojaźni Boga!
 Czasem toś nie rozeznał nawet po pieszczocie,
 Które dziecię przybrane, a które jest matki,
 Bo się razem chowały i karmiły dziatki,
 A gdy któremu dodać — to chyba sierocie.

.

Gdym tedy już ujrzał i sady i błonie,
 I dworek rodzinny i w łące te konie,
 Zawrzało mi w sercu, i lecę jak ślepy;
 Wtem spojrzę, aż ojciec powraca od rzepy.
 Poznałem go zaraz, więc zwracam w lot koniem,
 Pomijam figurę, nuż przez rów i błoniem
 Naprzeciw. A ojciec zawołał od roli,
 Poznawszy mnie także: „Powoli! powoli!
 Mosanie, oblawa! kto jeździ przez błonia?
 A nazad, figura! Zdjąć czapkę i z konia!“

U ojców bywała reguła surowa;
 Więc gdy mnie konfuzya spotkała takowa,
 Wróciłem i czekam pod krzyżem z pokorą,
 A ojciec powiada nadchodząc: „Więc, ale!
 A zkad to tam waszmość ćwiczenia te biorą,
 Tak koniem na ojca najeżdzać zuchwale?
 Ba także przed krzyżem nie schylać już głowy,
 To widzę po dworach obyczaj dziś nowy?“
 I zmierzył mnie, konia i chłopca surowo,
 I począł potrząsać i ręką i głową:
 „Ba, ba, ba, mosanie! co widzę? a co to
 Pacholek? koń w rzędzie? bławaty i złoto?
 Nieczemu to buczno, bo widzę buńczuczno!
 I w drodze tak strojno? O niech mi waść wierzy,
 Jam nie miał do ślubu pocziwszój odzieży,

Toś zhardział mi, widzę, po dworach mój synku?
 Dał pan, da i ojciec swoje w upominku:
 Jeszcześ mi nie wyrósł z pod władzy ojcowskiej,
 Mam jeszcze ów samy monitor boćkowski,
 Więc wąsy, chociażby z za ucha, wygołę,
 A orznę, jak ojciec, i skarcę swawolę!
 I starą ja waści przypowieść wyłożę:

„Dobrze temu na dworze,
 Komu doma pług orze.“

Co ojciec uskładał, to synek uporał,
 A wasze czyś dużo już złota wyorał?
 Nieboszczyk dziad mawiał: „Pocziwie w kąciku,
 W dreliszku rybenko, a według staniku!
 A wasze?!...“ I nagle tu uciał już mowę,
 I sierdząc się, czapkę zacisnął na głowę;
 A kiedym mu do nóg chciał upaść już w ganku,
 „Zapóźno — mi rzecze — zapóźno kochanku!
 Idź wasze do matki!“ — A matka nuż witać
 Z radością synalka, nuż gościć, nuż pytać,
 Nuż chwalić fantazyę, obyczaj i stroje:
 „A dziecię kochane, a miłe, a moje!
 A jakie to dworne, a mężne, a grzeczne,
 A jakie to strojne, a jakie stateczne!“

Pocziwe matczyisko splakało się rzewnie,
 I ja się splakałem na takie witanie;
 Lecz serce mi jakoś gadało niepewnie,
 Bo insze o synku jegomość miał zdanie.

Przy matce bawiła podówczas panienska:
 Milutkie stworzenie, wysmukła i cienka,
 Anusia Terlecka — więc także mnie wita;
 A kiedy odbiegła, więc matka zapyta:

„Czy nie ma już więcej pokłonić się komu?
Wszak jam was rodziła tu, przed tym obrazem,
A Bóg cię szczęśliwie powrócił do domu!“

Więc we łzach, w modlitwie uklękliśmy razem,
Za powrót w dom ojców Bogu podziękować;
A potem relikwiarz zdejmując ze ściany,
Podała mi matka, by go ucałować;
A potem dobyłem dukat poświęcany,
Przed laty mi dany w intencji najszczerzej,
Gdym z domu rodziców wyjeżdżał raz pierwszy;
A potem po takim witaniu serdeczném
Począłem rzecz swoją dyskursem statecznym,
Gdziem bywał, com widział po świecie, com robił,
I czegom się uczył i w com się sposobił,
I jakie gdzie dwory i jakie gdzie kraje,
I jacy panowie i jakie zwyczaje.
A kiedym tak jedno po drugim powiadał,
Przynieśli wieszczę. Jegomość nie jadał
Wieczery, lecz obok pacierze odmawiał;
A kiedym ja matce o sobie rozprawiał,
Drzwi tylko na chwilę odchylił czasami,
I mruknął, spojrzawszy, i skreślił wąsami.
Złe będzie, myślałem — wtem dano wieszczę;
Zgadałem się setnie, więc wziąłem się szczerze,
A dali, pamiętam jak gdyby dziś, grzybki,
Mądryki wyborne, konferek i rybki,
A matka nam była tak trochę coś chora,
I chciała dytetę zachować z wieczora,
I tylko się do nas na dyskurs przysiadła...
Lecz panna Terlecka coś także nie jadła.
A zatem sam jeden sprzątnąłem wieszczę;
Oddałem dobranoc i idę z alkierza,

A w sieni pan ojciec za rękę mnie bierze
 I mówi: „Jest jeszcze dla waści wieczerza!
 I mam też ja jeszcze pomówić coś z tobą.“
 I wciągnął do izby i zamknął ze sobą.

„Zdejm wasze mi kontusz i żupan, szat szkoda,
 Grzbietu nie, bo twardy, lecz rychło się poda.
 Nauczę ja mores! mosanie! Więc, ale
 Tak koniem na ojca najeżdzać zuchwale?
 Przed Bogiem i ojcem nie schylić już głowy?
 I w drogę się przybrać w strój drogi i nowy?
 Zapóźna pokora! stój mi tu, jak kolek!
 Czy nie wiesz to wasze, żeś chudy pacholek?
 Ba także i świętą wigilię naruszyć?
 To matce jest wolno, bo w wieku i chora,
 Lecz wasze chłop zdrowy, to możesz i suszyć.
 Wigilia, hultaju! wigilja! pokora!“

— A jaka wigilia? — spytałem niepewny.

„No proszę? a jutro Matki Boskiej Siewnej!

Kto kocha Maryą, pamięta wiliją,

A, ut sum sodalis za Maryą biją!“

Więc wyjął z kantorka źmiję monitora,

I wziął mnie za rękę i puścił mnie w kolej:

„Religia, hultaju! wigilia, pokora,

A drelich, a olej! a drelich, a olej!

A święte to ręce ojcowskie, co biją;

Znaj rękę ojcowską, a szanuj Maryją!

„Ja listy sam prześlę panu wojewodzie,

A waść do komórki o chlebie i wodzie,

Dość tój tam już służby i tego dworactwa,

A waściów pacholek (nie cierpię próżniactwa),

Więc z barwą książęcą tój chwili na kolek,

A świtem i boso do brony pacholek!“

I orznął mnie, sfukał i zamknął w komorze,
 Lecz słówkam nie pisnął, milczałem w pokorze.
 Nie wolno też było instancyi wnosić,
 Więc matka płakała i nie śmiała prosić.

Siedziałem zamknięty, jak w *turmie* za zbrodnie,
 O chlebie i wodzie przez cztery tygodnie.
 Aż w końcu i srogość złamała pokora,
 Bo nadniósł Bóg księdza proboszcza z wieczora.
 „Gdzie synał waszeciów, mój panie Tomaszu?“
 Zapytał ksiądz proboszcz: „a pokaż go przecie!
 Od dworskich starosty, w Gródku, na kiermaszu,
 Słyszałem ja o nim, że bywał po świecie;
 Mówili, że łebski ma szlachcie być z niego!“

Więc ojciec tak trochę niby rad był z tego,
 I kazał dać wina starego z kącika,
 A że się to działo *hora canonica*,
 Do tego, że afekt połączył ich wielki,
 Więc pono wypili ze cztery butelki.

In vino veritas. Więc ksiądz się rozczulił,
 I ojca jak brata do serca przytulił;
 Więc zwykła surowość i ojca odpadła,
 A matka się do nich z panienką przysiadła,
 I słówko po słówku, powoli, powoli —
 Od zwykłych dyskursów do tego co boli.

De misericordia divina ksiądz prawił,
 Jak Pan Bóg z lwięj paszczy Dawida wybawił,
 Kierując do rzeczy, *more* oratora;
 A kiedy upatrzył, że właśnie już pora,

Więc rzecze: „Ej bracie! krew twoja nie woda,
 To przebacz synowi! bo matki nam szkoda,
 I pozwól, niech nam się na chwilę pokaże,
 Gdy ludzie go chwala, niech rodzic nie karze!
 Wszak jam go chrzcil przecie, jak sami to znacie;
 Ot, młodość to płochość! przebacz panie bracie!“

A matka też także słoweczko wtrąciła:

„Więc pozwól jegomość, by złożył ukłony,
 Ukłony samego pana Radziwiłła,

I ma też i sygniet kosztownie sadzony,
 Co ksiązę go kazał doręczyć waszeci.“

„Dość tój tam już próśby! rzekł ojciec łaskawie,
 Wszakżem ja nie Heród i kocham swe dzieci,
 Bez próśby mu miałem przebaczyć dziś prawie;
 Więc jęmość powiadasz, więc, ale! tak... tego...
 Że ksiązę się kłania i dary przysyła?

Tak... tego... więc kłania (pogroza nie złego),
 Więc sygniet ma oddać? i od Radziwiłła?

Niech przyjdzie! więc przyjmę do łaski do mojej,
 Lecz niech mi się przecie poczciwie przystroi.“

Dom moich rodziców był dworek drewniany;
 Więc wszystko do joty slyszalem przez ściany.

„W czem chyba na wstępie, to trzeba poprawić,
 I jakbyś dziś przybył, przed ojcem się stawić,
 Tak matka radziła. — Więc strojnie i zbrojnie

Wjechałem z pachółkiem przez bramę spokojnie,
 A ojciec był w ganku, stanąłem na stronie,

Pacholek pod lipą zatrzymał też konie;
 Jam jął się za szablę i czapkęm zdjął z głowy,

I jakby w Nieświeżu w dziedziniec zamkowy

Z takową fantazyą stanąłem w te progi.
 I naprzód ścisnąłem rodzica za nogi,
 A potem i do nóg upadłem macierzy;
 A kiedy raz ojciec oczyma mnie mierzy,
 Łacińską perorą, skłoniwszy w kolana,
 Witałem na wstępie i księdza plebana.
 A potem do panny Terleckiej statecznie,
 Jak dworski kawaler, zwróciłem się grzecznie,
 I rzekłem subtelnym słów kilka nieśmiało,
 Jak wobec rodziców na syna przystało.

A potem już sygnet podałem ojcowi,
 I rzekłem poważnie: „Wojewoda książę,
 Którego braterski afekt zawsze wiąże
 Z braterstwem, a z szlachtą zawsze zgodne chęci,
 Poleca swe służby panu rodzicowi,
 I kazał się wiernie przypomnieć pamięci!”

Spojrząwszy na sygnet, sam ojciec się zdziwił,
 I nalał kielichy: „Niech żyje Radziwiłł!
 Poczciwe panisko! — pamiętam przed laty
 Na walnym... ba sejmie... no, nie pytaj daty!
 Rzuciwszy niebogę, ubóstwo i rolę,
 I ja też ruszyłem z rycerstwem pod Wolę.

„Jak zwykle Radziwiłł rej Litwie tam wodził,
 Więc Litwa też za nim, gdy ku nam podchodził,
 Niech żyje Radziwiłł! zawołał ktoś w kole,
 A jemu poczciwość świeciła na czole.

„Ja stałem na kraju, więc wziął mnie za szyję,
 I cisnął do serca: bracia niechaj żyje!

A kochasz? — zapyta — kochasz Radziwiłła?
 O, kocham! i szczerze tuliłem co siła;
 A książę zawołał: Korona niech żyje!
 A gdy się kochają bracia, to się stroją.
 A dajcież mi wina, niech zdrowie wypiję!“
 A dał mi swą czapkę, a wdział czapkę moją.

Ksiądz podał mi kielich, lecz ja pić nie śmiałem,
 A ojciec mi rzecze: „Pij waść sercem całem!
 I matka też na to nie zechce się skrzywić;
 Zdrowie Radziwiłła nie będziem certować,
 No, konie do stajni, pachotka pożywie!
 A teraz ci wolno rękę ucałować,
 I sprawić się ojcu z tój swojój podróży;
 Zobaczym, w coś urósł, boś widzę chłop duży.“

Prawilem więc zwolna, a wszystko z kolei,
 Krom onych miłostek i onych nadziei;
 A kiedym już przyszedł na dziada powtóre,
 Więc chwilę na ustęp, a potem trzos biorę
 I kładę z pokorą rodzicom pod nogi,
 I rzekłem do ojca: „Rodzicu mój drogi!
 O przebac! jeżeli niewinnie zgrzeszyłem,
 Żem zabił człowieka i złoto zdobyłem,
 A rozkaż przez łaskę, co robić z tem złotem?
 Czy dać na prowizyę, czy wziąć gdzie dzierżawę?“

„Nie cieszę się złotem, boś go ni zlał potem —
 Rzekł ojciec — nie cieszy to złoto, bo krwawe!
 Prowizya? dzierżawy? a co ci się dzieje?
 To oddaj na kościół, bo cudze nie grzeje,
 I ojca grosz jeszcze kapany i krwawy
 Wyciągnie za sobą. A dobrze że mamy

Tu księdza proboszcza, więc grosz ten oddamy;
 A niechaj przez łaskę odprawi wotywę
 Za twoje po świecie podróże szczęśliwe;
 A potem osobno daj na mszę żalobną
 Za dziada, co w puszczy od ręki legł twojej,
 A który przed sądem już bożym dziś stoi...“

.

Często książę facecye nawet komponował
 Lub na cudzy rachunek ze szlachty żartował,
 I kiedy już nie było co złożyć na kogo,
 Składał na króla Jana — bo wiedział, jak drogą
 Dla szlachty była pamięć króla bohatera,
 I że od króla Jana wszystko przyjąć musi.
 Tak mawiał!

„Różnie Pan Bóg to człowieka kusi!
 A wiedzą o tem w świecie nawet i kwestarze,
 Że Pan Bóg już najgorzej za złą gębę karze.
 Była mosanie przyjaźń trzech sąsiadów szczerą,
 O granicę siedzieli i tak się kochali,
 Że jak cały rok Boży ze sobą pijali;
 Z kolei szły te uczty — i przedział niewielki
 Był pomiędzy uctami — bo skoro w butelki
 Którykolwiek u siebie ściągnął beczkę wina,
 To zaraz do przyjaciół szła o to nowina,
 I zjeżdżali się znowu — a z sąsiednich dworów
 Przyjeżdżało pod wieczór dwóch dyspozytorów,
 I każdy jak u siebie z ganku dysponował —
 A gdy i podstarościch pan już ucęstował,
 Ci i owi wracali znowu do roboty,
 I nic w świecie nad przyjaźń i domowe cnoty!

Jednemu z nich Piotr było — i gdy podpił, kochał!
 Drugiemu było Paweł — a gdy w sercach polskich

Wino miłość wzbudziło — i ten i ów szlochał;
 Bo rozpamiętywali w dziejach apostoelskich
 Ową chwilę najświętszą, gdy w miłości bratniej
 Apostoła apostoła ścisnął raz ostatni....

A gdy się rozczulili — stał trzeci na stronie,
 Któremu Szczepan było i brał oczy w dłonie:
 „A jaże to ostatni? a jaż nie najszczerszy?
 A czy nie był mój patron męczennik najpierwszy?
 To mnież tylko bez serca żyć na ziemi polskiej?
 To mnież tylko miłości nie znać apostoelskiej?“

I wówczas jakiś robak w Szczepanie się budził,
 I wychodził na ganek i tak sobą nudził,
 Aż go gwałtem musieli napowrót sprowadzić
 I w kole apostoelskiem nanowo posadzić.
 Tu brał zwykle gospodarz spory puhar w dłonie,
 Piotr z Pawłem był po jednęj, a po drugiej stronie
 Wizerunek męczeństwa świętego Szczepana;
 I tu jeden przed drugim padał na kolana,
 I przeproszał i wypił i ścisnął i szlochał,
 I już każdy tak samo, jak Piotr Pawła kochał;
 A zawsze taki skutek, że się wiązał z tego
 Teologiczny traktat — „O początku złego.“
 Bo któż wszystkiemu winien?

Jużciż djabeł panie,

Bo takie i po świecie i w kościele zdanie:
 Gdyby djabeł najpierwszy nie był dumą zgrzeszył,
 I piekła by nie było — i człek by się cieszył,
 I równo z aniołami śpiewał: Święty! Święty!
 Lecz djabeł to najstarszy jest arystokrata,
 I kiedy w dumę urósł, zgubił resztę świata!
 A zład i człowiek grzeszny i Kain przeklęty,

Oj i nasza ztąd bieda poszła po kolei!
I gdyby człowiek nie miał na czyścju nadziei,
Toby zwątpił z kretešem!...

Tak zwykle mawiali,
Lecz raz Szczepan im poddał:

Czyż djabeł ze stali?
Ja szlachcie i katolik! djabła się nie boję!
A weźmy się do niego! już ja mu dostoję!

Czego szlachta nie zrobi, kiedy już uradzi
I tak na upartego koniecznie usadzi?

Był zameczek za dworem — więc dalej w zwaliska;
I kiedy się pan Szczepan rzucił w stare bziska,
Chwycił djabła na pasek świętego Franciszka!
Ale djabeł zuchwały i jeszcze mu bluźni,
Więc gospodarz powiada: Dalej z nim do kuźni!
Kuźnia była w dziedzińcu, więc wracają z chwałą,
I tak djabła mosanie trzech szlachty przysiadło,
Ze dwóch biło młotami co im siły stało,
A trzeci go nakładał ciągle na kowadło.

Ej moiści dobrodzieje! woła w końcu z paska,
Pofolgujcie mi trochę, jeśli wasza łaska!

Lecz Szczepan: „A znaj djable, jak to szlachta smaga,
Bijcie waszmość bez folgi, niech Bóg dopomaga!“
I bili aż się iskry sypały dokoła;
Wtem djabeł konającym głosem już zawoła:

„Ej wina choćby kroplę! bo kurcz bardzo srogi!
Wszak przecież i ja w herbie mam tam jakieś rogi?“

„Co w herbie?“ krzyknął Paweł i spojrział po młocie,
„A dajcież waszmość pokój wreszcie tój robocie!“
— Co wina? — zadziwiony gospodarz zapyta.
„Oj wina mi potrzeba, żebyś o tem wiedział!
Wina za basarunek — ot i będzie kwita!
A nie w zamku lecz w starłej psiarni będę siedział.“

Na to stanął gospodarz bardzo zagadnięty:
„Cóż się waszmościom zdaje, czy to nie wykręty?“
— Choćby nawet wykręty — pan Piotr odpowiada —
To jużciż kroplę wina podać mu wypada!
A zresztą kiedy prosi, to gościnność domu
Nie pozwala odmówić kieliszka nikomu.

Na to znowu gospodarz: „A słuszna uwaga,
Niech i djabeł wie o tem: złego ręka smaga!
Ale gościnność domu *habet sua jura!*
Nie puszczajcie go waszmość mi tylko ze sznura.“
I kazał podać wina i w kielich mu leje.
Lecz djabeł przy kieliszku ma także swą butę,
Więc powiada z urazą: „A cóż to się dzieje?
Żeś nie wypił, a dajesz? Czy wino zatrute?
Czym ja z listem tu przyszedł do pańskiego dworu?“

Więc pan Szczepan, by dłużej nie było już sporu,
Wypił wreszcie do djabła i otarł pot z czoła,
I niechęący obesła tak kolęj dokola.
Sam król Jan to powiedział i wierzyć mu można,
Że szlachta chociaż była jeszcze i pobożna,
A przecież z djabełem piła z jednego kielicha.

Więc gdy kolej obeszła, rzecze djabeł z cicha:
 „Cóż to mości Szczepanie? czy już z reszty kwita?
 A gdzieś to podział wino? a *bis repetita!*“
 „A i owszem — zawołał gospodarz wesoło —
 Takich mi gości trzeba! — I znowu wokóło
 Poszło z rączki do rączki — a djabeł powiada:
Omne trinum perfectum i pij do sąsiada!...
 Kielichy były spore — dobre było wino,
 Więc pokrzepił się djabeł i już z tęgą miną
 Powiada braciom szlachcie: „No, nie ma co mówić,
 Sprytnie wam się udało i djabła ułowić,
 Lecz czyż tego potrzeba? wszakże jak rok długi
 Jam zawsze moim panom gotów na usługi,
 A wy tak mnie skrzywdzili i we własnym domu.“
 Pan Szczepan zakrył sobie aż oczy od sromu.
 „Lecz nie taki zły djabeł, jak się ludziom widzi,
 I tylko potwarz ludzka tak mnie już ochydzi.“
 Otóż gdy na to fakta przytaczał dowodne,
 Stały w końcu *pacta* z djabełem przedugodne.

Pan Szczepan puścił z paska i wezwał do domu,
 A on przyrzekł o zajściu nie mówić nikomu.
 Przyszło do eksplikacyi:

Co my winni tobie?

Niedość że karczmy, młyny na posesyą bierzesz?
 Że gdzie tylko zameczek, wszędy siedziesz sobie?
 Że przepalasz pieniądze? starych skarbów strzeżesz?
 Lecz nadomiar jak tylko człek ruszy z zaścianku,
 A wypije lampeczkę, nie wróci bez szwanku.
 Ileż to dyszlów nocą pan Paweł nałamał?
 Ileś to razy zrzucił pana Piotra z mostu?

Alboż mnie ileś razy to djable okłamał?
 I nie wodził po błotach? tak że dziś poprostu
 Nikt z nas do domu swego dostać się nie może,
 I woli tu nocować, niż w błocie lub borze;
 Za co ty nam dokuczasz, djable, na Bóg żywy?
 Na co rzecze im djabeł:

Chcecie wiedzieć za co?

Nie za wasze uczynki — za pysk niegodziwy,
 Co więcej złego robi — za ten pysk ladaco!...
 I tu ksiązę generał zwykł jeszcze dokładać,
 Płacąc szlachcie facecyą za wszystkie przygryzki:
 „Djabłu to się sprzykrzyło, a mnie ma się nadać?
 Ej szczęki że to szczęki! pyski że to pyski!
 Jak rozumiem mosanie, Samson bardzo chybił,
 Bo gdyby był pochwycił miasto osłój szczęki,
 Taki pysk niepoczciwy do potężnej ręki,
 To byłby Filistynów nie tak jeszcze wybił!...“

Słowem wszystkie facecye księcia generała,
 Co wówczas cała Polska sobie powtarzała,
 Trudno byłoby spisać na wołowej skórze —
 Jednak gdy to w publice szło o rzeczy duże,
 Na stronę już zazwyczaj szły domowe żarty,
 Kiedy padło przed sejmem przetasować karty!

Z HISTORJI
SZEWCA JANA KILIŃSKIEGO,
Radnego miasta Warszawy.

Powstanie w stolicy w r. 1794.

Dobre były tamte czasy,
Gdy szewc nosił złote pasy!
Kto był czysty, miał prym wszędzie,
Kto pracował, miał do syta,
Człek uczciwy był w urzędzie,
Bo była rzeczpospolita!

Więc był radnym Jan w stolicy
I na miejskiej ławie siedział;
Zawsze wypił co w szklanicy,
A co w sercu, wypowiedział.

Lecz już złe się zaczynało,
Nie było się czem weselić;
Już się na to zabierało,
Że się mieli Polską dzielić.

Więc Kościuszko tam w Krakowie
Pał im frykę co się zowie!

A wnet szum się rozszedł wszędzie,
Że w Warszawie coś tu będzie.

Jak tu począć? Naród hardy!
Do zgryzienia Polak twardy,
Myślał Moskal — a więc pany,
Dygnitarze i hetmany
Umiał jakoś przekabacić,
By powoli lud wytracić.
Działo się mospanie tedy,
Że pan hetman w czasie, kiedy
Moskal czynność swą podwajał,
Wojsko nasze porozbrajał,
A z magnaty piwo warzył,
Co je ludzie wypić mieli;
Lecz inaczéj Pan Bóg zdarzył,
Bo je sami pić musieli.

Od Kościuszki przysły listy,
Że już z Moskwą rozpoczęli:
— Więc interes bardzo czysty;
Pora, abyśmy się wzięli —
Rzekł Kiliński. Ale rada
Coś i gada i nie gada.
„Ej mospanie! nie czas tehorzyć,
Kiedy naród się przebudzi,
Więc ojczyźnie można służyć
Za miłością dobrych ludzi.“
I nawarzył; lecz traf zdarzył,
Że go tajnie ktoś oskarżył;
Więc Ilgestrom, chcąc go zdławić,
Jak nie każe go przystawić,

Jak się stanie Moskał biesić,
I wymyślać, łupić srogo:
— A ja każę cię powiesić!
A ty szewcze kuternogo!
Co, ty będziesz bunty robić?
Ja cię każę złupić, obić!
Mów, czy prawda, że lud z tobą? —
— Prawda, panie, każdą doba;
A jeśli się chcesz dowiedzieć
Czy to prawda, każ powiedzieć,
Żeś mię kazał zamknąć panie —
A trzydzieści wnet tysięcy,
Albo może jeszcze więcej
Samych szewców za mną stanie! —

Widząc Moskał, że nic z groźby,
Że Kiliński mocno stoi —
Nuż na słówka, nuż na prośby,
Czy nie zmaca, nie podstroi?
Ale próżno się mozolił,
Kilińskiego nie zahaczyć,
Bo się umiał wytlómaczyć,
Więc go w końcu i wyzwolił;
Lecz go despekt ubódł srogo!
Więc rozmyślał idąc drogą.

Co się dzieje! aż sromota!
Lada psubrat lud znieważa;
Więc lud sobie to uważa,
Więc to wszystko na was mota.
— Ej Moskału! dam ja tobie!
Wszak szewc umie uszyć buty —

A więc bal wam sprawię suty! —
Rezolutnie mruknął sobie,
I nuż dalej po Warszawie
Krytym sztychem, między cechy,
Między jatki, między miechy,
Powziąć radę w trudnej sprawie.
— Każdy czuje, co go boli,
Nie ma mówić o czem wiele,
Ot niemiło żyć w niewoli —
Kto na czele? Lud na czele —
A z kim wasze? A z narodem!
To daj rękę! — Stoi? — Stoi!

Byle człowiek, a poczciwy,
Łatwo zniesie się z drugimi.
Więc Kiliński bójki cheiwy
Szyje między wojskowymi.
— Źle panowie — jedna rada;
Więc stanęła. Uradzili:
Bić koniecznie się wypada,
A więc będziemy, będziemy bili!
„Trzeba im się dać we znaki!
Co wróg, bij go, bij bez ale
I Prusaki, nie Prusaki,
I Moskale, nie Moskale.
Pod sekretem, a bez krzyku
Proszę do mnie dziś wieczorem,
Na Dunaju, do sklepiku,
Tylko każdy swoim dworem.“
Rzekł Kiliński — i wieczorem
Jaki taki w kabaciku

Czesze sobie swoim dworem
 Zatyłkami do sklepiku.
 „W Imię Trójcy, mospanowie!
 Ot krucyfiks i dwie świeće —
 A więc bajki życie, zdrowie,
 Proszę przysiądz na szablęcę.“

Więc przysięgli w Imię Boże,
 W Imię Trójcy, ręka w rękę,
 Niech wam Bóg tak dopomoże
 Przez niewinną Zbawcy mękę!
 Jak krew polska w żyłach płynie,
 Bój podniesiem niespodzianie!
 A kto w drodze się powinie,
 Temu jeszcze Polska stanie
 W gardle kością, w chlebie ością,
 W moście dziurą, w drodze górą,
 Świerszczem w uchu, szydłem w brzuchu,
 Pniem na drodze, cierniem w nodze,
 I piekielną solą w oku
 I śmiertelną kolką w boku....

Więc od świtu w Wielki Czwartek
 Rozpoczęto w Imię Boże!
 Od szlachtuza sunął Bartek,
 Poostrzywszy polskie noże.

Biją w dzwony do obrony,
 Rzną w Moskali niby w dzików;
 Na odmiany, w tarabany
 I w moskiewskich posłanników.

Za Kilińskim rezolutnie
 Psem się w oczy naród sadzi —
 A gdzie przyprze, kędy utnie,
 Gdzie popadnie, gdzie zawadzi,
 Jezus Marya nie pomoże,
 Nie pomoże święty Boże!
 Bij Moskala jak psa w worze!
 Niech nie ostrzy na lud noże.
 Czego szewcy nie dołożą,
 Krawcy między sobą skroją,
 Czego kowal nie dokuje,
 To już rzeźnik dożyłuje.

„Górá nasi! dalej przodem!
 Już i wojsko za narodem,
 Już za nami Marszałkowscy,
 I królewscy i Mirowscy.“
 Więc huk rozszedł się po rynkach:
 „Nuż rażnego po tybinkach!
 Dołoż smyka, udrzyj łyka!
 Niechaj długo się nie biedziem,
 On nas gnębił — my dojedziem!
 Kwita z byka za indyka.

Ptaszkiem on ztąd nie wyleci;
 Lecz gdzie przytniesz, nie puść płazem!
 Bij jak djabła w gęstej sieci,
 A licz raz za każdym razem.
 Co tam będzie? o tem potem,
 Wal jak cepem, grzmij jak młotem!
 Tylko gęsto, tylko rojem,
 Każdy pan na śmieciu swoim.“

Dobry piątek na początek,
 Więc też niezły i do końca —
 Huknął lud o wschodzie słońca,
 Więc do reszty! jak w kwinceza;
 Bo ten tylko, co przy sile
 Piszę pokój na mogile,
 Dobro kraju ubezpiecza.

Więc jak razem wyruszyli,
 Jak z kopyta się kopnęli,
 Co ubili, to ubili,
 A w niewolę resztę wzięli.

Więc Ilgestrom uszedł skrycie,
 Bo u tchórza długie życie.
 Ten bez ucha, ów bez ręki;
 Po ulicach lud się wodzi
 Z niewolnikiem — płacze, jęki!

„Nie to bratku, nie nie szkodzi —
 Nikt nie będzie się litował;
 Lud czyścowe cierpiął męki,
 A tyś ludu nie żałował!“

Więc jak lud się wziął siarczysto
 W Wielki Czwartek do roboty,
 Całe miasto do soboty,
 Jak Bóg kazał, wymiół czysto.

Wtem ni późno, ni to rano
 I Prusaków też ujrzano;
 Bo to zawsze w jedne strony
 Leczą kruki i gawrony.

„A ty Lutrze, a psia wiaro,
 A nie granicz z Polską starą!
 Więc twój Marcin Luter zdrajca
 Lubi w piątek mięso, jajca;
 Więc nie przyjmie go tu na noc,
 Zjé sto djabłów na Wielkanoc.“

I wygnali. — Orzeł buja
 Wśród kościoła — naród woła:
Resurrexit, sicut dixit,
Alleluja! Alleluja!



Z WITA STWOSZA.

Czy wy się kiedy spytali tam o to:
Kto te kościoły w ojczyźnie postawił,
I Boga ojców anielską prostotą
Najpierwszą pieśnią na ziemi wysławił?
Kto wam tę drogę ku niebu wyźłobił?
Kto was przez wieki w karności prowadził?
Kto wznosił chrzcielnice? ołtarze ozdobił?
I u Pańskiego stołu nas posadził?

Był to wiek łaski Pańskiej osobliwy,
Który namaszczał nieskalane skronie
Natchnieniem Bożem, jako źródło żywy,
Gdzie naród chodził po Pańskim zakonie;
Był czas, gdzie łaski swojej Pan nie szczędził,
Gdzie wielka miłość tak małuczkich zjęła,
Ze duch pokorny ku niebu wypędził,
I świadcząc Panu, wielkie czynił dzieła....

Dla woli, pracy, ducha i sumienia,
Przez imię Pańskie zapragnął skupienia,
I świat się skupił w powszechnym kościele,
I było dobra i miłości wiele!

Z góry szło światło, z góry namaszczenie,
 I łaska z góry od nieba do tronu;
 A od rzesz wiernych szło w niebo westchnienie:
 I świat się trzymał jednego zakonu.
 A jak do ula mknie z pożytkiem pszczoła,
 Tak się też garnął naród do kościoła:
 Wielki i mały przed Bogiem się korzył,
 I do budowy cegielkę dołożył.

I wszystko było po imieniu zwane
 Od cnoty Świętych począwszy do grzechu,
 I w Boże węzły wszystko zawiązane,
 Od prawa królów aż do bractwa cechu.
 Cała zasługa była tylko na tem,
 Co kto miał, dzierżyć! a czem był, tem zostać!
 I najzacieńszym wpośród swoich sprostać,
 I w karbach Bożych przejść jak pielgrzym światem.
 Przez imię Pańskie i w imię skupienia
 Pragnął na ziemi człowiek ślad położyć;
 I Pan Bóg dawał prorocze natchnienia
 I iskrę swoją — i człek zdawał tworzyć.
 Ale nie ze krwi, ani z ciała rodem,
 Lecz z ducha tylko brano te pochopy;
 Otóż Duch święty wznosił się nad narodem,
 I w las palmowy sklepiły się stropy.

Cech drobną czeladź garnął wielką matnią,
 Cech w Boże węzły wiązał miejską nędzę,
 I goił rany tą miłością bratnią,
 I wysnuł czystą z dusz pobożnych przędzę
 Na chwałę Pańską, jak kadzenia wonne...
 I wyszła piękność z pod mistrzowskiej ręki,
 Były rozkosze, lecz tylko zakonne.

Na chwałę Pańską dla świata nauki
 Wzniosły się gmachy, przemówiły sztuki:
 I co ogromne — to wielkie ubóstwem,
 A co pobożne — strojne ozdób mnóstwem;
 Boć w cichym duchu nad tą pracą radzi
 Grono cierpliwěj kunsztowněj czeladzi,
 Co twórczą piękność rozbiła na drzazgi,
 W cudny filigran, w anielskie drobiazgi,
 I dołożyła wszędy dzielnej ręki,
 Że się te prace, choć drobne i marne,
 Niby podarki wydają ofiarne;
 Bo wzory brane, jak z tkanki pajęczej,
 Z szeptu aniołków i z potopu tęczy,
 I cała dusza w każdej pracy leży,
 I świadczy Panu, i kocha, i wierzy;
 I w rozmiar drobne, choć małe — nie małe,
 Bo dzielne duchem — choć ciałem dziecinne,
 I choć samotne — przecież dziwnie całe,
 Po ludzku proste — anielsko-niewinne!

I kościół Boży, a to już świat cały,
 I człek w nim niknie, i tak dziwnie mały,
 Bo stanął niby pod palmowym lasem,
 Bo jednym Ducha świętego zapasem
 Wyszły filary wysmukłe i gonne,
 I na nich wsparły się sklepienia wonne,
 I stoją niemo i w ciszy proroczěj,
 A czem się więcėj serce ku nim sobi,
 Tem się też bardziėj oko ziemskie mroczy,
 Ale się widniėj za to w duszy robi;
 Boć to gwiazdami, jak na nocnem niebie,
 Nęcą tych sklepień błękity do siebie,

A co z miłości i z piękności znane,
 Tem ściany gmachu uroczo zasiane,
 Niby kobiercem ozdób i ozdóbek,
 I każdy ołtarz i okno się żarzy
 Więc barw tysiącem i tysiącem twarzy
 Postaci świętych, mistycznych osóbek.

Dobrzy ci byli, co dzierżyli w cechy
 Niesforną czeladź bogobojnie, karnie,
 Co się na bezwstyd dziś rozlała w grzechy,
 I trując duszę, sama ginie marnie —
 To na wędzidle wiek surowy chował:
 A ile można, ku Bogu kierował,
 A pracowicie i karno poczęte
 Przy łasce Boga bywało i święte.

„Więc umyśliłem uczynić świetlicę,
 A przed świetlicą postroić poddasze.
 „Ze chrztu i krzyża jest przymierze nasze,
 Więc na początek dając kropielnicę,
 By czyste miejsce bywało bez grzechu,
 Na chwałę Pańską i na sławę cechu.““

„Tak mistrz nakazał; więc wzięwszy początek,
 Zwolnam sposobił ów czysty zakątek,
 Gdzieby się gościom schadzać na osobne....
 I naprzód odrzwia czyniłem ozdobne,
 A ponad drzwiami Matkę a Dziewicę,
 A z prawej ręki dałem kropielnicę.

Z tych drzwi dopiero nad dziedzińcem naszym
Wzniosły się stropy komnaty z poddaszem.

„Okno komnaty było malowane,
Wyzór daleki i całe przyjemny,
I z czasem nadał się mur nieforemny,
Co od sąsiada czynił wielką ścianę:
Bom go rozebrał niby w żywe członki,
Na drobne łuki, w misterne koronki,
Że się to wszystko liściem przyodziło;
I gdy gość zaćny wyszedł na poddasze
I spojrział wkoło — iście się zdawało,
Jakbyś mu podał ze czcią wonną czasę!

„Nie było także pusto i w komnacie,
Bom był poczynił całe zdatne gracie!
Że im się nawet dziwowano w cechu,
Że gadka o nich biegła aż do dworu.

„Stół z węgierskiego ciosany orzechu,
Skrzynie od cedru, a ławy z jaworu;
I wielki komin był przy jednej ścianie,
A już przy drugiej uczciwe siedzenie;
I miał stan każdy tam stalle osobne
W wielkie klejnoty i hasła ozdobne.

„Że Bóg dał króla — więc dla jego chwały
Stał niby w środku tam tron okazały;
Boć jemu pierwsza w ojczyźnie poczciwość
I gadem legła u stóp mu zelżywość,
A ku ozdobie dwa lwy ją przysiadły,
By się nie dźwignął więcęj smok zajadły;

A przy lwach z prawej legła pańska sfora,
 Niby to żywa wierność i pokora;
 A przy lwach z lewej, od serdecznej strony,
 Z harfą Dawida zasiadał lutnista,
 Aby myśl pańska była taka czysta,
 Jako głos bywa psalmom podchwycony.

„Wyżej dopiero były wielkie godła,
 I niby hasła w poczciwej Koronie,
 Które krew dobra na tarczy wywiodła,
 Których król dobro obmyśla na tronie...
 A ponad czołem tych ziemskich miłości
 Świeciło oko Bożej opatrności...”

„Dał Bóg biskupa — toć też na cześć jemu
 Stolec biskupi stał tam po staremu;
 A ponad głową gładko urobiony
 Święty Stanisław, ów patron Korony,
 I król Bolesław kłękł za jedną stronę,
 Za drugą giermek z siewierską koroną,
 A drogi paliusz Jadwigi królowej
 Znaczył oparcie już powyżej głowy.

„Hetman — jak mówią — prawa ręka pana!
 Więc był tam stolec i na cześć hetmana.
 Z rycerstwa wielka jest ojczyzny sława,
 A przodek sławie trzyma tam buława.
 Więc prawy poręcz — to koń kulbaczony,
 A lewy — iscie taran do obrony!
 A wyżej nieco stał zóraw z sokołem,
 Bo ma iść czujność z tą bystrością społem.
 A że to jeszcze była pamięć świeża
 Grunwaldzkiej bitwy — wielkiego przymierza:

Więc co chorągwi na krzyżakach wziętych
 Po świętych grobach wisi tam zatkniętych,
 Wszystkiem pomieścił na wielkiem oparciu;
 A co klejnotów sławnych w onem starciu,
 Wszystkiem misternie z kolei wykował
 I pas tych herbów zdobyecz obramował.“

Nie jeden biskup — jest i kapituła!
 Z której w ojczyźnie wyrasta infuła,
 Więc uczynilem stałą kanoniczą,
 Bo wielki klejnot bracia tam dziedziczą!

Jako kapłaństwo w tym starym zakonie
 Na lud wybrany poszło po Aronie,
 Tak i tam przeszła po Aronie stuła,
 I trzy korony dzierży kapituła.
 Więc jako stoją wśród pańskiego sadu
 I Boga chwałą w rzeczypospolitej,
 Wziąłem je w wieniec misternie uwity
 Na poły z kłosów, na pół z winogradu.

„Dał Bóg rektora — jest tam *Alma mater*
 I hetman głównęj szkoły jak bohater,
 Dwa berła dzierży na rzeczpospolitę,
 Bo jedno dane — a drugie zdobyte!

„Z kościoła dana jest ta bojaźń Boża,
 I przed tem berłem zniżają się głowy;
 Drugie hetmani mądrości światowęj,
 Szafując światłem od morza do morza!
 Więc uczynilem berła skrzyżowane,
 Co strzegą wiernie staręj szkoły progu,

Aby świadczyły, co jest wyznawane :
 „„Cześć rozumowi, co nie zbluźnił Bogu!““

„Dał Bóg burmistrza — więc ku jego chwale
 I miejską ławę urobiłem wcale;
 Więc na oparciu trzy obronne wieże,
 Jak z Trójcy świętej początek się bierze,
 Bo sławią ludzie i nietylko doma
 O tym Krakowie — że to *wtóra Roma!*
 Toć jak klejnotem jest w starzej koronie,
 Tak święty pielgrzym klęczy w jego bronie.“

„Jest tam w Krakowie kościół Maryi Panny,
 Największy pono w rzeczypospolitej,
 Gwiazdy obsiały kościelne błękity,
 I z wieży hajnał o zorzy porannej
 Niesie tę wielką chwałę Matki Boskiej
 Na góry, lasy, na pola i wioski.

„W tym to kościele wielki ołtarz stoi,
 Tam to się modlą Bogu wszysecy moi...
 Jako monstrancya, albo ikoń święty,
 Na dzień powszedni ołtarz jest zamknięty;
 Lecz kiedy stanie na święto otwarty,
 Żywot Chrystusa od żłóbka do męki
 I żywot naszej Najświętszej Pani
 Odczytasz wszystek jakby z żywej karty.

„Moje to dzieło, jam ten ołtarz pisał,
 Jam przenajświętsze Dziecię ukołysał,

I jak się działo z Bożego przejrzenia
 Od świętej Lili do Lili uspienia,
 Wszystko tam wielkość Matki Bożej chwali,
 Wszystko ją wielbi, albo jej się żali.

„Długom się nosił w mem sercu z ciężarem,
 Błagając nieba, aby było darem,
 Czem się dom Pański miało przyozdobić.
 I lat dwanaście zbiegło, nim stanęło
 Z nowego zrębu ukończone dzieło,
 I nim tej chwili mogłem się już dobić,
 Aby odsłonić w kościele Maryackim,
 Co ledwo znane było w kole brackiem.

„Nadszedł nareszcie i dzień uroczysty,
 Gdzie przyszło odkryć ów ołtarz Maryacki;
 Dzień był szarawy i jak na to mglisty,
 Kiedym szedł rankiem do kaplicy brackiej.

A więc w żalości padłszy na kolana,
 O promień słońca błagałem ja Pana!

„Com w łasce twojej uczynił cierpliwie,
 „Oświeć twem światłem z niebieskiego dworu,
 „I w sercach ludzkich niech to Panie żywie,
 „Co ciebie wielbi z anielskiego choru!

„Tam się modliłem mych wnętrzości siłą.
 A gdym się ocknął, ludzi już nie było;
 Tylko lutnista klęczał przy mym boku
 I także widać modlił się gorąco,
 Bo kiedy powstał, miał jeszcze łzę w oku,
 A gdy mnie ujął, czułem rękę drżącą.

„Wstań i chodź! — rzekł mi — Pan wysłuchał ciobie,
 I dank mieć będziesz i słońce na niebie!
 I jam się radził tój harfy Dawida,
 I podśluchałem na świętój spowiedzi,
 Że się do chwały Pańskiej dzień ten przyda;
 Będziesz miał słońce — Bóg te mgły rozrzedzi.“

„I odprowadził mnie do mego domu,
 I rzekł po chwili: „Bracie, mistrzu, Wicie!
 Niechajże będzie, co się godzi komu:
 Dziś się ustrójcie w czarnym aksamicie,
 Bo wam nie mierzchnąć już w tym szarym tłoku;
 Niech chwała nasza nie ginie do końca...
 Więc krzywą szablę upnę wam do boku:
 Kto Maryę kocha, ten Maryi obrońca.“

„Ucałowałem więc rękę lutnisty.
 Jakoż nie bronił — bom go kochał wiele,
 I błogosławił — i stanąłem czysty.“

Wszystkie trzy bramy rozwarte w kościele...
 I mnogi naród roił się jak mrowie,
 Co tylko żywe, wyległo w Krakowie...
 Gdy się lud zgarnął, a starszyzna siadła.
 Skinąłem ręką, i zasłona padła.

.

„Spojrzę na ołtarz — a on szaro-bury!!
 I praca moja wydała się marną,
 I w duszy bardzo zrobiło się czarno....“

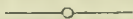
„Wtem wyszło słońce nagle z poza chmury,
 I niby piorun, jary promień strzelił,
 I chwałą Pańską dom się uweselił!
 Bo niby cudem, jednym niby miotem,
 Wyszły kolory na pokładzie złotem,
 I miłościwe stanęły postacie:
 I co czerwone — spłonęło w szkarłacie,
 A co niebieskie — błękitem przejrzystym,
 Co żółte było — bije złotem czystem!
 Seledyn — perłą, złoto — blaskiem słońca!
 I jak w żywota księdze miłościwe,
 Wszystko a wszystko było duchem żywe,
 Od stóp ołtarza do samego krońca!

„I mnoga rzesza wielkim głosem jękała,
 I przed ołtarzem całym duchem klękała,
 I poświęciła go ręka kapłańska...
 I rzekł mi Berdysz: „,,Owo łaska Pańska!““

„I rzekli sobie i wieley i mali:
 „,,Wielki dar Boży! szczęśliwa to głowa!

„Snać Pan to serce w lasce swojej chowa!“
 „I kraju mojej szaty dotykali.

„Więc wśród narodu po zakonie-m chadzał,
 Na Bożą wolę całą pracę-m składał,
 I z wybranymi tylkom się naradzał,
 Z czystymi tylkom po za stołem siadał.
 I uwierzyłem, że pójdę tym torem,
 Że mi się życie złoży gdyby wianek;
 Że będzie wieczór taki, jak był ranek;
 Że przejdę w pracy poważnie i śmieie,
 Jak zwykł przechodzić dzień w Bożym kościele,
 Poczęty jutrznią, skończony nieszporem....“



Z MOHORTA.

.
Zwolna wstąpiłem do izby ponuręj,
Którą z nad pułki kaganek oświecał,
A od tej pułki wisiały trzy sznury,
Które jak lonty był ktoś porozniecał.
Dymek błękitny płonącego włókna
Wąskim się pasem po izbie rozścielił,
W wielkim kominie płomień czasem strzelił
I zbiegł wężykiem po szybach od okna.
A izba była pusta jak stodoła,
Prócz kołków w ścianie, prócz ławy i stoła
I prócz proporca, nie więcej nie było.

Przetarłem oczy, bom nie wierzył sobie,
I rozumiałem, że mi się przyśniło
Jakieś widziadło, niby w nocnej dobie:
Jak gdyby z grobu powstał hetman który,
Taki mnie widok ugodził potężny,
Taki mąż siedział przedemną orężny,
Sędziwy, dzielny, groźny i ponury.
Na koźle z drzewa uciosanym siedział
Niby na koniu — a choć sobie drzymał,
Czuwał jak żóraw i o sobie wiedział,
Bo śpiąc, pistolet w prawej ręce trzymał.

Biały włos lekko osrebrzał mu głowę,
 A rysy były tak pięknie surowe,
 Że więcej prawie podobien zdaleka
 Był do posągu, niżli do człowieka:
 Był to pan Mohort.

A gdy przed nim stałem,
 Gdy mu od ojca listy oddać miałem,
 Patrząc na niego, dopiero pojałem,
 Dlaczego ojciec mówił: „Czołem! czołem!
 I nie zapomnij waść w gębie języka,
 Gdy przyjdzie witać pana porucznika!“
 Bo był to jeszcze wojownik z pod znaku
 I wielki strażnik hetmańskiego szlaku,
 Czujny jak żóraw, całe życie zbrojny,
 Jako lew dzielny, jak posąg spokojny.

Długo myślałem, co robić wypada:
 Zbudzić? nie budzić? — trudna była rada;
 Stoję i czekam — kaganiec się mroczy,
 Wtem brzęknął pałasz od przeciwniej strony,
 A pan porucznik rozwarł zwolna oczy:
 „Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!“
 — Na wieki wieków! — z cicha odpowiada,
 I z kozła swego niby z konia zsiada,
 A potem trochę kagańca poprawił,
 A potem rzucił na mnie wzrok surowy
 I zmierzył ostro od stóp aż do głowy,
 I pytał krótko — a gdym mu się sprawił,
 Rzekł, wysłuchawszy z uwagą wszystkiego:
 „Jak się dzień robi, to i list wyczytam,
 A teraz syna pana Antoniego
 Jako krew bratnią z pocziwością witam!

Dziś już zapóźno i jestem na służbie,
 Lecz jutro waści na kresach podrużbię;
 Już tu niejeden pierwsze żołdy czynił,
 Więc po staremu będę gospodynił...“

Poszedł ku pulce, kędy stał kaganek,
 Do owych sznurów za zegar służących,
 Policzył węzły na knotkach płonących
 I rzekł: „Nie zaraz jeszcze będzie ranek!
 Wracaj do koni, boś zdrożony może,
 A jak zatrąbią na poranne zorze,
 Czekam tu waści — potem krzyknął — służba!“
 Starszy towarzysz, człowiek już niemłody,
 Wstąpił do izby. „No przybył nam družba!
 Dacie mu nocleg, a koniom wygody“ —
 Rzekł pan porucznik i zlecił nas Bogu,
 I przeprowadził oczyma do progu.

Kiedy oświetłem — dopiero ujrzałem,
 Żem był w okopie, który zamykała
 Brama na piętro otoczona wałem.
 Była to sobie taka twierdza mała
 Nad brzegiem Dniepru; okop był sklepiony,
 W nim stały konie, na bramie strażnicy,
 Nad bramą obraz był Bogarodzicy,
 A pod nim napis: „Pod twoje obrony.“

Ledwom się trochę ogarnął z noclegu
 I ledwom sprzątnął po sobie me łoże,
 Przybył towarzysz, że czas do szeregu,
 Bo już zatrąbią na poranne zorze.

„Baczność!“ i Mohort stanął przed szeregiem;
W górze nad bramą był ganeczek mały,
Z niego się trąby po rosie ozwały,
I głos ich skończył za dniewym brzegiem.

Hajnał krakowski odgrali trębacze,
Który od wieków co zorzy porannej
Z Maryackiej wieży po nad Polską płacze
Czystymi łzami Przenajświętszej Panny;
A potem męskie podniosły się głosy
I pieśń pobożną wysłano w niebiosy.

Jak nie zapomnę nigdy pierwszej bitwy,
Tak nie zapomną tej pierwszej modlitwy,
Bo cudny urok miał ten śpiew poranny
Polskich rycerzy do Najświętszej Panny,
Który po wiekach i po bojowiskach
Od pokolenia starzej Polski płynął,
I tu dopiero w dniewych urwiskach
Na krańcach Polski w Ukrainie ginął!

.

Kiedyśmy stada objeżdżali wkoło,
 Zawolał ku nam pan Mohort wesolo:
 „No, tu jest arkan, więc panowie młodzi,
 Kto chce mieć konia, niechaj arkan rzuci
 I weźmie konia, co w tabunie chodzi,
 I niech na objad do nas na nim wróci!“

Więc jaki taki w rzemiośle nieznanem
 Próbował szczęścia i rzucał arkanem,
 Ale daremnie.

„Hej! hej! szczęście nasze,
 Że dziś z Tatarem nie wojuje Laszę.“ —
 Zawolał w końcu, gdy spłoszone konie
 Już się poczęły rozbiegać po stronie;
 Lecz gdy po chwili rozsypane z rzadka
 Stały znowu — rzekł: „Oto jest matka!
 Ta klacz wilczata, co tutaj na przedzie,
 I ona wiecznie całe stado wiezie;
 Dziś by zginęła wzięta z tego stada,
 I żadna matka tak już nie przepada
 Za swoim dzieckiem, jak za końmi ona,
 I jako lwica, tak nieustraszona.
 To postrach wilków, i chociaż już starca,
 Utlucze wilków więcej od Kafarka....

A tu ta druga z małą strzałką, gniada,
 To już ostatki Wiśniowieckich stada,
 Krew arcypanńska! tego rodu koni
 Łapać na arkan ni ujeżdżać trzeba,
 Bo same z młodu przychodzą do dłoni;
 Gdy ich chcesz użyć, podaj z solą chleba,
 Ogłaszcz, oklepaj i załóż wędzidło,
 Siądź i jedź światem, byleby nie zrywać.
 U każdej nogi u nich orle skrzydło,
 Lecz się tych skrzydeł nie godzi używać,
 Chyba już tylko w potrzebie ostatniej,
 Kiedy ma wyrwać ze śmiertelnej matni;
 U mnie jak dzieci na ręku się rodzą
 I za człowiekiem niewiązane chodzą.
 Oto jej córka, zwie się Korybutka,
 Jak na rzut oka niby trochę krótka,
 Ale jak nie ma krótkiego pałasza,
 Bo jeśli krótki, to pomknij się bliżej,
 Tak kiedy trzeba, ni dłużej, ni lżej
 Sumak nie skoczy, jak ta perła nasza.
 Przed kilku laty zginęła ze stada,
 A po trzech latach sama wraca rada,
 Lecz sądzisz księżę, że do koni może?
 Nie! mnie starego szuka na futorze,
 I rzy, i lata, że aż ziemia dudni.
 Poznałem rzenie, wychodzę z namiotu,
 A ona do mnie, i aż drży od lotu;
 Więc ogłaskałem i wziąłem do studni.
 Ktoś jej dopiero jedną okuł nogę,
 Więc rozkuć zaraz kazałem niebogę;
 A potem sobie przed namiotem legła,
 Jakby się sama obcej ręki strzegła.

A to Giżycka, co chodzi po stronie,
 Jacy Giżycecy, takie ich i konie,
 Czem starsze — tęższe, a pewne po  maku,
 Ztąd nie ma r wnych do stepu i szlaku.

A to juŹ s lwny jest r d sahajdaczny,
 Biały jak mleko, ale sk ra czarna,
 Hardy i twardy, i zrazu opaczny;
 Ale jak r ka uchodzi go karna,
 Całemu wojsku za przedni  str ż stoi;
 Ktoby uciekał na nim, nie ujedzie;
 Lecz si  nie l ka ni ognia, ni zbroi,
 I kto naciera, ten b dzie na przedzie;
 Daleko widzi i słyzy na mił ,
 A dalej jeszcze wietrzy i przeczuwa;
 Nigdy nie legnie, chyba przy mogile,
 I inni khusem, gdy on st pem suwa;
 K dy raz przejdzie, nie zmyli juŹ drogi,
 Sam na sam hardy, lecz przyjaciel duszny,
 I jako r ka człeku jest posłuszny,
 Kiedy juŹ przyjdzie do okazji srogi j.
 Wtem spytał ksi ż : „A to co za hetki?“
 Gdy troje koni myszatyh pomkn ło.
 Na to rzekł Mohort: „To inwentarz letki,
 Ot i sam nie wiem, zk d si  w stadzie wzi ło.“

Odk d ma dusza koŹskiej maci rada,
 Zawsze si  myszka przybije do stada
 I jakaś niby napaśc oczywista!
 Nie lubi  myszki, bo maśc narowista,
 Ale ksi dz rektor myszki tylko chowa,
 Bo grubo-płaskie — wi c i trudna rada.

Dawnim odganiał tę hanbę od stada
 Lecz teraz trudno powiedzieć i słowa:
 Gdy klasztorowi myszka tak na czasie,
 To niechaj sobie i ta sierś się pasie.
 A jeśli gorszy księcia to myszate,
 Jakże się wyda izabelowate,
 Co tam spokojnie po stronie się wlecze?
 Cóż mości księżę o tej klaczy rzecze?
 To moja Iskra, „Kahorlicka córa“,
 Z stada Tarnowskich, z bachmatów hetmańskich,
 Nie sierś lecz jedwab, pargamin nie skóra,
 Zdatna do harców tylko areypańskich.
 Ktoby chciał wiedzieć, jaka enota w rodzie,
 Niech jęj użyje w rycerskiej przygodzie;
 Dopóki młode, ma to krowie nogi,
 Podobne osłu, coś później do muła;
 Rok siódmy, ósmy dodaje ostrogi
 I więz i oko, i zagra krew czuła;
 A gdy chrzęst broni i trąbkę usłyszy,
 Rozdziera nozdrza i aż drży, aż dyszy.
 I czuć wyraźnie aż w sercu przez siodło,
 Kto tój krwi panem i co w bój go wiodło.

Po Izabelee, nie ma już w tem stadzie
 Jak ta tu z grubą hreczką, co na zadzie,
 To ród sułtański dalekiego wschodu,
 Gdzie struś w pustyni gniazdo swoje kładzie;
 Więc orle piórko nie wychodzi z rodu.
 Wielkie na koniu Bóg położył znaki,
 Jednak i wichur bywa nie jednaki;
 Poniżej oczu podły wichur wszelki,
 Powyżej oka wielkiego przymiotu,

Bo rozum znaczy — na szyi znak lotu,
 A już na piersi znak odwagi wielkiej;
 I koń o jednym wichrze to już dobry,
 O dwóch, ma narów — ale znowu taki,
 Coby miał razem trzy niebieskie znaki,
 To już i mądry i lotny i chrobry;
 I wielką łaskę ma u Pana Boga
 Komu do boju padnie na nim droga,
 Bo nie da dotknąć jeźdźca; gdy na przedzie,
 Wszystkich wybiega; gdy wyciągnie szyję,
 Nie ma co rąbać, bo piersią rozbije;
 A jak wnijsć umiał, tak samo wywiedzie.
 Niedarmo w świecie to pustynia słynie:
 Póki w ojeżyźnie jeszcze nie zaginie
 Koń do pęciny od łba żyłkowany,
 Póty i rycerz będzie jeszcze znany.

Ten brudny kasztan, co tam jeden chodzi,
 To syn sultański, a koń pod hetmana,
 Trzy orle piórka i tam gdzie się godzi,
 I biała nóżka do tego sudanna,
 Więc nie lepszego!“

I krzyknął: „Arkana!!...“

To koń dla księcia, bo to wichrów czoło!“
 Skoczyli ludzie — czyhają wokół,
 Wzrok się zapalił panu Mohortowi,
 Zabrawszy arkan, podjechał znienacka,
 I jak pierścionek tak go rzucił z gracka;
 A gdy padł prosto na szyję koniowi,
 Kiedy koń ruszył, Mohort arkan ima,
 Wziął go o kulę, pod nogę, i trzyma!
 I jęła ziemia, i przypadli ludzie,
 A w mgnieniu oka i koń się powalił,

Że się z nas każdy nad nim aż uzalił;
Ale tabuńczyk po niedługim trudzie
Już go okiełznał i tak się uwiął,
Że siadł na niego i z oczu mu zginął.

Długo pan Mohort patrzył za nim w pola,
I rzekł nareszcie: „I to Boża wola,
I pójdzie ręką, gdy się tak prowadzi,
Bo poszedł równo, a jak strzała sady.“

A gdy wysoko księżę ten dar ważył,
Taki był kontent, że już dnia owego
Nietylko starszych lecz i z nas każdego
Koniem ze stada swojego obdarzył.

.

Jest w Boryszkowcach staw i grobla długa,
 Grobla szeroka i niby bezpieczna,
 Poniżej grobli płynie w bagnach struga,
 A na nięj stoi mogiła odwieczna.

Tam do przyszłego przyszło więc spotkania,
 Bo nieprzyjaciel szedł krok w krok za nami,
 A parł na korpus trzema kolumnami...
 Z rzadka już strzały padały od rania,
 I pan Kościuszko przednią straż prowadził,
 I był się znacznie przodem już odsadził;
 Głównym korpusem sam książę dowodził,
 A w tylnej straży komendę generał
 Wielhorski miał — i zlekka odpierał
 Nieprzyjaciela, który na nią godził.

Marsz trwał dzień cały; pod wieczór się miało,
 I boryszkowską groblę wypadało
 Przebyć przed nocą, most za sobą spalić,
 I przez marsz nocny znacznie się oddalić
 Od nieprzyjaciół — jakoż po dwa razy
 Przysyłał książę z takimi rozkazy.

Rzecz była dobrze z góry obmyślana,
 Bo staw z błotami i z tą groblą długa
 Oddzielał korpus nieprzebytą smugą...
 A most nie stanie aż nazajutrz zrana,

I nieprzyjaciel przez most się przeprawi,
 Nim się po takiej przeprawie znów zładzi,
 To i niemały czas w miejscu zabawi,
 A nasz się korpus tymczasem odsadzi;
 Bitwy nie chciano jak nad Bugiem stoczyć.

Gdyśmy na groblę weszli boryszkowską,
 Już się zdawało, że z pomocą boską
 Ujdziem szczęśliwie — poczęło się mroczyć...
 Śpieszno nam było, więc trochę w nieładzie
 Zbite szeregi jęły w bród się tłoczyć;
 Jenerał przeszedł po moście na czele,
 A Mohort jechał ostatni na zadzie
 I wołał: „Stępo!!!“ tak silnie i karno,
 Że każdy słyszał, chociaż było gwarno.

Wtem straszny łomot i tysięczne głosy
 Wojennęj trwogi wzbily się w niebiosy.
 Co tam?!

Na przedzie most się nagle zwałił,
 A nieprzyjaciel tójże samęj chwili,
 Gdyśmy się z trwogą na groblę wtłoczyli,
 Z tyłu w kolumnę ze trzech dział wypalił;
 I na trzech liniach czysto jak po miotle,
 A koło mostu zawrzało jak w kotle,
 Z ludzi i koni niby kra się sparła.
 Gdy się most zwałił, sam upust już wody
 Nie mógł dotrzymać — i groblę wydarła,
 I woda buchła nagle rzeką całą,
 I wszystko w strony od strzałów pierzchało,
 I wplaw do stawu, i z grobli na błota,
 A i ranionych było już bez liku.

Po trupie Mohort przedarł się na siłę,
 I do rotmistrza, który jeszcze w szyku
 Swych ludzi trzymał, rzekł: „A to sromota!
 Hej! Ostaszewski za mną na mogiłę!“
 I jak duch bitwy stanął na mogile,
 I powiódł wkoło oczyma przez chwilę,
 I krzyknął: „Baczość! równaj się szóstkami!“
 W połowie grobli ta mogiła stała...
 I gdy komenda z jej wierzchu zagrzmiała,
 Każdy rozumiał, że pójdziem na działa,
 I już przerzadło na grobli przed nami.

„Ja pójdę naprzód i pierwszy się rzucę,
 Ty stój w odwodzie! jeżeli nie wrócę,
 Zaraz w też pędy idź z drugim oddziałem“ —
 Rzekł do rotmistrza, i z kopyta cwałem
 Ruszył, krzyknawszy jeszcze dla zachęty:
 „I jedna wiara, mówi Paweł święty!“

Z dział uderzono — i w szarym obłoku
 I wódz i oddział zginął nagle z oku;
 Czekamy chwilę... koń Mohorta wraca...
 A Ostaszewski: „Teraz na nas praca!
 Marsz!“ i już cały drugi zastęp w locie.

Wpadamy — patrzym, a działa w odwrocie,
 I kanoniery leżą już pod koniem;
 Więc za działami jeszcze chwilkę gonim,
 A potem stajem, kędy stały działa,
 I noc zapadła — i skończona sprawa.
 Równy z działami cichła zwolna wrzawa,
 A z błot i z wody wiara się ściągała.

Koło północy stanął już most nowy;
I kto na grobli nie położył głowy,
Szedł za drugimi.

Wtem rozruch na przedzie
I głos podają: „Książę! książę jedzie!“
Książę z raportu już o wszystkim wiedział,
Że Mohort zginął; a na placu bitwy
Jest Ostaszewski i pagórka strzeże,
Gdzie działa stały — rzekł: „Szkoda mój Litwy!
I jakże zginął?“

„Jak giną rycerze!“ —
Rzekł Ostaszewski — „jak dąb się powalił,
Ale nas wszystkich swym zgonem ocalił!“

A książę na to: „Ha, nie czas żalować,
Lecz jak rycerza trzeba go pochować.“
I kazał szukać pomiędzy trupami
Pana Mohorta.

Gdy go znaleziono,
Nieśli go groblą towarzysze sami,
I na mogile ogień nałożono;
Książę na ziemię rzucił płaszcz ze siebie
I kazał na nim złożyć towarzysza,
I była długa i poważna cisza....

Nikt nie rzekł słowa przy całym pogrzebie;
Aż gdy grób cały w końcu był zasuty,
Rzekł książę tylko do obecnych tyle:
„Żył z szablą w ręku, niech leży w mogile!“

A towarzysze przyklękli na grobie
I pieśń żalosną zanucili sobie,
Którą po uczcie zwykle Mohort śpiewał,
Dziękując z serca, gdy podjętym bywał:

„Czas do domu, czas,
Zabawili nas!“

Z POEMATU
STRYJANKA. *)

— * —
O BĄCZALSKIM

DYGNITARZU RZECZYPOSPOLITEJ BABIŃSKIEJ.

... Był Stanisław Bączalski — dobry szlachcic (item),
Miał zameczek w Bączali w gnieździe rodowitem;
Wziął krew zącą po ojcu, z matki cnotę wyssał:
Pieczętował Gozdawą — cześnikiem się pisał...
A zresztą dobry humor, fantazya i zdanie
I koncept i piosneczka jak na zawołanie:
Że podeszły już laty i że nie miał żony,
Nie zagrzał w domu miejsca; lecz w gościnie wiecznej
Na skrzypeczkach wygrywał, aż się rwały strony...
I kochany od wszystkich i wszystkim serdeczny!

Co Bączalski, to pono do korda nietęgi!
I jeden tylko z rodu nosił się w kirysie;
Ale w rozum wierzyli, i w przyjaźń i w księgi,
I jeśli nie uczeni — bywali trefnisie.

*) Stryjanka był to rodzaj staropolskiego tańca. Taniec ten wpływa na rozwiązanie powieści o rodzinie Bączalskich.

Spokojna też świeciła nad tym dworem gwiazda!
 Jak bociany trzymali się swojego gniazda:
 Nieznane tu fortuny, ni losu igrzysko —
 Nikt nie wyniósł się bardzo, nikt nie upadł nisko,
 I żaden z tych Bączalskich ani się wzbogacił,
 Ani piędzi po ojcu ziemi nie utracił.
 W wielkiej żyli miłości między sąsiadami,
 Zwykli byli się żenić tylko z sierotami —
 I to w wieku podeszłym, choć pono nie temu
 Oddawna się rodzili tylko po jednemu...

Przed wiekami, jak słyhać, bywał to ród liczny,
 A i bardzo pokrewny i bardzo dziedziczny;
 Ale któraś tam z babek wyrzekła niebacznie,
 Gdy jej wnuki w modlitwie bardzo dokuczyli:
 „Bogdaj się po jednemu tacy już rodzili!...”

I do roku ubyło dzieci bardzo znacznie.
 A gdy wszystkie przeżyła i dzieci i wnuki,
 Ostatniemu z Bączalskich rzekła dla nauki:
 „Jeśli Pan Bóg w swój łasce sądy ma odmienić —
 To z ubogą sierotą wam się tylko żenić:
 Bo sierota uprosi znowu łaskę Boga,
 Wyplacze i wymodli może jeszcze syna,
 I zachowa się jeszcze choć w jednym rodzina —
 I może choć jednemu Bóg pobłogosławi,
 Jeśli święty Stanisław za nami się wstawi,
 A co swoja zgrzeszyła — to obca poprawi...”

Jako rzekła, tak odtąd działo się w tym domu:
 Ot i sprawa rodziny nie tajna nikomu
 Chodziła między szlachtą — i znano tam o tem,
 Że domowi po babee poszło już poszpotem....

Jakoż, gdy brać poczeli sieroty ubogie,
 W pokoleniu zerwane to co szczęście daje —
 Bo zerwane krwi związki i relacye mnogie,
 Ot i w końcu dom cały jak sierota staje;
 Bo jeden tylko zawsze posuwa ród dalej
 I na jednej już tylko siedzieli Bączali.
 To też szlachta mawiała: że to dom sierocy,
 Lecz że święty Stanisław trzymał go w swęj mocy!
 Choć ojciec nigdy syna sam już nie odchowaw,
 (Bo żenili się zwykle na piątym krzyżyku),
 Ale zawsze ze Stasiem pozostaje wdowa,
 I zawsze cześnikowicz w rodzie po cześniku:
 W gnieździe ojców od wieków, na zamku w Bączali
 I rodzili się wszyscy — wszyscy umierali...

W wielkiej izbie stołowej wisiały portrety
 Wszystkich panów Bączalskich; więc jak bywa w świecie,
 Każdego nieboszczyka wady i zalety
 Żyły w podaniach domu przy każdym portrecie:

Najstarszy portret babki, co rzekła w złej chwili:
 „Bogdaj się po jednemu tacy już rodzili...“
 Wisiał pod krucyfiksem, naprost drzwi wchodowych;
 Różańcem obie ręce złożone opłotła,
 Habit miała zakonny, a z oczu surowych
 Wyglądała ta groźba, co cały dom gniołka!...
 Gdy kto w domu ma umrzeć, zdawna uważano,
 Że oblicze prababki zawsze poczernieje,
 A gdy zwolna bielalo — to już naprzód znano,
 Że szczęśliwsze dla domu idą tam koleje...

Obok portretu babki (miły na wejrzeniu)
 Był portret jedynaka, co go wszyscy swoi

Odumarli gromadą — więc tylko krzyż stoi,
 A on przed krucyfiksem, nieletnie pacholę,
 Klęczy w stroju żałobnym, w duszy utrapieniu,
 I zdaje się sierota już na Bożą wolę...
 Znać przebłagał modlitwą wraz z babką niebiosy —
 Bo się w synie odrodził już na lepsze losy.

Pan koniuszy, syn jego, już w delji wspaniałej
 Patrzył pięknie ze ściany, wesoly i śmiały,
 W twarzy jego żaloby nie widać, ni troski,
 Bo się wybrał w ojczyźnie na wiek zygmunowski!
 I zbracił z panem Pszonką i sercem i celem;
 A że to ten sam Pszonka był założycielem
 Republiki Babińskiej — w zamian sobie dali
 Obaj swoje portrety i oba w Bączali,
 I oba obok siebie wisieli w Babinie,
 I po dziś dzień ich przyjaźń między szlachtą sływie...
 I od owych to czasów pono zwyczaj taki:
 Że Bączalscy, sieroty, w rodzie jedynaki —
 Gdy nie było w Bączali cieszyć serca komu,
 Wesolego zazwyczaj trzymali się domu;
 Więc na figle mądrości i żarty wyprawni,
 Bywali i wymowni i trefnisie sławni,
 I każdy miał i koncept, fantazyę i zdanie,
 Więc i wierszyk i piosnkę miał na zawołanie.
 A że dowcip Bączalskich nie był jadowity
 I nigdy dobrej sławie już szwanku nie zadał —
 Więc do onęj Babińskiej rzeczypospolitęj
 Dziwnie się panu Pszonce pan Bączalski nadał!

Gdzie Bączala? gdzie Babin? lecz nic nie pomoże!
 I czy najlepsza sanna, czy straszne rozdroże,

Pan Bączalski o dobro republiki czuły
 Zjeżdża na dzień sejmiku i na kapituly,
 I na sądy babińskie, strojny i opięty:
 „Ne quod haec respublica capiat detrimenti!“

Babin, jako wiadomo, leży przy Lublinie,
 Kędy się kotłowały trybunalskie sprawy;
 Więc pan sędzia lubelski, dziedzie na Babinie,
 Że był człowiek dowcipny i mądry i prawy,
 Ruszył w Polsce podówczas już konceptem takim,
 Że jak Platon sam sobie republikę stworzył
 I na własną ją rękę w Babinie założył. —
 Ale w tój republice szło wszystko opakiem,
 Bo naprawdę chodziło panu Pszonce o to,
 Aby w koronie polskiej stała bracia cnotą;
 A więc Satyr Babiński manifesty swemi
 Otwierał ludziom oczy naprzód w swojej ziemi,
 A gdy dalej szły światem te uniwersały,
 O Babinie wiedziała szlachta w Polsce całej,
 I król wiedział i senat — a ten, co poblądził,
 Z dokumentów babińskich sam siebie osądził:
 Bo ledwo że ktoś skrewił za okazyą lada,
 Sąd na niego i wyrok w Babinie zapada,
 I burgrabia babiński patent mu posyła
 Pod pieczęcią kanclerza do dom impetenti:
 „Ne quid sprawa babińska capiat detrimenti!“
 A w nadaniu godności ta reguła była:

Kto krzywy wydał wyrok i krzywdę wyrządził:
 Temu urząd sędziego w Babinie się sądził,
 I za nim po kadencyi wyjechał z Lublina,
 Jest na godność wyniesion patentem z Babina!

Kto krzywem wpoprzek świata puścił się przymierzem
 I do pióra niezdatny — dorazu kanclerzem!
 Kto skrewił idąc w pole za rycerskim stanem:
 Ten odrazu w Babinie obran jest hetmanem!
 Kto rozrzutny — ten godność odbierał skarbnika,
 Kto ni kropli nie pijał — miał urząd cześnika!
 Kto na list nie odpisał — zostawał pisarzem,
 Więc jałmużnik ze skąpca, łgarz referendarzem;
 Więc domator jest posłem, mileczek oratorem!
 A gdy wszystkie urzęda poszły w świat tym torem
 I nie było w koronie całej dygnitarza,
 Coby nie był otrzymał w Babinie godności:
 W końcu sprawa publiczna na Babin się zważa;
 Więc i wieley i mali, i krzywi i prości
 Mierzyli sprawy swoje babińskim wyrokiem:
 Bo nie żarty niesława w tym kraju szerokim!
 Gdzie każdy tylko stoi dobrą wolą braci,
 I gdzie żartem surowo kraj za sprawy płaci!...

Niejeden, co na ławie poselskiej zasiadał,
 I w krześle senatora albo w trybunale,
 I w samym toku rzeczy sprawy nie wybadał,
 Albo przy swoim zdaniu obstawał zuchwale,
 Dopiero wówczas ujrzał, jak bardzo pobłądził,
 Jak się uniósł niebacznie i jak upadł nisko —
 Kiedy senat babiński tę sprawę osądził
 I rzeczypospolitęj dał na pośmiewisko!

Bo pan sędzia lubelski był człek bardzo bystry,
 rozumem przenosił rady i ministry;
 A gdy z mądrą się bracią połączył w Babinie,
 To w ciągu trzech pokoleń Babin jego słynie!

A sprawa żartobliwa, choć w rzeczy niepusta,
 Doszła w końcu do tronu Zygmunta Augusta,
 I zapytał król Pszonkę:

„Któż tam u was królem?”

A Pszonka w serdeczności odpowiedział na to:

„Kiedy Polsce nastąpiło miłościwe lato,
 To i my się pod berło tój miłości tulem,
 I jak w całej koronie, tak w Babinie wierzem,
 Że pókaż nam królujesz, króla nie obierzem!”

Na to król się uśmiechnął, i z łaską nielada,
 Wpół poważnie, wpół żartem sędziemu powiada:
 „A jakże mi królować pod tym waszym znakiem?
 Kiedy pono w Babinie idzie rzecz opakiem?”

Na to Pszonka się mądrze obejrzał wokoło,
 A potem do stóp króla zeznawał wesóło:
 „O nasz królu i panie! W Polsce taka sprawa,
 Że nikt z prawem nie idzie, lecz każdy do prawa!
 Póki w Polsce majestat, więc i cnotę cenią,
 Póty nawet w Babinie statutów nie zmieniają;
 A więc króluj szczęśliwie! do wieka jak ninie
 I w Litwie! i w Koronie! i w naszym Babinie!”

Jak z portretu już widać, bywał dobrej tuszy
 Pan Stanisław Bączalski, babiński koniuszy:
 Bo jedynak u matki nie miał krzywdy z młodu,
 A i matka bywała już takiego rodu;
 Więc że przeszedł pod księdzem w Bączali nauki,
 To mu też obce były i rycerskie sztuki,
 I jak żywy, na koniu nigdy nie był siedział,
 I zaledwo od biedy o tem jeszcze wiedział,
 Jak szablę po szlachecku na sobie przewiesić,
 Albo kołpak na głowę po rycersku wmiesić.

Więc trzymał tęgich ludzi, a konie nieduże,
 I na niziutkim wózku odbywał podróże;
 Ale hajduk na koniu był zawsze na przedzie;
 I kiedy do Babina przed ganek zajedzie,
 To pan Pszonka zazwyczaj na ganek wypada
 I zdziwienie babińskiej braci opowiada:
 „Myślałem, że ktoś sałmi jeździ nam po lecie,
 A to nasz pan Stanisław jedzie wózkiem przecie!“

Parę lat już ubiegło jak bywał w Babinie,
 Już niejeden żart jego był przyprawił śmiechu,
 Już niejedna piosneczka w całej Polsce słynie
 I od dworu do dworu idzie po kielichu;
 Jednak mimo zasługi i bratniej miłości,
 Nie był jeszcze otrzymał w Babinie godności!

Raz tedy rzekł pan Pszonka po dobrem śniadaniu:
 „Wyprowadzić mi konia twardego na staniu!
 Obaczymy przy koniu panowie junaki —
 Kto się najlżej wyniesie na koń bez kulbaki?
 I chodzili o lepsze junakowie z rodu:
 I ten wyniósł się z tyłu, a ten skoczył z przodu,
 Ten z pomocą, a drugi bez pomocy grzywy,
 Słowem wielkie robiono i cuda i dziwy!

Patrząc na to, Bączalski już się był zasapał,
 Bo na koniu jak żywy nigdy on nie siedział,
 Jak przystąpić do konia — i o tem nie wiedział;
 Więc za grzywę rękoma tak się mocno złapał,
 Że o ziemię zaledwo konia nie obalił,
 A potem dawszy susa, pod koń się powalił —
 A pan Pszonka zawołał kontent z całej duszy:
 „Niech nam żyje Bączalski! babiński koniuszy!“

A gdy przyszło malować obudwu portrety,
 Że i herby dawano na wspak do zalety:
 Więc pan Pszonka wziął osła, co miał wielkie uszy,
 Choć miał z rodu Janinę — a już pan koniuszy
 Dostał konia na tarczę, i tak malowany
 Obok Pszonki wesoło spoglądał ze ściany....

Kiedy oba nareszcie zeszli z tego świata,
 Republika babińska szła dalej swym torem:
 Bo po ojcach nanowo syn z synem się brata,
 I obadwa znów poszli za tatusiów wzorem.

Pan Stanisław koniuszyc ledwie lat dorasta —
 A już wielki dygnitarz owęj republiki,
 Jak we własnym swym domu, w Babinie się szasta,
 I o lepsze aż z Rejem chodzi na wierszyki!
 Sam ułożył kabałę (na kości) do składu
 I razem z wizerunkiem drukiem ją rozstawił...
 Lecz sam jeden nie zasiadł nigdy do objadu,
 A że życie wesołe prześpiewał, przebawił —
 Więc w portrecie i w książce jednako udany;
 Na bandurce grający fantazny Polaczek,
 Przed nim kości i karty, na głowie kołpaczek;
 Patrzył w izbie stołowej wesoło ze ściany.
 Że nie grzeszył kieliszkiem, a śmieszył językiem,
 Ztąd został pan koniuszyc babińskim cześnikiem!

Nie wiem, na czem babińska republika siadła,
 Bo już dalsza tradycya bez śladu przepadła...
 I na zamku bączalskim nie nie słyhać o niej.
 A choć jabłko nie pada zdala od jabłoni,

Już portrety w stołowej izbie zawieszono
Z onych wieków rycerskich, z czasów króla Jana,
Były jawnem świadectwem, jako zaszła zmiana,
Bo jedynak cześnika był już w inną stronę.

Po nad wielkim kominem z czarnego marmuru
Wisiał portret wspaniały króla-bohatera:
Jako Turków tratując, do Wiednia dociera.
Po prawej Jabłonowski stał z wielką buławą,
Po lewej wisiał rotmistrz, co się okrył sławą
Na wyprawie wiedeńskiej pod królewskim znakiem
I porządnie się w bitwie i rycersko sprawił,
I zasłynął szeroko po kraju szerokim,
A na końcu ów zamek w Bączali postawił.

Jakoż tylko on jeden w rodzie się odstrychnął,
Bo raz tylko za młodu zadrwił nieszczęśliwie,
A potem całe życie już się nie uśmiechnął,
Lecz rycersko się nosił i bardzo sędziwie.

Z POEMATU
HETMAŃSKIE PACHOLE. *)



ZEGAR.



Pośrodku stołu bardzo okazały
Stał zegar rzymski roboty mistrzowskiej,
W drobne koronki wydziergany cały,
A wiary świętej wizerunek wierny;
Bo całe dzieje starego zakonu
I całe dzieje zakonu nowego
Przędły się kołem z kołowrotu tego
Koleją godzin, a za głosem dzwonu.

Tarczę dźrzyły złote lwy i ptaki,
Dzielna na godzin dwadzieścia i cztery,
Była opięta niebieskimi znaki
I opisana w tajne charaktery.
Pośrodku tarczy miłościwie stała
Królowa niebios bez zmazy poczęta;
Bo w dopełnieniu czasów niebios chwiała,
A w jej obliczu każda doba święta.

*) Poeta opowiada przygody pacholęcia, wychowanego na dworze hetmana w. kor. Jana Tarnowskiego.

Więc i godzina, której panowanie
 Kiedy dochodzi, przed Królową stanie,
 I znak zwierzyńca, co z kolei władnie,
 U stóp Królowej w wiernej służbie padnie.

W obłoku złotym była niebios brama,
 Co się w znak dzwonu otwierała sama —
 I z tej to bramy idą dzieje one,
 Co w dopełnieniu czasów są spełnione.

Więc, gdy jest biwszy jeden na zegarze,
 Anioł z tej bramy puszcza pierwsze strażę:
 I w żywe oczy patryarchów dzieje
 I pędzą trzody skotarze, Hebreje,
 I praszczur ludu, on Abraham stary,
 Gdy pierwsza doba domierza już miary,
 Z wszystkim taborem w ziemi obiecanej
 Przed oblicznością tej Królowej staje,
 I Matee Bożej od wicków przejrzanej
 Z bydłem i z ludem wielki pokłon daje.
 A Melchizedek, z którego kapłaństwo
 W zakonie poszło na ochrzczonej wiare,
 Chlebem i winem wprowadza na państwo
 I pierwszą czyni bezkrwawą ofiarę....

Więc kiedy druga bije na zegarze,
 To anioł niebios puszcza drugie strażę;
 I ciągnie Izaak, co był duchem karny,
 Bo dan był z młodu na on stos ofiarny;
 Więc, gdy się z synem przed Maryą stawia,
 To pokoleniu jego błogosławi;
 Poczem z Jakóblem na kolana pada
 I Pani niebios wielki pokłon składa.

Więc kiedy trzecia bije na zegarze,
 To anioł niebios puszcza trzecie strażę,
 I ciągną trzody, idą białogłowy
 Zaczepnąć wody z studni Jakóbowej;
 I idzie Jakób, patryarcha dzietny,
 Wielki przed Panem sprzymierzeniec Pański,
 A za nim kroczy synów poczet świetny,
 Z których dwunastu poszedł lud hetmański;
 A kiedy wszyscy przed Maryą stają,
 To wielki pokłon Pani niebios dają.

Więc kiedy czwarta bije na zegarze,
 To anioł niebios puszcza czwarte strażę:
 I kroczy Mojżesz, co to Panu gwoli,
 Cudem lud wywiódł z egipskiej niewoli,
 I bracia Judy czoło opuklerza,
 I niosą arkę starego przymierza.
 A niby woda lud wybrany płynie
 Do obiecanej ziemi przez pustynie;
 Lecz gdy w obliczu Pani niebios staje,
 To Mojżesz łaską, Aron kadzielnią
 Królowej nieba wielki pokłon daje
 I mir się korzy przed Bogarodzą.

Więc co godzinę po lasce Mojżesza
 Idą proroki, których sam Pan wskrzesza,
 Bo wolę jego głosili po stule,
 By się lud baczył i baczyli króle,
 By słowo Pańskie nie poszło na nice,
 A lud wybrany na służbę w stworzeniu,
 W rękę proroków, w czasów dopełnieniu
 Przed wieki daną ziścił obietnicę.

Więc szli z kolei do niebios przysłani
 Sędziowie ludu i arcykapłani,
 I Boże raby, widzące proroki,
 Zwiastując przyjście Zbawiciela Pana,
 Prostując ścieżki i prowadząc kroki,
 By się spełniła obietnica dana
 Przez usta Pańskie po upadku człeka,
 W lilii Jessego przejrzanęj od wieka....

I jedenastą gdy już dzwon uderza,
 Kończą się dzieje starego przymierza :
 W połowie czasów gwiazda światu wstępuje
 I chwała Panu bądź na wysokościach,
 Bo słowo ciałem — bo nam się Bóg rodzi,
 A chór aniołów i ludkowie prosi,
 I wół i osieł święcą dzień wesela
 I na świat wszystkim głoszą Zbawiciela.

Kiedym raz pierwszy tę szopkę zobaczył,
 To tak mię mocno ten żłobek ucieszył,
 Żem aż śmiać błagać (gdybym tem nie zgrzeszył),
 Żeby ksiądz Mentor pozwolić mi raczył
 Uściskać stopy Dzieciny najświętszej,
 W onęj miłości sercu najgorętszej.

Jakoż zezwolił na to bez urazy.
 I Boży żłobek przeszedł kołowrotem
 I dzwon uderzył po dwanaście razy,
 A Mentor uczył liczyć mnie za młotem.

W połowie doby na całym zegarze
 Ustał anioł, a niebieskie strażę

Wziął po aniele u bramy Jan Chrzciciel
I do chrztu przykląkł w Jordanie Zbawiciel.

A gdy trzynasta biwszy jest godzina,
To apostołów pochód się poczyna:
I naprzód idzie drogą Chrystusową
Piotr, co jest skałą i widomą głową,
Jako w kościele klucze nieba trzyma;
Wyższego nadeń na ziemi już nie ma.
Za nim dopiero w ślad ewangeliści,
Bożego słowa szafarzowie czyści:
A więc Jan z orłem, a Mateusz z wołem,
Marek z lwem w skrzydła, a Łukasz z aniołem.

Więc też z kolei bila siedemnasta
I poczt wybranych co godzina wzrasta:
I idzie reszta uczniów Pana Chrysta,
I wiara święta w narodach się szerzy,
I za krzyż Pański płynie krew przeczysta,
I są ochrzczone i świat mocno wierzy.

I osiemnasta bije na zegarze
I idą Chrysta wybrani na straże:
I z różnych krain i z różnych języków
Poczt purpurowych ciągnie męczenników,
I patrzy w niebo bez skargi i trwogi,
A srodzy kaci i dzikie zwierzęta
Stają w połowie Chrystusowój drogi,
I w ziarno wiary krew się zmienia święta.

I dziewiętnasta bije na zegarze
I w ślad Jan Chrzciciel nowe puszcza straże:

Ciągnie sług Bożych i wyznawców grono,
 Idą z kolei Pańscy pracownicy
 I spracowani na Pańskiej winnicy,
 Których Pan służby nagroził koroną.
 W ślad męczenników poczt się wiernych kupi:
 I idą wielec patroni, biskupi,
 Co szli w narody z Bożego przejrzenia,
 Niosąc i światło i moc utwierdzenia.

I na zegarze bije już dwudziesta
 I nowem światłem świeci niebios cesta:
 Święta Helena niesie krzyż na przedzie
 I poczt wybranych niewiast z sobą wiedzie;
 Orszak wpół śnieżny, a wpół purpurowy,
 Przczyste panny i przeświète wdowy
 Idą w ślad wielki pierwszych apostołów,
 Drogą Chrystusa pod strażą aniołów;
 I gdy w światłości przed Maryą stają,
 To wielki pokłon gwiazdzie morza dają.

I na zegarze dwudziesta i pierwsza,
 I w dzikich puszczach Pan Bóg cuda czyni
 I ciągnie bracia w pokucie najszczersza:
 Z góry Karmelu i z wielkiej pustyni
 Idą przy bestyach święci pustelnicy,
 Dojrzałe grona z tej Pańskiej winnicy,
 Jaką Zbawiciel szczepił ponad drogą,
 Po której niegdyś przeszedł świętą nogą.

I na zegarze dwudziesta i druga,
 I ciągnie wiara od miecza i pługa
 W krzyżowe drogi i przez krajów wiela
 Do ziemi świętêj tłumnie i potężno,

Aby grób zdobyć Pana Zbawiciela
 I z mocą pogan łamać się orężno.
 A za rycerstwem w ślad onych zagonów
 Ciągną z pokorą apostołskie męże,
 Założyciele świątyń i zakonów,
 Na krzyż i rydel zmieniając oręża.

I jest dwudziesta i trzecia na czasie,
 I stają dzieje Boże w pełnej krasie,
 I kroczą z wielką powagą dokoła
 W Bożej mądrości ojcowie kościoła.

I bije w końcu dwudziesta i czwarta,
 I brama niebios przez chwilę otwarta,
 Bo nowa doba, to i łaska nowa,
 I wolno stoi droga Chrystusowa.
 I naprzód długo sam kołowrot waresy,
 Aż znów widzenia łaskawie się jawią,
 I po kolei idą po tej tarczy,
 I po bok siebie na tarczy się stawiają.

Więc patryarchy wybranego ludu,
 Więc i proroki zwiastunowie cudu,
 I sędzie stare i męża hetmańskie,
 I apostoły, Chrysta wysłannicy,
 I w imię Chrysta święci męczennicy;
 Więc i wyznawcy, jako sługi Pańskie,
 Więc i oddane niebu białogłowy,
 Przewyższone panny i przeświète wdowy,
 Zakonodawcy i krzyża rycerze
 Stają tu społem do wielkiego koła,
 W wielkiej nadziei miłości i wierze
 A poczt zamknęli ojcowie kościoła.

W niebieskiej bramie i u jasnej góry
Stają aniołów nieprzejrzane chóry,
I jasność świeci już wielkiemu oku,
Bo Trójca Święta staje na obłoku,
I Bóg w wielkości swojej niepojęty
I Pan Zastępów : Święty! Święty! Święty!

W JASSYRZE.

W joppejskim porcie siadłem na galarę,
Co się jak delfin wdzięcznie w morzu pławi,
Grek był sternikiem i kłął się na wiarę,
Że do Wenecyi dobrze mię odstawi.

Radzili wprowadzie księza w ziemi świętj,
Aby na greckie nie siadać okręty,
Bo się rozbojem w morzach bawić lubią
I najgodniejsze ludzie nieraz gubią.
Lecz że i w Joppie niebardzo bezpiecznie
Było galarów od Wenecye czekać,
Więc zaufałem Grekowi statecznie
I dłużej jazdy nie chciałem odwlekać.

Gdyśmy od brzegu odbili, wyliczyć
Kazał mi sternik za przewóz; więc z trzosa
Dobylem złota, i Grek począł dziczyć
I patrzył na mnie już odtąd z ukosa.
Aż trzecięj nocy, gdy mijamy skały,
Pomknął się ku nam jakiś statek mały,
Jeden i drugi, u tych skał ukryty,
I nagle światło na galarze zgasło
I małe statki dały jakieś hasło,
I nagle stanął okręt gdyby wryty.

Pytam sternika: „co to wszystko znaczy?“
 A on mi mówi, że nie ujdziem lupu,
 Bo to w zbójcekiej osiedliśmy saczy,
 Więc się wypadnie uciec do okupu.
 Jakoż szczęście statków już koło nas staje,
 Więc i łakami pirat nas zagrabi,
 A potem ognia z gęstej strzelby daje
 I wbrew na okręt rwą się jacyś drabi.

Krótki kord miałem pod chałatem zawdy,
 Więc gdym uwierzył, że to gwałt doprawdy,
 Tom się i dobrze ku tym drabom zwrócił
 I ciąłem kordem, gdzie było najgęściej,
 I w mgnieniu oka tak mi Bóg poszczęści,
 Żem po mój stronie wszystkich w morze rzucił.
 Więc w drugą stronę rwę się ku odsieczy;
 Ale sam sternik z tyłu na mnie wpada
 I cięciem w głowę tak bardzo kaleczy,
 Żem padł na ziemię i pojął, że zdrada;
 Krew mię oblała i straciłem zmysły,
 Grek ze zbójami miał znać związek ścisły.
 Kiedym znów przyszedł coś trochę do siebie,
 Piekło mię strasznie na głowie to cięcie;
 Nagi leżałem na innym okręcie,
 I nie wiem który? lecz dzień był na niebie.
 Jakiś mi Turczyn podał trochę wody
 I dźwignął trochę i owinął rany,
 I rzekł, że mogę wyjść z tego bez szkody
 I że ran moich będzie sam pilnował,
 Bo mu zostałem w jassyr zaprzędany,
 Więc dla okupu rad mię będzie chował.
 Nie chciałem pytać, co się ze mną działo?
 Lecz skatowane do krwi miałem ciało

I byłem cały, od karku do pięty,
 Obiezowany i srodze pocięty.
 Turczyn czas jakiś wodą mnie polęwał,
 Więc i siności i rany obmywał,
 A gdy od bólów aż owisła głowa,
 Stał mi w myśli z panem pacierz pierwszy:
 „Jeśli nie dzwigniesz dziś Bożego słowa,
 Jakże krzyż dzwigniesz?“ Więc w skrusze najszczerzej,
 Biorąc jassyru wielki krzyż na siebie,
 Do Boga mego westchnąłem na niebie.
 I nigdy w sercu mojem nie wyrzekał,
 Ale krzyż niosąc, w Bogu-m tylko czekał
 Śmierci lub łaski mego wybawienia!
 Turczyn znać poznał z mojego wejrzenia,
 Żem z Bogiem mówił, i z modlitwy mojej
 Rad był widocznie: „Bo prędzej się goi
 U bohomolnych rana, żeby jaka,“
 Tak mi z litością ów Turczyn powiadał,
 Co niejednego leczył już Polaka,
 Bo był lekarzem i balsam mi zadał.

Są tam na Wschodzie cudowne balsamy,
 Jakich w ojczyźnie naszej ani znamy,
 I jest dla rannych jakiś dziwny trunek,
 Który po kroplach niewielu się daje,
 A ranny zaśpi i ból i frasunek,
 I po śnie każdym pokrzepiony staje.

Jakoż codziennie czulem się na ciełe,
 Ba i na duszy i calszy i krzepszy;
 Lekarz mi dawał jeść tylko daktyle,
 I wdziałem chalat, bo już byłem lepszy.

Dni nie liczyłem i nie wiem jak długo
 Byłem na morzu, bo wolną żegluga
 Szliśmy bez wiatru, i przespałem prawie
 Całą tę drogę pod masztem na nawie.

Lekarz, jak mówił, był Bułgarem z rodu,
 Co się od swoich odbił był za młodu,
 I sturczył pono, czy może nie sturczył,
 Ale od biedy i wieku się skurczył
 I nie miał czego wracać do ojczyzny.
 To się też tulał w greckim ostrowisku
 I po okrętach goił zbójom blizny,
 I tak to jemu dostałem się w zysku
 I ciężko ranny i srodze pocięty,
 Bo mnie wyprosił dla siebie od noża,
 Gdy w swoją drogę szły dalej okręty,
 Gdy mnie już miano wyrzucać do morza.

Gdyśmy przybyli do wyspy skalistej,
 Rzekł do mnie lekarz: „Jam człowiek ubogi,
 Więc cię tu sprzedać muszę bracie drogi.
 To wyspa Patmos, dom ewangelisty,
 Jeden tu tylko Turczyn rządu trzyma,
 Co wyspy strzeże i zbiera haracze,
 Sprawiedliwszego człowieka już nie ma
 I nikt na jego sądy nie zapłaci.
 Zresztą na wyspie żyją tylko Grecy,
 A i łotrowie od wyspy dalecy,
 Bo pan ma zamek i trzyma okręty,
 A ktoby zbijał, bywa tutaj ścięty.
 Dobrze tu przy nim będzie tobie bawić,
 Więc i o okup można się rozprawić,

Bo mu opowiem, żeś miał trzos ze złotem,
 Co go od ciebie łupem wzięli Greki
 I trzymasz ziemię w ojczyźnie dalekiej,
 To i w jassyrze lepiej będzie potem.“
 Jakoż dał jeszcze z balsamem puszcзки
 I w bramie zamku sprzedał mnie na słowo,
 I pan mi szatę kazał podać nową,
 I byłem jeńcem na tój wyspie greckiej.

Zdrowe powietrze wiało po ostrowie;
 Jakoż z dniem każdym wracało mi zdrowie
 I pan miał względy na te rany moje,
 I miałem folgę aż się już wygoję.

Ospa się była na tę wyspę wkradła
 I do tygodnia wszystka dziatwa padła,
 I lament wielki stał się i u Turka,
 Bo jakoś nocą zachorzała córka,
 Najmilsza sercu, co miała trzy lecie,
 Więc rzekłem panu: „Ja uzdrowię dziecię.“
 A jako stryj mię był nauczył z młodu,
 Lekarz krakowski wielkiego zawodu,
 Tak wszystkom czynił już od pierwszej chwili,
 Gdy mi to piękne dziecię powierzyli.
 Więc się i ospa wysypała ślicznie,
 I Turczyn czynił Panu Bogu śluby;
 I pilnowałem dziecka tak odlicznie,
 Że po chorobie ani jednej dzioby
 Nie pozostało już na całym cielem;
 I miałem odtąd w domu łaski wiele,
 Bo i pan ze czcią przy sobie mnie sadzi,
 A w ważnych razach to się nawet radzi.

Skoro po roku jakoś pomiarkował,
 Żem na rycerza w ojezynie się chował,
 To niewolników, a i ludzi zbrojnych
 Dał pod mą wolę, a żem praw był rzeczy,
 To czasów takich nie znano spokojnych,
 Jak one były, gdym miał wyspę w pieczy.

Dawniej tam miasto bywało nad morzem;
 Lecz gdy wzbijanie bardzo w morzach wzrosło,
 To się powoli na górę przeniosło,
 Bo ludzie drżeli przed zbójcekim nożem.

Jednak gdym zbójcom stał się bardzo srogi,
 (Bo w jednym roku wybiłem do nogi
 Cztery najazdy, popaliwszy statki),
 To aż po brzegu pasaly się kozy,
 A dzieci w morzu kąpały znów matki,
 A Grek i Morlach uchodził od grozy
 Onego brzegu i strzegł się rozboju,
 żyła wyspa w pracy i w pokoju!

Pan mój miał w porcie trzy własne galary;
 Więc gdy w lat kilka spróbował mój wiary,
 Chciał, abym chodził z okręty za kupią,
 To mu i okręt nie tak łącno złupią,
 A w rzeczy samęj nikomu nie wierzył
 Jako mnie, bowiem ludzi-m dobrze dzierzył
 I szcędził grosza, w sercu niełakomy,
 Mając świat wszystek za bardzo znikomy.

Jedwabiem kupezyć? — pomyślałem sobie —
 Na co mi tego! na straży stać wolę

I być bezbronnym z obroną na dobie,
Jak na hetmańskie przystało pacholę!

Więc próżno Turczyn na to mię nawodzi,
Nie pójdę w morza, bo mi morze szkodzi!
Lecz jeśli mienia potrzeba przysporzyć,
To się potrafię po rycersku złożyć
I będę czynił rzemieniem i bronią,
Bom ci praw temu i znam się na rzędzie,
A i na broni, za którą tu gonią,
Otóż coś złota i za to przybędzie.

Bardzo mój Turczyn był rad słowu temu,
Więc się do rzeczy wziąłem po swojemu:
Były sposobne i na wyspie Greki,
Innych ściągnąłem aż z Smirny dalekiej,
Jednych złotników, a drugich płatnerzy,
Innych, co chodzą około rzemienia,
I ledwo oczom mój Turczyn uwierzy,
Boć to stanęło wszystko od skinienia!

Na wyspę Patmos przybył pod tę porę
On Bułgar stary, lekarz mój poczeiwy,
A więc do służby bez bawy go biore,
Znając, że w sercu bywał mi życzliwy.

Zbójowie w morzach taki zwyczaj mają,
Że kiedy złupią jaką drogą zbroję,
Klejnot i złoto odrą jako swoje,
A rzecz cenniejszą precz na marność dają.

Znałem ja o tem, i szable odarte
Kazałem ściągać starcowi onemu;

A gdym oprawić je dał po swojemu
 I obszyć znova, więcej były warte
 Od samych nawet szabel emirowych,
 Bo kupowano je za łupy lackie,
 Droższe od wszelkich, w tych oprawach nowych,
 Taki lustr miały i ujęcie grackie!

A cóż dopiero gdym postroił rzędy?
 To po bazarach dziwiono się wszędy,
 I w targu pierwszy za nie basza chwyta —
 I kto obaczy, to już je i trzyma,
 I każdy z wielkiem zadziwieniem pyta:
 „Na wyspie Patmos pono koni nie ma,
 Więc zkąd się biorą tam dziś takie sprawy?“
 I wyspa Patmos szła w morzach do sławy!

Cicha pociecha przejmowała serce,
 Bo Bóg tę wyspę na morskie kobierce
 Rzucił dla ducha na przybytek czysty;
 Był to dom Boży, dom ewangelisty.

W połowie skały, gdzie się miasto wznosi,
 Greczyn pielgrzymów do pieczary prosi,
 Gdzie miewał Boże Jan święty widzenia
 I spisał one „księgi objawienia!“
 Od prześladowań jeszcze Domicyana
 Jest ta pieczara w sercu wiernych znana:
 Widok z niej wielki i czysty na morze
 I nic ziemskiego nie widać dokoła,
 I z głębi skały szczelina się porze,
 Z której do duszy od trąby anioła
 Szło wielkie niegdyś prorocze wołanie,
 Jakie Jan spisał w czasów dopełnieniu

I które w sądzie ostatecznym stanie,
Gdy się prorocтво dopełni w stworzeniu.

W Apokalipsy onęj to pieczarze
W święta tureckie trzymałem ja strażę;
A gdy śród pogan nikt Maryi nie chwali,
Ja ją chwaliłem w te święta pogańskie
I w tęg pieczarze brałem łaski Pańskie
I duch był równy do tureckięj stali!
I nie przykrzyłem w tym jassyrze sobie,
Lecz stałem twardo w onęj lackięj wierze,
Że Bóg z ratunkiem przybędzie na dobie,
Lub mnie do siebie w swęj łasce zabierze.

Nie umiem zeznać, jakim miał pociechy,
Że Bóg jassyrem dotknął mnie za grzechy,
O i za żadne skarby tego świata
Dziśbym nie oddał tęg niewoli lata,
Bo znam po szkole i hetmańskim rządzie,
Jako tam będzie w ostatecznym sądzie,
Gdy przed Chrystusem człowiek nago stanie
Na onęj trąby straszliwe wołanie,
Co to wołała niegdy w tęg pieczarze
I gdy Bóg duszy na sąd stanąć każe....

I Turcy dają tam świadectwo swoje,
Że Jan był prorok i przed Bogiem czysty,
I ciała zmarłych mają tam pokoje
W onęj pieczarze dla ewangelisty.
Są to znać ciała tych, co na pustyni
Żywot skończyli, i Bóg cuda czyni
Przy onych zmarłych i w cieniu pieczary,
Jako powiedział mi on Bułgar stary.

Lat osiemnaście żyłem na ostrowie;
Nieraz nadzieje czynili Grekowie,
Ze do ojczyzny dadzą listy moje,
Słyszając, że wiernie w okupie dostoję.
A więc pisałem do panów z Tarnowa
I do Boboli, co był za pacholę
Przy panu naszym, znając dobrą wolę
Wszystkich dla siebie; pisałem, co głowa
Moja u Turka na złoto jest warta;
Do weneckiego takżem słał senatu
Listy osobne, by mnie jako bratu,
Co ma sojusze z rzeczępospolitą,
Raczył pośpieszyć z pomocą ukrytą.
Ale i listy i biegły te roki,
A nikt z okupem po mnie nie przybywał,
I w morzem patrzył z tój nagięj opoki
I do Maryi-m pieśni wyśpiewywał.

Z POEMATU
PAN STAROSTA KIŚLACKI.

PRZYGRYWKA NA TRĄBCE ŁOWIECKIEJ.

Myśliwe półbogi! tych lasów królowie!
Któż wasze te dzieje potomnym opowie?
Któż niegdyś władających po ziemi szeroko
Pamięcią pocziwą tak weźmie na oko,
By znowu stanęli i cało i żywo,
I władzą półbogów i sprawą myśliwą
Ożyli napowrót pośrodku tój kniei
I nieśli się światem w półbogów nadziei
Za tropem i zwierzem, za graniem organów,
I wrzawą tych szczwarzy, za szlakiem tych jarów,
Prac kołmi gorąco przez stare wykroty
I biorąc i zwierza i psiarnię w obroty?!...
Któż myślą w te knieje dziś pójdzie za wami
I wytrwa wraz z wami w rycerskiej ochocie —
Aż w końcu już padnie tam wszystko przed psami,
Co było w objeździe, co szczwane w tym miocie?
I lasy gdzieś szumią... i puszcza się mroczy...
Lecz trąbki myśliwój nie chwyci już ucho,

I złai łowieckiej nie ujrzy na oczy,
 I pusto jak gdyby w pustyni i głucho....
 A przecież tak samo trop znaczy zwierz wszelki
 I ptactwo wszelakie tak samo się wabi —
 Tak samo się sklepi nad głową las wielki —
 I łąka tak samo się w oczach jedwabi...
 Tak samo się zorza myśliwska ozłaca
 I z cieplic tak samo to ptactwo powraca...
 Tak samo jelenie czemchają te rogi,
 I dziki tak samo zaległy barłogi —
 I niedźwiedź tak samo na owsy wychodzi,
 Tak samo na sarny ukryty ryś godzi...
 Tak samo przez bagna łoś jeszcze pomyka,
 Tak samo wśród puszczy żubr stary poryka!...
 A kiedy śnieg spadnie i świat się ubieli,
 A bory tam staną w srebrzystej kądzieli....
 Tak samo zajączek mąduje po śniegu
 I szuka gdzieś żeru i grzeje się w biegu,
 By liszkę omylił i wilka i człeka....
 I wszystko tak samo, jak działo się z wieka.
 Tak samo i dzisiaj bez zmiany się dzieje;
 Lecz tylko już łowów nie znają te knieje!
 A przecież to jeszcze niebardzo tak dawno,
 Jak knieja bywała po łowach tam sławną —
 Lecz nie ma co mówić i próżna to praca:
 Co było, to przeszło i nigdy nie wraca...
 Dziś tylko po łowach zostało podanie;
 I kiedy wśród żywych wskrzeszone zostanie,
 Nikt przecie podania zrozumieć nie umie,
 Bo któż się lubuje w odwiecznych puszcach szumie?
 Kto dzisiaj do echa tych lasów zagada?
 I wewnątrz tajemne tych kniei wybada?

Są wprawdzie myśliwi i jest ich niemało
 Na mięsko, na białe i na tę zwierzynę,
 Co przeszła przez kuchnię — nikt nie zna jej cało,
 Nikt w żywe tam oczy nie widział już zwierza
 I z echem tych lasów nie wznowił przymierza!
 Więc przed kim wytoczyć myśliwą drużynę?
 Bywali i dawniej tam fryce do czasu,
 Lecz miano na fryców myśliwą frycówkę,
 Za farbę fryc nieraz odstąpił gwintówkę!
 I został myśliwym, gdy przywykł do lasu,
 Gdy zwolna o jedno i drugie wypytał,
 Obrządki myśliwe i język pochwytał.
 I z fryca myśliwy się stawał za czasem —
 Lecz chłystka to lepiej zostawić pod lasem,
 „Bo z chłystka i kłaka nie nigdy nie będzie.“
 Tak niegdyś mawiali na łowach ci sędzie:
 Więc z chłystka i kłaka, ogara, ni czleka
 Nie było i pono nie będzie do wieka;
 To chłystki na ustęp! Lecz siedzą gdzieś ludzie,
 Co znają, że wszystko zdobywa się w trudzie;
 Ci jeszcze ocenią łowieckie zabawy,
 I sławne na zwierza grubego obławy;
 I jako się niesie ta trąbka po rosie,
 Gdy potraw ostatni już leży w pokosie,
 Tak powieść ostatnia niech do nich się niesie
 I jeszcze przemówi o łowach i lesie!
 Co dzielnem bywało, choć z pola już schodzi,
 To przecież po ludzku odpuścić się godzi —
 Nikt z łuku nie strzela, nie nosi kołczanu;
 Lecz jeśli łuk kiedyś tam poszedł po Hanu,
 To pono nie bywa nareszcie i sromu,
 Gdy w dobrej pamięci gdzieś wisi wśród domu.

Nikt pono misiurki nie włoży na głowę;
Lecz kiedy z obrazów tam twarze surowe
Na żywych się patrzą z pod onęj misiurki,
Nikt pono nie zdejmie tygrysięj z nich burki:
Więc obok tych łuków i obok tych twarzy
I pamięć myśliwa niech stanie na straży!
Na rogach jelenich, wspaniałęj zdobyczy,
Przy srebrnej obrózie, przy sforze i smyczy
Zawieszam na ścianie dźwirówkę turecką
W tym starym lamusie i trąbkę łowiecką,
Bo nie ma takiego, co w kniei by strzelił
I zwierza grubego położył z dźwirówki,
Co rosy by czekał lub pierwszëj ponówki,
Lub zagrał na trąbce i serce weselił...
To niechaj w tym starym lamusie się kryje,
Co stało nie blichtrëm i niechaj tu żyje,
I obok dźwirówki niech trąbka się wije....

CHART PANA STAROSTY.

Co w domu starosty, to wszystko wyborne,
Bo rzadkie i cenne, wykwintne i dworne.
Nad wszystkie klejnoty miał jednak w swym domu
Sokoła, nieznanęj piękności nikomu!
Zkąd chart ten pochodził — wiadomo nie było;
Lecz nawet się nigdy nikomu nie śniło,
Że może być taki — gdy przyszło go zmierzyć,
To trudno tam było już oczom uwierzyć,
Bo wzrostem i siłą przenosił wilczarzy!
I straszno gdy stanął przed gankiem na straży!
Raz z żartu ktoś poszczuł — a stały trzy chłopy,
I w mgnieniu żrenicy już leżą jak snopy.
„A wara! a harap! a poszedł do domu!!“
Lecz Sokół nie zrobił tam krzywdy nikomu.

Gdy trzeba powalić o ziemię, to zwałił,
Lecz zaraz odskoczył i sam się uzałił —
Był bardzo łagodny i bardzo pieszczony,
Nikogo nie drasnął, każdemu był miły;
Lecz kiedy starosta zażądał obrony —
Śmierć pewna mosanie! bo strasznej był siły.
Miał także u chartów zaletę niezwykłą,
Przy której już wszystko bez mała nie nikło:
Bo bardzo był mądry i dziwnie myśliwy,
Pojętny na ludzkie stosunki i tkliwy,

I panu staroście tak bardzo oddany,
 Że tylko do serca przyłożyć i rany!
 Znał dobrze, we dworze co godzi się komu,
 Kto starszy, kto młodszy, kto gościem w tym domu;
 I wielki był dworak, bo z panem przebywał:
 Więc wielki mir w świecie i w domu on miał.
 A jaki w poźyciu, sam taki do pola:
 Gdy pole na charty, to można choć króla
 Zaprosić na ucztę, bo Sokół od lotu
 Po jeden brał gracje, w trzech susach bez zwrotu!
 A lizkę to tylko przerzuczał za siebie!
 I pole mu tylko naówczas dawano,
 Gdy w wielkiej okazji lub w wielkiej potrzebie
 Wypadło dopisać, bo zresztą go brano
 Na pokaz już tylko, a lizki i koty,
 Jak mówią na żarty, przerzuczał przez płoty!
 „No bajki! zwierz mały — lecz coby się działo,
 Czy wyszedłby Sokół tak samo tam z chwiałą?
 A gdyby mosanie, a gdyby, a gdyby
 Wilk wytknął? a jużciż naówczas bez chyby
 Posunąłby Sokół za wilkiem, bo żwawy. —
 Sokola nie chował do wilczej ja sprawy,
 Bo lepiej się pałką tam z wilkiem rozprawić;
 Lecz gdyby się przyszło i z wilkiem zabawić,
 Rozumiem, że nie ma lepszego wileczarza.“

I jakoż w niedługim już czasie się zdarza,
 Że w trzeinach jesienią polował starosta. —
 „A na co?“ pytano — to pono rzecz prosta,
 Bo pieski puszczone na lizki szkodniki,
 Co nocą zwiedzały już dworskie kurniki:
 Zabawne to łowy, bo różne jest pole
 Dla sfory i smyczy — psy piekłem zagrały...

Starosta zapomniał o swoim Sokole...
 Od linii myśliwych odezwą się strzały...
 Lecz psiarnia się niesie, że trzeina aż chodzi!...
 Lis stary widocznie ogary tak wodzi. —
 Wtem nagle wytyka wileczysko z czerotu —
 Ha djabeł go chyba napędził do miotu!
 I puścił się Sokół za wilkiem po błonię...
 I ruszył za niemi starosta na koniu...
 Wtem nowe znów strzały — psy nagle ucieły —
 Nikt widać o wilku ni słyszał, ni wiedział,
 A Sokół go doszedł i na nim już siedział!
 Więc trwogi śmiertelne starostę przejęły
 I wyrwał pistolet — i rusza nieszeptnie,
 Bo nuż tam z Sokołem wileczysko się zetnie;
 Starosta tak strzelał, iż korki odbijał
 U małych trzewiczków — lecz koniem choć zwijał,
 Sam wątpił, czy dojdzie na czasie do wilka.
 Wtem wymknie z czerotu na przełaj psów kilka;
 Lecz Sokół sam sobie w przygodzie poradził,
 Bo chwycił i w miejscu wileczysko osadził!

I dopadł starosta — dotrzymał — wypalił —
 I wilk się na poleć z Sokołem powalił,
 Bo tak się był zaciął, iż wodą odlewać
 I zęby rozważyć potrzeba mu było,
 Tak cięto wziął wilka i taką wziął siłą —
 I nawet starosta nie mógł się nadziewać,
 Że Sokół tam wyjdzie z tej sprawy tak cały
 I że mu przybędzie rozgłosu i chwały!
 I skórę dał z wilka na piękne wyprawie
 I w sali myśliwskiej powiesić na ścienie,
 By było czem gości czasami zabawić
 I sławę myśliwską utrzymać tam w cenie.

Prócz zalet tych Sokół tak wielkiej piękności,
 Ze oczy brał z sobą i ludzkie miłości:
 Był czarno srokaty, tak równo znaczony,
 Jak gdyby malował na obie już strony,
 Łeb czarny ze strzałką, a dalej już płaty,
 Nie maść to, nie skóra, lecz jedwab i szaty —
 Nie chart to, lecz wieher gdy pomknie po światu,
 Pazury to niby, jak szpongi z agatu —
 A oczy — gdy spojrział i w pole otworzył,
 To człowiek, choć tępy, jak orzeł sam ożył.
 W pokoju też chował to swoje kochanie
 Starosta Kiślacki — spał przy nim i jadł,
 Na skórze niedźwiedziej miał swoje posłanie
 I mały Węgrzynek do snu układał.

Gdy Sokół raz pierwszy z posłania powstanie,
 To słuchać, bo pierwsze odezwą się kury,
 A kiedy się zerwie i strzepnie raz wtóry,
 Jutrzenka już zeszła i świta zaranie:
 Więc we drzwi uderza i wstaje Węgrzynek
 I światłem goreje nanowo kominek,
 I Sokół się ozwie w dziedzińcu donośnie,
 I budzą się ludzie i dworski gwar rośnie...
 I dzień się poczyna dla bydła i ludzi,
 Gdy Sokół się ozwie i cały dwór zbudzi.
 Więc wielkie pociechy i wielkie radości,
 Gdy po tej pobudce w pokoju zagości,
 Bo w susach dokoła Węgrzynka okłada,
 A potem przy łożu starosty osiada
 I głowę na pańskiej poduszce pokłada.

Osyпка to zdrowie dla pieska prawdziwe,
 Starosta tak wierzył w te rady myśliwe —

Że odkąd psy chował, największy faworyt
Karmionym tam bywał osypką u koryt;
Bo po niej pies lekki i czyste ma oczy,
I wiatru nie traci i rażno wyskoczy.
Lecz Sokół osypkę na chińskiej brał czarze,
Parzoną kipiátkiem z pierwszego podoju,
I srebrną obrózkę miał zawsze od stroju —
A kiedy starosta wziąć w pole go każe,
Na taśmie jedwabnej Węgrzynek go wiedzie,
Przed wszystkim myśliwstwem jadący na przedzie,
By tylko Sokoła mieć wiecznie na oku
I piękność podziwiać, czy w locie, czy w skoku.
Znał Sokół to dobrze i miewał chimery,
I często wyprawiał z Węgrzynkiem kostery,
I jadło przyjmował z rąk tylko Jagusi,
A jeszcze i ona to trzymać mu musi
W rączkach tę czarę, gdy jadło brać raczy,
A dąsa się bardzo, gdy było inaczéj.

The first part of the paper is devoted to a general
 introduction of the subject. It is then divided into
 three main sections. The first section deals with
 the general principles of the theory. The second
 section is devoted to the application of these
 principles to the case of a particular system.
 The third section discusses the results of the
 calculations and compares them with the
 experimental data. The paper concludes with a
 summary of the findings and a few remarks on
 the future work.



III.

DRAMAT.

SCENA
z trzyaktowego dramatu:
POWÓDŹ.*)

.....

PODKOMORZYC (woła ku Zazuli).

Słuchaj Zazulo! A czy umiesz wróżyć?

ZAZULA (od ognia).

Toć umiem, panie!

PODKOMORZYC.

A to chodź tu żywo;
Lecz przynieś z sobą od ognia łuczywo.

ZAZULA (z łuczywem świecącym).

I cóż wam, panie? Wy spać nie możecie?

*) Poeta raz tylko próbował swoich sił w dramacie „Powódź“, który odgrywa się na błotach pińskich. — Głównym motywem jest porwane dziecko przez cyganów.

PODKOMORZYC.

Ach! i jam biedny, Zazulo, na świecie!
To mi i powróz — niech wiem, co mnie czeka.

(Zazula świeci i patrzy mu w dłoń długo — potem zrywa się nagle i krzyczy konwulsyjnie).

ZAZULA.

A co ja widzę? O Boże! mój Boże:

(Biega po scenie).

Chwila straszliwa dla nas niedaleka!
Zrywaj się panie i chwili nie czekaj!

(Krzyczy ku ognisku).

Gotujcie dubas! Rzuć panie to łoże —
Śmierć tobie grozi — uciekaj! uciekaj!
Lecz weź nas z sobą, jeśli wierzysz w Boga,
Boć to noc straszna i powódź i trwoga!!

(Podkomorzyc się zrywa).

SCENA 4.

(Za sceną na wodach słychać w oddaleniu marsz Rakoczego, wszyscy zwracają się i biegną ku téj stronie. — Zazula staje jak skamieniała i mówi).

ZAZULA.

I wywróżyłam... to oni!... to oni!...
Popłynę z kłodą! nie uszłam pogoni!
Ha! marsz cygański — znam ja tę kapełę,
Gacek przybywa odprawiać wesele!

(Zimno dobywa sztylet).

A co tu zrobić? Co zrobić w tój dobie?

(Ogląda sztylet).

Pięknie mi błyszczy — czy komu, czy sobie?

(Rzuca się ku ognisku, porywa dziecko i pierzcha po lewój stronie w olchy. — Kilka dubasów, bajdaków i szuhalci przesuwa się w oddaleniu po wodach. — Muzyka gra ciągle marsz, który słychnąć coraz bliżej — na statkach są gorejące kagańce).

PODKOMORZYC.

Hej! jakieś statki biją do przystani.

STERNIK.

Niedobrze, panie — to widzę cygani!

PODKOMORZYC.

Więc i cóż zrobim?

STERNIK.

A cóż mamy robić,
Trzeba się zgodzić — lub się trzeba pobić.
Chłopcy! na świeżo podsypać panewki,
Szatrze nie bronić, ni grania, ni śpiewki,
Ale się czujno trzymać na dubasie,
I spać nie wolno, ani pić w tym czasie!
Fala ucichła, to w ostatnim razie
Odbijem nocą — wiecie o rozkazie?

(Wioślarze odchodzą).

PODKOMORZYC.

A myż obadwa?

STERNIK.

Niechaj pan się kładzie,
A ja tu z kordem pochodzę na straży;

Niechno pogańska wiara się odważy,
A to i pozna, z kim ja siedział w radzie!

PODKOMORZYC.

Lecz cóż się stało? Gdzie znikła Zazula?

STERNIK.

Pierzchła na dubas i dziecię otula.

PODKOMORZYC.

Jeśli nam odbić wypadnie tą dołą,
Zazulę z dzieckiem zabieramy z sobą.

SCENA 5.

(Dwóch cyganów wyskakuje na Ostrów z łodzi, patrzą na ogień).

PIERWSZY CYGAN.

Jacyś niedawno byli tu ludkowie.

DRUGI CYGAN (wyskakuje).

Hej! noc i powódź — zabawim się grzecznie!

PIERWSZY CYGAN.

Czy nie ma przasnej duszy na Ostrowie?

(Woła — ogląda się — nie widzi nikogo i wracając woła):

To bij do ładu bezpiecznie! bezpiecznie!

(Muzyka gra marsz cygański, wysiadłszy za sceną i szykuje się w dwa szeregi, formując szpaler — czterech cyganów przyświeca kagańcami — w końcu wychodzi Gacek, prowadząc oblubienicę — muzyka przechodzi fermatą w marszu w pieśń cygańską. Podkomorzyc leży na łożu — z kordem dobytym stoi przy nim skryty pod drzewem sternik. — Gacek wysuwa się naprzód z oblubienicą naprzód sceny i śpiewa):

Ś P I E W.

CHÓR.

Zagrajcie huśle, cymbały i żele!
 Boć na powodzi cygańskie wesele!
 Kiedy świat płacze, to się cygan cieszy —
 Nikt nie ukarze cygana, choć zgrzeszy!

GACEK.

Hej hory Matry i Fatry i Tatry,
 Hej siny Prucie i sławny Dunaju,
 I na wołoskim i węgierskim kraju!
 Jam król potężny, król cygańskiej szatry!

(Muzyka gra dalej — on robi kilka obrotów z oblubienicą — muzyka przechodzi z tego maestoso w taniec cygański skoczny — cygani i cyganki poczynają tańczyć koło Gacka i oblubienicy stojącej pośrodku — cygani śpiewają z kolei każdą zwrotkę, cygan lub cyganka śpiewając i tańcząc).

(Chór powtarza od wiersza: „Kiedy świat płacze...” aż do „cygańskiej szatry“).

PIERWSZY CYGAN.

Na powodzi, na powodzi,
 Cygańskie wesele!
 Jak rok cały cygan brodzi
 Po puszczech nieśmie! —
 Lecz jak wielkie wody spadną,
 Cygan mknie z tej dziury,
 Przasne dusze idą na dno —
 bis A cygan do góry!

CHÓR.

Hu ha! hu ha!
Dzisiaj cygan gra!

CYGANKA.

Ha! pozwólcie i cygance
Dzisiaj święta użyć,
Bo wam z rączki o bogdance
bis Potrafi powróżyć!
Dziś mi dajcie na korale
I na rańtuch złoty;
Bo jak spadną szumne fale,
Nie będzie ochoty.

CHÓR.

Hu ha! hu ha!
Dzisiaj cygan gra!

CYGAN DRUGI.

Póki wody, hulaj duszo
Z wieczora do rana!
Bo jak lądy się osuszą
Powieszają cygana!

Przez rok cały niby bobry
Po puszczy się kryjem,
Lecz dziś sobie cygan dobry,
To niech dziś użyjem.

CHÓR.

Hu ha! hu ha!
Dzisiaj cygan gra!

PIERWSZY CYGAN (do cyganki).

Dam ci Matus na korale
I na rantuch złoty;
Bo jak szumne zniką fale,
Nie będzie ochoty!

(Do Burlaka).

Dola w świecie nie jednaka,
Hej! wychodź Burlacze!
Kiedy mamy tu Burlaka,
Niech jak cap poskacze!

CHÓR (śmieje się).

Ha, ha, ha, ha!
Niech i Burlak gra!

(Muzyka przechodzi z cygańskiego tańca w moskiewski Byczek o dwóch tonach, przeplatany wołaniem: hu! hu! na jednej strunie basów grany. — Skrzypce akompaniują *lizzicato*. — Burlak wychodzi naprzód sceny, cyganie i cyganki skaczą wokół niego, przedrzężniając się Burlakowi. — Burlak po przegraniu całej nuty, tańczy niezgrabnie jak niedźwiedź i śpiewa).

ŚPIEW.

Hej palenki daj!
Ta byczka mi hraj,
Dola w świti ne odnaka,
Ta ja Burlak, ta sobaka,
A ty w huśli hraj!
I Burlaka znaj!

CHÓR.

Znaj burlaka, znaj burlaka!
Bo to ryża je sobaka,

I byczka mu hraj!
Ta i hroszy daj!

(Taniec ten odbywa się na przodzie sceny — jeden z tańczących, cofając się przed tancerką, utyka na łożu podkomorzycy, sternik uderza go płazem po plecach — cygan przestraszony krzyczy, ucieka — muzyka ustaje — sternik występuje przed cyganów, którzy z zadziwieniem przypatrują się jemu).

STERNIK (groźnie).

Dość tej hulanki, ty plemię pogańskie!
A czy nie widzisz, że tu pan spoczywa?
Toś wpadł aż głupsze na to łoże pańskie,
Tak się zuchwalisz, że dziś powódź bywa?

(Cyganie zdziwieni odsuwają się w tył — podkomorzyc wstaje i postępuje z powagą i mierzy wzrokiem bandę).

PODKOMORZYC.

Co to za ludzie? czego tutaj chcecie?...

GACEK.

To my na swoje przyszli tutaj śmiecie!
I barcie pańskie, ha i bór ten pański,
Lecz na powodzi, to Ostrów cygański!

(Zuchwale).

Wszak przez rok cały kryjem się jak bobry;
Lecz na powodzi to i cygan dobry,
I taki sobie jakby jaki panek.
Ja tu wyprawiam mój panku wesele;
A więc kapela, ochota i dzbanek,
Ot, i nie mamy o czem mówić wiele:
Jeżeli nie w ład, to się zabierajcie,
Jeżeli łaska, ochoty dodajcie.

PODKOMORZYC (wesole).

Także mi gadaj! Wszakżem i ja młody —
 A gdy wesele i cygańskie gody,
 A to dodamy ochoty po służbie;
 A jako młody — przyspiewam po druźbie.

(Dobywa kieskę).

Pod wieniec młoděj na wam coś tu złota...

(Oblubienica nadstawia fartuszek — podkomorzyc rzuca kilka sztuk złota)

Ażeby była prawdziwa ochota,
 To na kapelę trzy dukaty daje.

(Jeden z kapeli przybliża się z basami — podkomorzyc rzuca do basów dukaty —
 cygan z radości podrzuca basami i brząka złotem).

No, czy jest zgoda?

WSZYSCY CYGANIE.

Zgoda, panie, zgoda!

PODKOMORZYC.

To na znak zgody niech herszt rękę poda.

(Herszt podając mu rękę).

A czyś ty może herszt cyganów mińskich?
 Albo litewskich?

GACEK.

Nie, ja samych pińskich —
 Na Litwie Buta hersztem zdawna bywa;
 A wziął i mińskich cyganów pod siebie —
 To ja tu królem na ziemi i niebie!
 A wody pińskie to cygańskie żniwa....

PODKOMORZYC.

Cóż to tak głucho — ... zagrać mi wesoło!
 I niech do tańca staje w powrót koło;
 Kiedy wesele, to i tany wczesne.

(Stara cyganka przynosi flaszkę i kubek i mówi do podkomorzycy).

CYGANKA.

To raczcie przyjąć weselne poczesne.

(Nalewa kubek i podaje).

Jeżeli łaska?

STERNIK (do podkomorzycy).

Nie wolno pić panie!

Cygańska sztuka — dadzą nam na spanie....

PODKOMORZYC (do cyganki).

Ej, moja matko, gdy mam wypić czasę,
 Raczcie spróbować naprzód miody nasze. —
 Mości sterniku, podać mi tu miodu,
 I zabić wołu, niech nie będzie głodu!

(Jeden z wioślarzy przynosi baryłkę z miodem i częstuje kolejno cyganów i ganki — muzyka poczyna grać — cyganka poczyna tańczyć i śpiewać jedną tylko zwrotkę z tych co wyżej. — Podkomorzyc i sternik przypatrują się temu na przodzie sceny — z pośpiechem przybywa jeden z wioślarzy i mówi do nich)

WIOŚLARZ.

Nam tu popasać nie można i chwili,
 W skradzionych statkach cyganie przybyli
 Tu z wielkim łupem z Wysokiego Dworu,
 Nas tak niewielu, nie zbijem ich z toru;
 Nasi poznali i statki i rzeczy.
 Toć ku dworowi płynąć ku odsieczy;

Bo któż to zgadnie, co się z dworem dzieje,
Gdy wszystkie łodzie porwali złodzieje?

PODKOMORZYC.

O Zosiu moja! o wielki mój Boże!

STERNIK (mówi rażno).

Toć wyrzekanie tutaj nie pomoże —
Trzymać mi dubas gotowy do biegu!
My się rozprawim i bijem od brzegu.

(Muzyka przestaje grać. — Między cyganami widnć tajne znowy i rady).

JEDEN Z CYGANÓW (do Gacka).

Poznali statki, i nim wody spadną,
To z całym łupem pójdziemy tu na dno,
Mają rusznice, sprawa niebezpieczna,
Wypada, herszcie, zatrzymać ich z grzeczną.

GACEK (do podkomorzycyca).

Gdy taka łaska dzisiaj dla cygana,
To mamy prośbę zanieść tu do pana:
Biedni, nie mamy już dzisiaj przewodu,
Bo zmarł na Litwie król naszego rodu;
A że po prawie rzeczypospolitćj
Królem cygańskim ma być szlachcic syty,
To my cię prosim dziś panie na króla
I szatra moja do cię się przytula.
Zniosiem bogactwa — a ty będziesz władał,
I każdy będzie za tobą przepadał!
I co zażadasz, wszystko panie zrobim
I wszystko sprawim, wszystko przysposobim.

(Kłęka przed podkomorzycem).

Ale przyjm panie cygańską koronę
I biedną szatrę bierz pod twą obronę.

CYGANI WSZYSCY (klęcząc).

Prosimy, panie! na Boga prosimy.

GACEK.

Ha! czegoż stoisz królu taki niemy?

(Jedni cyganie garną mu się do kolan, kilku innych trzyma linę z tyłu, którą podnoszą, chcąc mu zarzucić na szyję).

PODKOMORZYC.

Dajcież mi pokój! namyśleć się muszę.

GACEK i OBLUBIENICA.

Ja się od nóg twych panie tu nie ruszę!

OBLUBIENICA.

Gdy cię tak bardzo panie ukochano,
To bierz koronę — a dla mnie na wiano
Niech szczęściem będzie, żeś przyjął koronę.

CYGANI WSZYSCY.

To bierz nas królu, bierz nas pod obronę.

PODKOMORZYC (wyrywając się).

Puście mnie, puście! ruszyć się nie mogę,
Co mnie tak chwytasz? puszczej moją nogę!

(Dobywa szabli, cyganie zbliżają się z tyłu i mają już sznur zarzucić na jego szyję i sternika, który także korda dobył — wtem wpada Zazula i woła).

ZAZULA (chwytając za sznur lewą ręką, w prawej trzyma sztylet).

To ja, Zazula! broń się panie, broń!

(Podkomorzyc i sternik przecinają sznur w środku przez nią podniesiony).

A teraz panie podaj mi swą dłoń!

(Chwyta go lewą za lewą rękę, w prawej wznosząc sztylet do góry — podkomorzyc odrębuje się po prawej stronie, sternik po lewej i przepychają się przez tłum cyganów ku dubasowi — cyganie rozpierzchnięci krzyczą).

CYGANIE.

Hej! znaj panoczku! dzisiaj nasza góra!

INNI CYGANIE.

Ha, ha, Zazula!

WSZYSCY (razem).

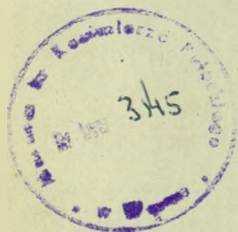
Hura! hura! hura!

(Lecą do do dubasa za uciekającymi — za sceną glosy):

Hej! bij od ładu! od brzegu! od brzegu!

Hej! ognia chłopcy z pierwszego szeregu!

(Kilka strzałów pada od dubasa — trzech cyganów powala się o ziemię, co wstrzymywali linę od dubasa, przywiązaną do sosny barciowej).



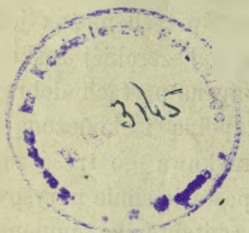
SŁOWO DO CZYTELNIKA.

Antologia, zebrana z dzieł poetycznych Wincentego Pola, a dołączona do żywota i wspomnienia po niedawno zgasłym, a nieodżałowanym poecie — jest tylko nader drobną stosunkowo częścią ogólniej jego twórczości i działalności na polu fantazyi, jest tylko echem wielkiego głosu, który już zamilkł na wieki.

Z wyjątków i fragmentów tych można jednak mieć przedsmak, lubo nie ma się téj szerokiej rokoszy, jakiej doznaje czytelnik zaprawiony na poetach dobrego stępla, gdy się spotka z samą, zupełną i skończoną kompozycją, do której nietylko przykuwa go treść zajmującego opowiadania, charakter i postacie silnie narysowane i postawione, lecz jeszcze i architektonika imponująca harmonijną całością, w częściach misterną, w prowadzeniu jeniálną, a odbzmiewającą tym głębokim, uroczystym tonem, który na zawsze w duszy zostaje.

Mniemamy przeto, że drobny ten, acz starannie złożony zbiorek, zaostrzy pragnienie bliższego poznania się i rokoszowania w kompletnem wydaniu pism poe-

tycznych ś. p. Wincentego Pola, które, jak słychać, staniem pozostałej rodziny mają wyjść na widok publiczny — a w każdym razie przyczyni się do przypomnienia publiczności czytającej, że droga spuścizna po zgasłym poecie powinna się znaleźć w ręku wszystkich, co będzie najpiękniejszym pomnikiem i hołdem oddanym jego popiołom.



1883





